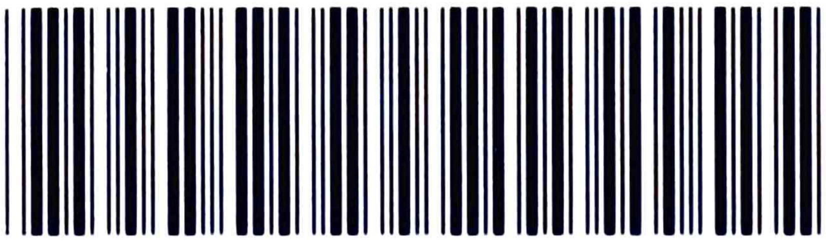




ANIOŁ ŚMIERCI

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

Anioł Śmierci

ROMANS

TOM II

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1899

KRAKOW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPOŁKI

ROZDZIAŁ I.

Rdzawiczowi zdawało się, że jakiś ogromny dzwon począł bić w przestrzeni, a za każdem brzmieniem jakby olbrzymia kula miedziana pękała od uderzenia młota z mosiądzu. Wokoło była ciemność, gdzieś w dole szum morza, szum głuchy, a tak potężny, jakby się wszystkie oceany razem przetaczały jedne przez drugie. On zaś w owej ciemności i nad owym szumem głuchym i ciemnym wstępował w górę po krużgankach, przebłyskujących czasem jak szklisty szafir, coraz wyżej i wyżej, krętą drogą w głąb. Poza nim zostało wszystko; ziemię strząsnął z siebie, jak proch — opadła. Czuł się zupełnym duchem i szedł coraz wyżej i wyżej... Nagle krużganki znikły mu pod nogami i uczyniła się pod niemi pustka. Grzmot dzwonu ostatni i kolosalny pękł, szum oceanu ucichł, a on runął w przestrzeń ciemną, w otchłań bez dna i kresu. Lecąc wytężał ręce, aby chwycić się czegoś lub oprzeć, ale wszędzie była jedna próżnia. Leciał, czując, że nie leci ani w dół, ani do góry, ale w bezmiar. Ogarnęła go rozpacz, czuł, że wo-

łałby się roztrzaskać o skały, lub utonąć w oceanie, niż tak lecieć w nieskończoności, której jego ludzka natura znieść nie mogła. To uczucie, że otacza go coś przeciwnego jego człowieczeństwu, było boleśniejszem niż strach. Począł kołować ramionami, jak człowiek tonący i wołać z rozpaczą: Granic! brzegu! granic!...

Nagle uczuł, że dotknął czołem czegoś, co jest miękkie i ciepłe: spojrzał, zobaczył jasność, a nad sobą jakby jakąś znajomą postać kobiecą, nachylona blizko, z ręką na jego czole.

Potem jakiś głos zapytał cicho, prawie szeptem:

— Poznaje mnie pan?

Jemu przeleciał przez głowę wyraz: Heimerthowa — poruszył wargami i na nowo otoczyła go ciemność, w której jednak już nic nie widział i nie czuł.

W jakiś czas znów zobaczył jasność, słońce na szybach okien i za niemi zielone drzewa.

— Park — rzekł.

— Park — powtórzył po nim ten sam głos, co pierwej.

Usiłował zebrać myśli. Naprzód począł rozróżniać pojedyncze gałęzie, które widział przez okno, potem układ szyb w oknie, poznał, że jest w swej pracowni, wreszcie spostrzegł ludzi. Skupił się we wzroku i rozróżnił ich: byli to Przerwicowa, baronowa Heimerth i Tężel. Siedzieli do niego bokiem i nie mogli zauważyć, że ma oczy otwarte. Przer-

wicowa wyszywała coś na kanwie, Heimerthowa czytała książkę, a Tężel dłubał ołówkiem w ramie od okna. Rdzawicz uczuł w sobie jakąś siłę i radość, ucieszył się, że widział Lorę i Tężla, nawet, że widzi Heimerthową i zdziwił się, skąd się tu u niego w pracowni wzięły te panie, a potem skąd się tu wzięło łóżko z jego pokoju i on sam na niem? Nie mógł nic zrozumieć i czuł, że ma głowę odurzoną, jak po mocnem winie. Przypuszczał także, że może mu się śni. Ale nie, bo kiedy odezwał się półgłosem: pani Loro -- ona zerwała się i odwróciła ku niemu z twarzą bardzo jasną, a równocześnie zwrócili się ku niemu i tamci. Przez chwilę patrzeli na niego wszyscy z wielką tkliwością w oczach, a potem zbliżyli się ku łóżku.

— Poznajesz nas? — spytał Tężel głosem drżącym ze wzruszenia.

— Poznaje nas pan? — powtórzyła Heimerthowa z ujmującym uśmiechem.

— Tak, prawda? Chwała Bogu! — rzekła pani Laura.

Rdzawicz zdziwił się: dla czego nie miałby ich poznać i dla czego oni pytają go o to, i spytał:

— Co się stało?

— Byłeś pan chory — odpowiedziała pani Laura. — Ale niech się pan nie męczy mówieniem.

On jednak czuł się silnym, nie mógł tylko powiązać myśli, przypomnieć sobie i zrozumieć, co się stało w istocie?... Dziwiło go najbardziej to,

że drzewa są zielone, kiedy powinny być jeszcze bez liści. Skoro jednak drzewa zdążyły się zazielenić, to musiał długo chorować. Nie przypominał sobie przecież zupełnie początku choroby, nie pamiętał, żeby był zasłabł na cokolwiek, żeby się musiał kłaść do łóżka i co więcej, żeby to łóżko przenoszono dla niego, lub też z nim z jego mieszkania do pracowni. Co mu się mogło stać i kiedy?

— Byłem chory? — powtórzył do Przerwicowej.

— Tak.

— Długo?

— Blizko cztery tygodnie.

Niesłychane zdumienie nań spadło.

— Cztery tygodnie?! — powtórzył. — A cóż mi było? Bo ja nic nie wiem?...

Spostrzegł, że Przerwicowa zamieniła z Heimerthową spojrzenie, jakby pytając się, czy może mu odpowiedzieć, poczem rzekła:

— To nic dziwnego, że pan nic nie wie. Miałeś pan gorączkę.

— Ale na cóż chorowałem?

— Z wysiłku — odezwała się Heimerthowa, zastępując panią Laurę. — Przepracował się pan. Chorowałeś pan na nerwy. Ale teraz już wszystko dobrze.

— Myślałem, że już z tobą źle będzie — rzekł Tężel, biorąc jego rękę w swoją szeroką dłoń i ściskając delikatnie a serdecznie.

Rdzawicz zauważył, że jego ręka wobec Tężlowej jest dziwnie biała i chuda.

— Ale jakże to może być, żebym nic nie pamiętał i nic nie wiedział? Kiedyż zachorowałem?

— Pan nie powinien dużo mówić, bo się pan męczy — powiedziała Heimerthowa. — Potem, powoli wszystko panu opowiemy.

— Dobrze, potem, powoli, wszystko mi panie opowiedzą — powtórzył, czując, że najłatwiej mu za kimś myśleć, i że siła ucieka mu z mózgu i członków.

Znów poczęło mu się zwolna stawać ciemno w oczach i poczęła go ogarniać bezwładność i niemoc. Obudził się w nocy. W rogu pokoju na stole paliła się lampa, w fotelu zaś siedział Tężel ze zwieszoną głową na piersi i spał, lub drzemał, ale był ubrany.

Rdzawicz czuł się teraz o wiele silniejszym, niż poprzednio: dźwignął się tak, że prawie usiadł na łóżku i zawołał: Tężel!

Tężel drgnął, mruknął coś przez zęby: „Okno, pódzież!“ — czy coś takiego, potem nagle bardzo gwałtownie otwarł oczy jak mógł najszerzej i spytał: Co? co?

— Spałeś?

— Aha, niby, coś... Zasnąłem trochę. Przepraszam cię. Jakże się czujesz? Trzeba ci co?

— Nie, nic. Czy to już noc?

— A noc.

— Powiedz mi, czy ja naprawdę chorowałem prawie cztery tygodnie?

— A naprawdę.

— A cóż mi było do dyabła? Heimerthowa mówiła żem się przepracował? Musiałem być chory na mózg? Tak?

Tężel potrząsł głową przecząco i rzekł:

— Przepracowałeś się, prawda. Ale teraz już jesteś zdrów no, i nic. Niedługo wstaniesz.

Rdzawicz zamyślił się: musiał chorować na mózg i nie chcą z nim o tem mówić, aby go nie przerażać. Wzdrygnął się, przypomniał sobie bowiem, że w ich rodzinie skłonność do chorób mózgowych jest dziedziczną, a zarazem, jakby pod wpływem tego przypomnienia i uświadomienia, stało mu się nagle zupełnie widno w głowie i uczuł, że się opamiętał zupełnie.

— Tężel — rzekł — czegóż taisz przedemną? Miałem zapalenie mózgu, czy tak?

Tężel zakręcił się trochę, jakby zaambarasowany i odpowiedział:

— Nie, niby coś ci było trochę ze zmęczenia, ale żadne znowu zapalenie...

— Nie miałem przytomności całe cztery tygodnie?

— Trochę niezupełną czasem, ale to nic. Każdemu się to może zdarzyć, jak się przemęczy.

Rdzawiczowi ujawniło się teraz wszystko: oto robił był w glinie „Anioła śmierci“ przez trzy ty-

godnie przeszło z niesłychanem wytężeniem i jakby w hallucynacyi, nie wychodząc prawie wcale z domu i nie widując się z nikim; podczas roboty kilka razy tracił na moment świadomość siebie, tak, jak ją stracił na moment podczas rzucania szkicu na karton, i czuł bóle w mózgu. I to musiał być początek choroby. Jednego dnia, była to środa w pierwszych dniach kwietnia, zrobiło mu się jakoś dziwnie niedobrze. Położył się na kanapie w pracowni, było koło godziny czwartej po południu, i od tego czasu nic nie pamiętał.

— Tężel — rzekł po chwili.

— Co? — spytał Tężel.

— Kto mnie leczył?

— Kraus i Magnuszewski.

— A kto bywał u mnie prócz ciebie?

— Wszyscy. Przerwicowa i Przerwic, pani Elżbieta, o ile była w Warszawie, Heimerthowa, Stosławski, Morski, Łanowski...

— To Łanowski przyjechał z Florencyi?

— Przyjechał. Milcia przychodziła, Czempiński, ale Okna musiał zostawiać w domu, bo jak przyszedł, to chciał włazić do ciebie, a jak się go wyrzuciło za drzwi, to wrzeszczał; no i ja.

— A skądże się tu wzięła Heimerthowa?

— Jak się tylko rozniosło o twojej chorobie, przyjechała i przywiozła Magnuszewskiego, bo z początku był tylko sam Kraus. To dobra kobieta, pielęgnowała cię jak siostra.

Rdzawicz począł się rozglądać po pracowni.

Obrazy poobracano frontem do sztalug, rzeźby poprzykrywane były materyami na draperye, w rogu pokoju zaś stało wielkie pudło z kartonów, pod którem musiał być model gliniany „Anioła śmierci“.

— Tyś to zrobił? — zapytał Tężla, wskazując pudło.

— Ja.

Portretu Maryi na ścianie nie szukał: pamiętał, że go zamknął w ostatniej szufladzie komody na dole, twarzą ku ziemi. Uczuł w tej chwili gwałtowną chęć popatrzenia nań, jak również zapytania o Maryę, ale wstydził się Tężla... Po takiem upokorzeniu...

Stanęła mu w pamięci żywo walka, jaką toczył ze sobą, lepiąc w glinie „Anioła śmierci“. Wykończył był obie figury, tylko twarzy kobiety nie robił. Ile razy podniósł rękę, aby rozpocząć modelowanie twarzy, tyle razy opadała mu w dół. Karton, na którym narysował w pierwszej chwili twarz Maryi, podarł nazajutrz i spalił. „Trucicielce“ postanowił dać twarz fantastyczną, w „Wampirze“ zakrył ją prawie zupełnie włosami, w „Opuszczeniu“ odwrócił kobietę tyłem, ale tu zakryć nie mógł, musiał ją pokazać, a również, jak fantastycznej twarzy dać nie mógł, nie mógł dać i prawdziwej — Maryi. Pamiętał, że w szalonem rozdrażnieniu rzucał się na sofę, jak w konwulsyach, albo porywał się, aby całą robotę zepchnąć z postumentu na ziemię, ale

wtedy stawał wobec swego dzieła, jak urzeczony. Cudowne linie ciała kobiety, które idealizował z Milci na kształt, jaki odgadywał u Maryi, czarowały go i dalej wywoływał je z nicości, opętany przez ich złowrogie piękno. Podczas roboty, zamknięty w pracowni, nie puszczał do niej nikogo, prócz modeli, oraz Czempińskiego i Tężla, którzy wykończali nagrobek Drewskiego. Ale na ich pytania, co robi, odpowiadał, że nie wie jeszcze, jaki da tytuł rzeźbie, i że będzie to rzecz zupełnie fantastyczna. Tężel, który rozumiał doskonale, że jest to dalszy ciąg cyklu, zaczętego „Wampirem“, zachodził w głowę, jakie Rdzawicz da rysy tej kobiecie, albo czy też może twarz tę zasłoni draperyą, przez co zepsućby musiał efekt prawie zupełnie; Czempińskiemu zaś o nic nie chodziło, tylko o to, żeby między twarzą a składem głowy tej kobiety była harmonia.

Przez te trzy tygodnie modelowania grupy, Rdzawicz nie widział nikogo ze znajomych i nie pytał nikogo o Maryę. Nie wychodził wcale na miasto, aby się z kimś, lub z nią nie spotkać. Był ciągle w stanie anormalnym, jakiegoś gorączkowego podniecenia, które dochodziło prawie do hallucynacyj, a w którem kilka razy doznał owej chwilowej, zupełnej utraty świadomości. Czuł, że się wyczerpuje i że się w nim coś poprostu obala ze znużenia i wewnętrznej trawiącej go gorączki i wreszcie uległ jej, jak mu powiedziano, aż na cztery tygodnie.

Teraz przypominał sobie cokolwiek swoją chorobę. Była to powódź chaotycznych wizyj, taki ich nawał, że zdawało mu się, że go zgniotą, jak druzgocące się i obalające na człowieka piramidy, kościoły i obeliski. Potworne kłęby obrazów tłoczyły się na niego, larwy czerwone i wstrętne i białe marmurowe boginie, lemury i upiory, olbrzymy z maczugami i straszliwe widma o głowie ptasiej, z oczami, jak karbunkuły, z błonami olbrzymich nietoperzy u ramion, na suchych pawich nogach, wydające przeraźliwy pisk i zaduch gnijącego ciała. Spadały nań odcięte głowy Meduzy, których pęki żmij zdychały mu na twarzy, zimne, oślizgłe, albo zbliżały się doń twarz ku twarzy na pół ogniłe trupy i usta do ust mu przykładały.

Była to jedna straszliwa męka, aż wreszcie ocknął się wśród ostatniej wizyi — bezmiaru.

— Czy pytał się kto o mnie z miasta?

— Owszem, parę osób zapytywało listownie.

Rdzawicz spojrzał na wskazane mu przez Tężla listy i kartki i kurcz ścisnął mu serce. Przypomniał sobie swoją chorobę w Klężu i te karteczki, które Jadwiga Strzeliska przynosiła mu od Maryi do domku w ogrodzie, w którym go umieszczono. Raz pisała: „Proszę nie pić tak dużo limonady, bo zaszkodzi, ale za to zjeść kawałek białego mięsa z pulardy“. Innym razem: „Czy pan prędko przyjdzie? Bardzo tu babci pana brak“. Nazajutrz: „Bardzo z babcią prosimy nie wychodzić za wcześnie, ale

babcia mówi, że jakby się pan ciepło ubrał, to panu nie zaszkodzi. Poślemy panu futro wuja, to duże, do podróży". Potem: „To ciastko w środku, co jest takie nieudane i ma na wierzchu sok malinowy, to ja dla pana upiekłam. Przepraszam, że jest brzydkie, ale to się dopiero na patelni tak skrzywiło; przedtem było bardzo ładne i miało kraik w ząbki. Proszę koniecznie zjeść to najpierwsze, ale jakby było niedobre, to niech pan nie je. Nawet koniecznie niech pan nie je, bo będzie zakalec. Ale takby mi było miło, żeby pan je zjadł pierwsze. A przynajmniej sok z wierzchu".

Drobne te karteczki umiał na pamięć. Potem, na żądanie rodziny Maryi, kiedy jemu zwrócono jego listy, odesłał je wraz z listami. Teraz zdawało mu się, że wszystkie te kartki i listy pamięta dosłownie. Począł je sobie przypominać i kolejno powtarzać, z datami i męcząc się, aby żadnego nie opuścić i powtórzyć dosłownie. To był jego skarb największy; po Maryi ze wszystkiego na świecie najbardziej kochał te kartki i listy w bladoróżowych, albo heliotrop podłużnych kopertach.

— Sen, sen — mówił sam do siebie. A Marya jawiła mu się w wyobraźni i pamięci kolejno w swoich jasnych i ciemnych sukniach, kapeluszach i czapeczkach, w najrozmaitszych porach dnia i w najrozmaitszych pozycyach, przypominały mu się jej słowa, jej uśmiechy i spojrzenia, wszystko to, co z nią przeszedł, wszystko to, czem żył od jej po-

znania, aż do chwili, kiedy stracił przytomność cztery tygodnie temu. — Na zawsze, na zawsze... — powtarzał w duszy. I nagle, w tym bólu i w tym żalu porwała się w nim myśl, aby zniweczyć kompozycyę „Anioła śmierci“ i ogarnęło go przerażenie, że może ją kto widział i choć nie było twarzy, domyślił się, kogo ma przedstawiać kobieta, depcąca człowieka i obnażająca się wyzywającym ruchem hetery.

— Tężel! — zawołał gorączkowo. — Czy widział kto ostatnią moją robotę?

— Nie; nimeśmy cię tu przynieśli z pokoju, gdzieś najpierw leżał, przykryłem ją pudłem.

— Przysuń to tu i odsłoń.

Tężel przysunął postument i zdjął pudło.

Rdzawicz począł się wpatrywać w swoją pracę. Powoli znikała mu z przed oczu idea, a poczęła go czarować sztuka. Wtapiał się w szczegóły wykonania artystycznego: szukał błędów i nie mógł ich znaleźć.

— Słuchaj — rzekł do Tężla — czy to ja zrobiłem?

— Jakto: czy ty? — spytał Tężel zdziwiony.

— Bo, zdaje mi się, że gdyby to robił Grek, nie mógłby lepiej zrobić; prawda?

— Ba! — rzekł Tężel z najmocniejszem przekonaniem. — Sam Myron byłby kontent.

— Czy czujesz tu cokolwiek innego, prócz ciała

i draperyi? A przedewszystkiem, czy czujesz tu robotę?

Tężel nic nie odpowiedział, tylko patrzył na glinę okiem znawcy i rozentuzyazmowanego czciciela sztuki, Rdzawicz zaś wpatrywał się w swoje dzieło długo, nakoniec rzekł:

— Przykryj to i odsuń. Zdaje mi się, że zrobiłem tak, jakby zrobił Grek z piątego albo czwartego wieku przed Chrystusem w końcu dziewiętnastego wieku po Chrystusie. Poślemy to do „Salonu“. Jeżeli tam będzie lepsza rzeźba, pozwolę się powiesić. Poślę wszystko: „Dyanę“, „Centaury“, „Wampira“, skończę „Opuszczenie“ i to. „Trucicielkę“ odłożę na później, a „Drewski“ jest za ciężki i masęby kosztował transport. Jeżeli nie dostanę wielkiego medalu złotego, nie biorę więcej dłuta do ręki, ani pędzla.

— Dadzą ci legię — rzekł Tężel znowu z najmocniejszem przekonaniem.

— „Anioła śmierci“ można będzie zaraz odlać w gipsie. Dobrze, żem go skończył. Myślałem, że mnie dyabli wezmą, alem wytrzymał do ostatniego dotknięcia.

— To to się nazywa „Anioł śmierci“? — spytał Tężel, pozwalając sobie być zdumionym.

— Tak... może jeszcze dam inny tytuł... Bo ten rzeczywiście się nie tłómaczy... nie mów, że to tak nazwałem. Ale jest dobre, prawda?

— Dostaniesz legię, zobaczysz — powtórzył, jak pierwej, Tężel.

Rekonwalescencya trwała długo i Rdzawicz bardzo powoli do sił przychodził. Przerwicowa i Heimerthowa otaczały go taką opieką, iż tłómaczył im, że go na nic rozpieszczą. Zwłaszcza Heimerthowa, której środki pozwalały na to, obsypywała go kwiatami, sprowadzała mu ilustrowane dzieła za jakieś bajeczne sumy i czytywała mu całemi godzinami. Dowodziła mu przytem, że robi jej prawdziwą łaskę chorując, bo ma o kim myśleć i czem się zająć. Rdzawicz nie chciał jej zrobić przykrości i nie zapytywał się o męża, dowiedział się jednak, że bawi od dwóch miesięcy przeszło za granicą, w Londynie, Hamburgu i innych handlowych punktach Europy. O niej zaś powziął przekonanie, że jest ogromnie egzaltowaną.

Przychodził także często Łanowski, młody, dwudziesto-dwu letni rzeźbiarz, który przyjechał z Włoch, ładny, wiotki blondyn, o sentymentalnych, jasnoniebieskich oczach, zawsze bardzo smutny i bardzo cichy, tak melancholijny, że go pani Heimerthowa nazywała „pan cyprys“, albo „pan nenufar“. Zakochał się on zupełnie w Rdzawiczu, wpatrywał się w niego, jak w tęczę i mówił do niego „mistrzu“, czując się najszczęśliwszym, kiedy mógł mu podać wody do mycia, albo filiżankę z herbatą. Stworzyło się kółko, które codzień przed wieczorem zbierało się w dużej i odpowiednio urządzonej

pracowni: Heimerthowa nazywała to *causeries romaines* od imienia Rdzawicza, a na wzór „Wieczorów florenckich“. Dni płynęły Rdzawiczowi cicho i ogromnie spokojnie: nie potrzebował się o nic troszczyć, o niczem myśleć i o nic starać. Czarodziejskie ręce pani Laury i baronowej Heimerthowej słały mu, jak mówił, „życie kwiatami“.

Przerwic, Morski i Kowal, który odłożył swój wyjazd do Australii, wpadali także często, a od powrotu ze wsi i Stosławski. Dysputowano i rozmawiano, a Rdzawicz z pewnem przerażeniem myślał o tem, że w końcu powróci do zdrowia zupełnie, i że będzie musiał na nowo o sobie sam myśleć, a zarazem, że będzie się musiał przestać czuć osią pewnego kółka ludzi, jaką był teraz, jako chory. Ale wówczas rozglądał się po swojej pracowni i myślał, że przecież jednak zawsze pozostanie czemś, na co się patrzy, o czem się mówi, o co się dba, i co ma swoje wyjątkowe prawa.

Unikano wszelkich drażliwych tematów, nic więc nie wiedział o Maryi; natomiast Przerwicowa opowiadała mu, że Rózia Rosieńska bardzo się często dowiaduje ze wsi (dokąd pojechała przed paru tygodniami, gdyż Ela nie chciała zostać dłużej); „czy panu Rdzawiczowi boli jeszcze głowa“, że Ela była trochę niezdrowa, ale teraz ma się już dobrze, i że pan Rosieński zaprasza ich do siebie, a wraz z nimi i Rdzawicza, jeżeliby mu lekarze kazali wyjechać gdzie na świeże wiejskie powietrze. Pani Rosień-

skiej zrobiło się lepiej i wyjazd jej do kąpiel odłożono do jesieni. Rdzawicz polecił podziękować panu Rosieńskiemu, ale na propozycyę tę nie dał żadnej odpowiedzi. Uczuł pewną obawę spotkania Eli, o której nie mógł myśleć bez jakiejś przykrości i bez uczucia wielkiego niezadowolenia z samego siebie. Wrażenia, że uczynił tej dziewczynie jakąś krzywdę, że coś w niej splamił i czegoś w niej nadużył, nie mógł się pozbyć. Urok, jaki miała dla niego chwilowo, przeminął zupełnie; pamiętał, że była ładna, i że mu się podobała przez godzinę. O tem, co między nimi zaszło, musiał niewiedzieć nikt, Ela nie musiała nic mówić. Gdyby była mówiła źle, pan Rosieński nie byłby go zapraszał, a Lora dałaby mu to poznać. Ale swoją drogą nie mógł sobie wyobrazić, jakby spojrzał na tę pannę? Stu innym byłby spojrzał prosto w oczy, ale w tej czuł jakąś inną naturę, jak w stu innych, i to, co wobec innych wydawałoby mu się głupstwem, tu wydawało mu się krzywdą.

Pani Laura cieszyła się jak dziecko z tego, że będą jeździli konno i wózkami, pływali po jeziorze i bawili się z psami, których jest tam mnóstwo; dowodziła przytem pani Biszy, która wpadła na jeden dzień do Warszawy, że na wsi nastąpi niezawodnie porozumienie między Elą a Rdzawiczem, na co pani Bisza odpowiedziała jej, że ma na tym punkcie ćwieka w głowie i że z wyjazdu Rdzawi-

cza do Rosieńskich może się wykluć co, z czego nikt nie będzie kontent.

— Ale kiedy go sami zapraszają i ja wiem, że nie mieliby nic przeciwko temu — broniła się pani Laura.

— A ty się zaczynasz widocznie starzeć, kiedy ci takie miłe swatostwo.

— Moja droga — odpowiedziała pani Laura — każda z nas musi się czemś jeszcze zająć po za mężem. Ty masz dwoje dzieci, za pół roku będziesz miała trzecie, a ja nic. Wiesz, jak Jerzego kocham, ale przecież całego życia mi nie wypełnia, tak, jak ja jemu go nie wypełniam. On pisze i zdobywa sławę, a ja chciałabym zrobić coś dobrego. Robi się ludziom dobrze nie tylko ręką i nie tylko tym potrzeba ludzkiej pomocy, którzy nie mają co jeść. Rdzawicz w swojem porządnem ubraniu jest nieszczęśliwszy od wielu takich, co mieszkają po suterenach, albo nigdzie. Trzeba brać ludzi podług ich miary. Moja droga, to nie jest żadna chęć swatania, ale zrobić kogoś szczęśliwym, to przecież jest miło; a jeżeli można, to jest obowiązek.

Pani Bisza pokręciła głową i powiedziała, że wszystko to jest bardzo piękne, ale że radzi, jak zawsze, być więcej niż ostrożną.

Tymczasem Rdzawicz, kiedy uczuł się już jako tako na siłach, pomimo zakazu lekarzy i perswazyj znajomych, począł pracować. Kazał odlać w gipsie „Anioła śmierci“, tak, jak był, z zaznaczoną

tylko twarzą kobiety, a nadto z forsownym pośpiechem wykończał „Opuszczenie“. Męczyło go to i wysilało, ale na wszelkie przełożenia, że może się rozchorować na nowo, nie zwracał uwagi. Jedna tylko Heimerthowa nie wstrzymywała go od roboty; owszem uważał, że ilekroć spotkał się z nią z potem na czole i wypiekami na twarzy, zdenerwowany i rozdrażniony, ona patrzy na niego z niezwykłem zajęciem i jakby z jakimś rodzajem entuzyazmu.

Raz powiedziała mu:

— Pan tworzy swojem życiem, jak Rafael, jak Byron, jak Chopin i Słowacki.

— Wszyscy młodo pomarli — odrzekł.

— Tak, ale to są najpoetyczniejsze postacie w sztuce.

— Kochankowie bogów umierają młodo — uśmiechnął się.

— Pan jesteś takim kochankiem bogów — rzekła z nieco melodramatycznem spojrzeniem.

— Życzy mi pani wczesnej śmierci?

Ona nic nie odpowiedziała, tylko otuliła się w cienki jak muślin, szal turecki i oparłszy głowę o poręcz fotelu, zapatrzyła się w niebo.

Forsowna praca nie doprowadziła wprawdzie do recydywy, ale rozdrażniła go do najwyższego stopnia. Począł nie znosić ludzi. Irytacyę potęgowało to, że wysłał był do secesyi monachijskiej oba swoje obrazy i wszystkie rzeźby, z wyjątkiem tylko

nieskończonej „Trucicielki“ i odlewu „Anioła śmierci“. Z rzeczami temi pojechał do Monachium Tężel, który nie chciał ich samych puścić, a nadto ciekawy był ostatniego ruchu secesyonistów. Rdzawicz nie cierpiał teraz niczyjego towarzystwa, z wyjątkiem Heimerthowej i Łanowskiego; zdawało mu się, że wszyscy inni nie rozumieją go, chcą z niego zrobić „filistra“ i chcą go traktować, jak żeby był „urzędnikiem z banku dla handlu i przemysłu“ albo „współwłaścicielem firmy korzennej“. Dostawało się za oczami nawet pani Laurze. W Heimerthowej miało dla niego urok to, że odgadywała w lot jego najdziksze fantazye i nie dziwiła się i nie sprzeciwiała żadnej. Nawet jej egzaltacya, która go z początku raziła trochę, zaczęła mu się podobać, jako przeciwieństwo do „filisterskiego rozsądku“. Łanowski zaś zastępował mu Tężla, mając dla niego to samo uwielbienie, co tamten, tylko w daleko wytworniejszej formie.

O wyjeździe do Rosieńskich słyszeć teraz nie chciał i zapowiedział, że się nie ruszy, dopóki wiadomości z Monachium nie otrzyma, i że wogóle wątpi, aby na tę wieś pojechał. Przedewszystkiem szarpało nim to, że nie wiedział nic o Maryi; ostatniem z nią spotkaniem się, tem niespojrzeniem na niego, tą absolutną względem niego obojętnością, czuł się tak upokorzonym, że nie mógł się zdobyć na to, aby się o nią spytać. Zaczął wtedy przypuszczać, że jeźli miłość może być wielka, jak

świat, to miłość własna może być jeszcze większa, i że jeżeli można przestać kochać, to się nigdy nie zapomni upokorzenia. Czy kochał jeszcze teraz Maryę? nie umiałby sobie był sam odpowiedzieć. Chwilami zdawało mu się, że tak, chwilami, że nie. O tem, że się przez nią uczuł upokorzonym, pamiętał ciągle i ciągle jednakowo. I zdawało mu się, że gdyby mogła tu być mowa o wybaczeniu, prędzej wybaczyłby jej to, że go rzuciła, niż to, że dała mu poznać, iż jest dla niej niczem. Teraz już upokarzało go to przed nim samym, że on o niej myśli i pamięta, ale zarazem czuł, że gdyby mu chciano tę myśl i pamięć wydrzeć, musianoby je z jego żył razem z krwią wytoczyć i razem z życiem mu je odebrać. Czy ją kochał jeszcze, nie wiedział; ale czuł, że do tej myśli i do tej pamięci, wżytej w jego istotę, jak część składowa jego organizmu, przywiązany jest najbardziej na świecie.

Wydobył portret Maryi z szuflady i kiedy był sam, wpatrywał się weń całemi godzinami, poczem na nowo chował go jak pierwej. Po każdem takiem patrzeniu rosła w nim tęsknota do niej i żal za nią. Z początku bronił się tym uczuciom, odpędzał je, przypominał sobie spotkanie; ale teraz Marya stawała mu coraz częściej przed oczyma w tej pierwszej chwili, z ogniem na twarzy i zamarłem słowem na ustach, kiedy go pierwszy raz spostrzegła na raucie. Poddał się tęsknocie i żalowi.

Godzinami patrzał, zamknięty na klucz w pracowni, na swego „Anioła śmierci“ na blok marmuru, w którym go miał kuć, a który sprowadził, sprzedawszy Stosławskiemu naprzód „Trucicielkę“, i na portret Maryi, podług którego miał niegdyś modelować jej popiersie. I wydawało mu się, że życie jego całe, ze wszystkiem, co w niem zaszło, od chwili poznania Maryi, to sen, że się zbudzi i odnajdzie takim, jak pierwej, kiedy rzeźbił „Dyanę“ i „Miłosny uścisk centaurów“, uganiał się za ulicznemi pięknościami i kłócił z Tężlem, który go namawiał do umiarkowanego życia.

Co do Maryi, przypuszczał, że prawdopodobnie jest już przynajmniej po słowie z Borzewskim; gdyby była po ślubie, niepodobieństwem było, aby się był o tem w jakikolwiek sposób nie dowiedział, mimo, że nie mówił z nikim o niej i nie czytał gazet, aby przypadkiem nie wyczytać ogłoszenia o jej zaręczynach, albo ślubie. Czuł jednak, że dłużej bez wiadomości żadnej poprostu nie wytrzyma. Ze swoich znajomych nie chciał mówić z nikim; jedyna osoba, z którą zdecydowałby się mówić, była Jadwiga Strzeliska. Ona jedna znała całą ich przeszłość, ona doprowadziła do tego, że dali sobie słowo, spojrzała nań wreszcie na raucie z takiem jakiemś rozumiejącem współczuciem. Nie zwlekał dłużej. Jeżeli jest w Klężu, napisze do niej, jeżeli w Warszawie, będzie się chciał zobaczyć. Na szczęście dla jego gorączkowej niecierpliwości Strzeliska

była w Warszawie, a na listowną prośbę, że chciałby się z nią koniecznie widzieć, odpowiedziała, że przyjdzie do niego do pracowni nazajutrz rano, i że zapewne będzie mu swobodniej mówić, jeżeli nikogo w niej nie zastanie, ale że ona zresztą o to nie dba; dodała zarazem, że jest ciągle w Warszawie i dopytywała się o jego zdrowie, a nawet byłaby chętnie przychodziła go dozorować tak, jak inne panie, ale bała się drażnić go swoim widokiem, a przytem najpewniej dla tych samych względów byliby jej do niego nie dopuścili.

O tem, że Strzeliska dowiadywała się o niego w czasie choroby, nie mówiono mu naumyślnie nic, z zupełnie zrozumiałych przyczyn, ale wiadomość ta ujęła go bardzo; przyszło mu nawet na myśl, że może prosiła ją o to Marya i znów począł myśleć, że nie może być, aby w Maryi już nic dla niego nie pozostało, nie może być pomimo wszystko... Chęć Strzeliskiej przyjścia do pracowni nie zdziwiła go; pamiętał ją, że była gotową na wszystko, zuchwałą do zaawanturowania się, i że największą satysfakcyę sprawiało jej brawowanie opinii ludzkiej.

Oczekiwanie Strzeliskiej wprawiło go w stan ogromnego rozgorączkowania. Przez to, że miał się spotkać tak blizko z kimś tak blizkim Maryi i tego, co między nimi zaszło, uczuł się na nowo tak zbliżonym do swej przeszłości, że miał wrażenie, jakby cały okres po zerwaniu znikł w jego życiu. Wszystko,

co dotyczyło jego i Maryi, poczęło występować z nadzwyczajną siłą i świeżością barwy w jego pamięci; zupełnie, jak żeby ktoś stary obraz z pyłu i prochu ocierał. Już teraz przypominał sobie nietylko tualety Maryi, ale każdy nieledwie deseń na jej sukni; widział nietylko jej spojrzenie, ale odróżniał prawie rzęsy nad jej oczami i zdawało mu się, że ją pamięta każdy włosek osobno; nietylko pamiętał jej ruchy, ale zdawało mu się, że widzi każde drgnięcie jej palca, jakie kiedykolwiek mógł spostrzec. Stanęła mu w oczach tak żywa, tak świeża, jak nigdy, nawet wtedy, kiedy za nią najbardziej tęsknił i kiedy wszystką moc duszy wtłaczał w pamięć i w wyobraźnię, aby ją sobie zdaleka i straconą na zawsze, jak najżywszą odtworzyć. Widział puszek na jej twarzy i drobne błękitne żyłki na skroniach i biegnące ku szyi; tony kolorów na jej ręce i migdałki jej długich wązkich paznogci... zdawało mu się, że naprawdę mógłby ręce wyciągnąć, aby ją objąć i że mógłby malować, lub rzeźbić jej portret zupełnie tak, jak z żywej.

— Ty jej nie rzeźbisz z tego tam, ty ją masz w duszy... — powiedział mu niegdyś Tężel... tak dawno, tak dawno... kiedy Marya była jeszcze jego i kiedy mógł przysięgać, że nigdy niczyją inną nie będzie...

Anioła śmierci osłonił draperyą, portret zaś to chował, to wydobywał napowrót. Nie mógł się zde-

cydować, czy zostawić go przy Strzeliskiej, czy nie? Wyglądałoby to tak, jakby chciał, aby Strzeliska portret ten zobaczyła i powiedziała o nim Maryi, że wisi na ścianie, jako „dowód niewygasłej miłości“. Na ten frazes z tysiąca i jednego romansów, wzdrygał się z obrzydzenia. Czy jednak portret będzie wisiał, czy nie, wszystko jedno, bo najlepszym „dowodem niewygasłej miłości“ jest to, że chce ze Strzeliską mówić o Maryi. Zresztą owszem, niech zobaczy ten portret na ścianie i niech opowie o nim; czy on ma się wstydzić tego, że kocha, on, który miał Maryę u swych kolan i któremu się do piersi cisnęła? Niech Marya wie o tem, że jej nie przestał kochać, jak przysiągł, że nie przestanie nigdy. Myśląc tak, choć sam do tego nie przyznawał się przed sobą, czuł, że jeżeli z jednej strony zależy mu na tem, aby wiedziała, że jej kochać nie przestał, to z drugiej strony sprawia mu satysfakcyę to, iż Marya będzie musiała uczuć wobec niego swoją niższość, swoją bądź co bądź, po czyjejkolwiek stronie faktyczna klęska, przegraną w tej kampanii. Można czasem zginąć, a zwyciężyć — właśnie tem, że się ginie.

Strzeliska zapowiedziała swoje przyjście do pracowni na godzinę dziesiątą rano; wstał o ósmej i przez cały ten czas usiłował się czemś zająć, aby czas skrócić i aby się uspokoić. Przemęczył się myślą, że będzie mówił o Maryi i nagle zaczęła się w nim budzić reakcya. Zaczęło mu się wydawać

to wszystko przesadzone i niepotrzebne. Właściwie po co on się ze Strzeliską chce zobaczyć? Cokolwiekbądź Marya robi: nie jest dla niego, ani z myślą o nim. Czy jest już narzeczoną Borzewskiego, czy nie, ostatecznie nie wpłynie wcale na to, że jego narzeczoną być przestała, a w końcu rozpytywać się, czy panna, która mu rok temu zwróciła słowo, idzie za mąż, albo nie, i za kogo: jest nawet trochę śmieszne. Możeby jeszcze rewolwer położył na stole. Strzeliska jest waryatka, zawsze nią była i jest kontenta, że zdarza jej się zrobić coś tak pod włos konwenansowi, jak pójście panny samej jednej do prywatnego mieszkania młodego człowieka, bo pracownia, czy nie pracownia, zawsze to jest jego prywatne mieszkanie. Będzie to dla niej nowy dowód, że jest *esprit fort*, którym nieomieszka bryzgać w oczy światu przy każdej sposobności. Przytem nowa okazya „odgrywania roli w życiu wybitnych ludzi“, co było w jej stosunku do niego zawsze dosyć źle i niezręcznie ukrywaną intencyą i słabością; nakoniec wyższe, bo nieinteresowane osobiście stanowisko między dwojgiem, co zawsze lubiła. Że pocałowała go w palec, kiedy siedział u stóp Maryi, to jest fakt, ale że potem roztaczała nad nimi z góry opiekuńcze skrzydła z ogromną satysfakcyą właśnie dlatego, że z góry, to także fakt.

Cała ta Jadwiga Strzeliska razem ze swojem espriforstwem jest niesmaczna. Z pewnością mogła

w stu innych miejscach oznaczyć mu *rendez - vous*, nie właśnie w jego pracowni o dziesiątej rano, a najstosowniejby zrobiła, żeby mu była odpisała, że wcale nie widzi powodu, dla którego mieliby z sobą mówić. Wszystko, co ona robi, robi dla pozy i dla tego, żeby o niej gadali, byłaby przychodziła go dozorować podczas choroby. Najlepiejby było, żeby wcale teraz nie przyszła. Możnaby do niej napisać, aby się wstrzymała ze swoją wizytą w jego atelier o dziesiątej rano. I ten portret na ścianie, ta cała afiszerya... wszystko to razem jest przedewszystkiem śmieszne. Przeprosi Strzeliską, że pisał do niej w rozdrażnieniu, że właściwie niema się o co jej pytać, i wytłómaczy, że wskutek choroby i zmęczenia, czasem nie zdaje sobie jeszcze dobrze sprawy z tego, co robi. Sięgnął ku ścianie, aby zdjąć portret i schować go; ale kiedy położył go na stole, ciemno - szafirowe o złocistym blasku oczy Maryi spojrzały nań — i opadł na krzesło, opierając czoło na ściśniętych pięściach. Oczy Maryi spojrzały mu w głąb duszy, w której odezwał się ból silniejszy, niż wszystko.

W tej chwili usłyszał pukanie: zerwał się i odwrócił portret twarzą do stołu. Czuł, jak oblewa go gorąco.

W ciemnej sukni i w ciemnym kapeluszu, dosyć wysoka i szczupła, weszła Jadwiga Strzeliska, nieco bledsza niż zwykle.

Rdzawicz skłonił się jej, podszedł ku niej i po-

dali sobie ręce, a Jadwiga dała mu w swoim delikatnym uścisku tyle serdecznego ciepła, że ujęty odrazu ścisnął jej rękę raz drugi, z całem wylaniem człowieka, który się czuje słabszy i któremu okazują współczucie.

Powiedzieli sobie wszystko: wiedział, że Jadwiga nie potrzebuje się pytać, po co przyszła?

Usiadła na podanem krześle i rzuciła okiem po pracowni; Rdzawicz widział, że mimo całego wrodzonego zuchwalstwa i pasyi do brawury, czuje się cokolwiek zażenowaną. Trwało to jednak bardzo krótko: z zupełną swobodą zapytała go:

— Jakże się pan ma?

Odpowiedział jej, że teraz już prawie zupełnie dobrze, tylko że się czuje zmęczonym.

— Ładnie tu jest — mówiła dalej. — Pan może dziwi, że wybrałam pańską pracownię, ale zdawało mi się, że tu będzie najswobodniej, zresztą dlaczegóż mieliśmy szukać innego punktu, kiedy mieliśmy ten. Nikt mnie nawet nie widział, jakem tu szła, a gdyby i widział, to mi wszystko jedno. Babcia, która jest w Warszawie, jest przekonana, że poszłam do kościoła i jest zachwycona. Powiem jej, że byłam na całej mszy i że modliłam się specyalnie do świętej Teresy, bo to jej ulubiona święta.

Rdzawiczowi wydały się i ten ton, jakim Strzeliska mówiła, za pospolicie cyniczny, i to, co mówiła, niesmaczne; być może jednak, że poprostu chciała

zrobić jakikolwiek wstęp do rozmowy. Jemu zaś wszystko, o co chciał pytać, uwięzło w gardle.

— Co pan tam ma? — spytała, wskazując głową odkrytego Anioła śmierci.

Jemu błysnęła nagle myśl, że tak będzie najlepiej: wstał i odsłonił grupę.

Jadwiga podniosła się z krzesła, podeszła i poczęła patrzeć.

— Rozumiem tak, jak rozumiałam Wampira — powiedziała smutno i ze współczuciem.

— Niechże mi teraz pani powie — — rzekł Rdzawicz, przysuwając jej krzesło.

— Jest narzeczoną.

Rdzawicz uczuł, że ogień uderza mu w głowę, ale zarazem zdziwił się, pierwsze uczucie bowiem nie było bolesne, ale przeciwnie, jakby przynoszące ulgę po długiem cierpieniu. W jednej sekundzie przemknęły mu myśli: a więc skończyło się, zapadło i trzeba skończyć... Jakby odetchnął po zrzuceniu z ramion wielkiego ciężaru i jakby jakieś dawne swobodne życie znów otwierało się przed nim. Bądź co bądź, przecież jest dno w tej przepaści. Blada i czysta twarz Eli Rosieńskiej zamajaczyła mu w oczach.

— Borzewskiego? — rzekł prawie swobodnie.

— Nie, Kołolaskiego — odparła Strzeliska.

Rdzawicz cofnął się. Nie mógł zrozumieć.

— Co? co? — zapytał.

— Kołolaskiego — powtórzyła.

— Jakto? Tego grubego, niemłodego blondyna z pod Klecka?

— Tak. Tego.

— Jakże się to stało? Kiedy?

— Przed dwoma tygodniami.

— A cóż Borzewski?

— Niema go teraz w Warszawie.

— Wszakże on się kochał w niej?

— Tak, nawet bardzo.

— Przecież i ona w nim?

— Tak, i jeszcze się kocha.

— No, więc dlaczegóż się tak stało?

— Bo nie mogło być inaczej. Zresztą to ja zrobiłam — rzekła spokojnie Strzeliska.

— Pani?! Ale dlaczegóż?

— Mówię panu, że nie mogło być inaczej. Borzewski zbankrutował ze szczętem.

Rdzawicz doznał jakiegoś wrażenia satysfakcyi i przyjemności.

— Jak pan zapewne słyszał — mówiła dalej Strzeliska — założył on hutę szklaną do spółki z Siodłowskim z Ukrainy i kniaziem Mojwiłłem. Spółka była tego rodzaju, że Borzewski i Siodłowski dawali pieniądze, a Mojwiłł, który oprócz tytułu kniaziowskiego, nic niema, ale się specyalnie kształcił za granicą, miał być dyrektorem technicznym. Tymczasem Siodłowskiemu, który jest milioner i fantastyk, odechciało się nagle huty szklannej, w której przyszłość przestał wierzyć, pokłócił się z Borzew-

skim i skorzystawszy z jakiegoś punktu rozwiązalności kontraktu, podobno nawet niezupełnie formalnie, pieniądze wycofał. Borzewski pozostał sam, z mocno zachwianem zaufaniem u ludzi do całego interesu. Zaczął forsować i zaangażował majątek swojej rodziny, na który zaciągnął dług. Nagle stary papa Borzewski, który jest ramolciowaty, wpadł ni stąd ni zowąd na pomysł spróbowania szczęścia na giełdzie w Kijowie, aby synowi dopomóc, i w przeciągu trzech dni uwinął się z siedmdziesięciu tysiącami rubli. Borzewskiemu usunęła się teraz ziemia pod nogami i postąpił lekkomyślnie nad wszelki wyraz: zaangażował w przedsiębiorstwie kapitał trzech swoich małoletnich sióstr stryjecznych, którym zawiadywał w zastępstwie ojca: sto dwadzieścia tysięcy.

— Pani to nazywa lekkomyślnością? — wtrącił Rdzawicz trochę zdziwiony. — Przecież to kryminałem pachnie.

— On był pewny, że wyratuje temi pieniędzmi siebie i cały majątek i zwróci wszystko. Byłby był może i wybrnął, gdyby był siedział na Ukrainie i pilnował interesu, ale on siedział w Warszawie, bo się kochał w Maryni, a tymczasem Mojwiłł, który, jak się pokazało, nie wiele się różni od swoich kuzynów, tych, co to ich wyprosili z klubu w Kijowie, pieniądze te częścią przegrał i przehulał, a w części znikły; zdaje się, poprostu schował je do kieszeni. Zdaje się, że zmiarkował skąd te

pieniądze pochodzą i że trudno będzie bardzo się o nie upominać; Borzewski mu naturalnie wytoczyć procesu nie mógł, bo musiałby się zdemaskować. Ostatecznie, sprzedawszy wszystko, co mieli, zdołał dziewięćdziesiąt tysięcy swoim siostrom stryjecznym zwrócić, ale poza tem pozostał literalnie bez grosza. Ziemia poszła na licytacyę, oba zaś domy w Kijowie i wybudowaną już hutę szklanną nabył milioner kijowski, ochrzczony przed dwunastu laty Salomon Goldfeld.

— Kiedyż się to wszystko stało?

— W przeciągu ostatniego pół roku. Kiedy Borzewski poznał Maryę, już interesy jego majątkowe były nadwerężone, bo to było podczas wycofywania się Siodłowskiego, choć o tem jeszcze nie wiedziano, Siodłowski bowiem zgodził się, aby nie podkopywać odrazu sprawy, do czasu z rozgłoszeniem swego cofnięcia się wstrzymać. Ojcu mojemu mówili znajomi prawnicy, że Borzewski mógł właściwie Siodłowskiego do utrzymania kontraktu procesem zmusić, ale on nie miał wtenczas do tego głowy, bo się kochał w Maryni. Podobno włosy na głowie stają, jak on to wszystko prowadził, z jaką szaloną rozrzutnością, lekkomyślnością, łatwowiernością i zupełnie bajeczną nieznajomością rzeczy. Przytem oni podobno żyli szalenie nad stan i jak mówią, połowa tego, co wydawali, szła z kapitału i z pożyczek. Tak więc, pewnego pięknego poranku, piękny i „niezwyciężony“ Borzewski zna-

lazł się bez grosza, pod grozą kryminalnego procesu za sprzeniewierzenie trzydziestu tysięcy z sumy małoletnich.

Rdzawicz zauważył, że Strzeliska wymawia ostatnie słowa z pewną, niezupełnie skrywaną satysfakcyą.

— Czy był już po słowie z Maryą? — spytał.

— Na szczęście dla niej, po cichem, tak, że o tem, prócz mnie, nikt nie wiedział... Chciał się uroczyście oświadczyć dopiero wtedy, kiedyby mówiono, że panna Tyżwiecka idzie za milionera, bo, jak twierdził, ona tylko za milionera iść powinna, a potem zaraz w kilka tygodni miał być ślub. On projektował ślub na październik.

— Jakże, tak w paru miesiącach chciał zrobić miliony?

— Nie, ale do tego czasu fabryka miała już dawać wszelką gwarancyę, że je zrobi. On był tego najpewniejszy, nawet po wycofaniu się Siodłowskiego, dopóki ojciec nie przegrał na giełdzie.

— No tak, ale jeszcze z tego wszystkiego nie rozumiem, dlaczego Marya jest narzeczoną Kołolaskiego?

— Niechże pan czeka. Borzewski oświadczył się Maryi w sekrecie na owym raucie, na którym pan nas spotkał, a na którym uprosił, żebyśmy były, bo miałyśmy tego dnia wyjechać. Na tym samym raucie oświadczył się jej także Kołolaski, któremu odmówiła, nic jednak nie mówiąc mu o Borzew-

skim. Marya nie chciała już wyjeżdżać, wynalazła powód, że jest niezdrowa i została u ciotki Porzelskiej, a ja z nią. W trzy tygodnie może po owym raucie, Borzewski, który w dziesięć dni po oświadczeniu się wyjechał, wraca do Warszawy, wpada do nas mocno pomieszany i prosi mnie, bo pierwszą mnie spotkał, że chce koniecznie mówić z Maryą na osobności. Domyśliłam się, że coś złego, bo o jego finansowych stosunkach mówiono coraz gorzej i nawet ciotka Porzelska przestała już o nim mówić: pan Stanisław, tylko: pan Borzewski, — i czując, że mogę być potrzebną, usiadłam w drugim pokoju, obok salonu, do którego go wpuściłam. Ciotki nie było w domu. Nie wiem, czy zamienili piętnaście słów z Maryą, kiedy Borzewski wypada, wołając: wody! – bo Marya zemdlała. Otrzeźwiliśmy ją i otóż co się stało: Borzewski przyszedł z rewolwerem w kieszeni pożegnać się z nią, postanowił sobie bowiem w łeb palnąć.

— Ten świetny Borzewski? — rzekł Rdzawicz przypominając sobie pięknego blondyna z dużemi wąsami.

— Ten świetny Borzewski — powtórzyła Strzeliska. — Wtenczas Marya zrobiła to, co była zrobić powinna: padła przed nim na kolana i zaklęła go na wszystkie świętości, aby przyjął jej posag, który miał być przecież za kilka miesięcy jego własnością i pokrył z niego to, czego brak w sumie jego sióstr małoletnich. On z początku o tem sły-

szeć nie chciał, potem, pod grozą, że jeżeli nie przyjmie, to ona się otruje, zgodził się.

Rdzawicza począł wstrząsać nerwowy dreszcz i kurcz ścisnął mu gardło: zdjął go niewypowiedziany żal nad Maryą, a zarazem niewypowiedziany żal, że tyle miłości i tyle poświęcenia z jej strony odbierał kto inny, nie on; względem Borzewskiego zaś burzyła się w nim niechęć, gniew, że Marya przez niego cierpi, i zazdrość, silniejsza, niż wszystkie inne uczucia.

— Było to jednak łatwiej przyrzec, niż zrobić — mówiła dalej Strzeliska — gdyż Marya nie jest jeszcze pełnoletnią, a ojciec mój, do którego uproszona przez nią pisałam, a który administruje jej majątkiem, oświadczył mi wręcz, że odda powierzony sobie posag Maryi albo jej, kiedy dojdzie do pełnoletności, to jest za czternaście miesięcy, albo jej mężowi, jeżeli przedtem za mąż pójdzie. Pytał się także, dlaczego Marynia chce podjąć tak znaczną część posagu, a my naturalnie nie mogłyśmy powiedzieć, żeby Borzewskiego nie kompromitować. Tymczasem zachodziła obawa, że rada familijna, opiekująca się jego siostrami stryjecznemi, lada dzień się zbierze i jako od bankruta zażąda zwrotu powierzonych mu stu dwudziestu tysięcy. Mnie się zaś zdaje poprostu, że rada familijna wiedziała, co się stało i nie zbierała się naumyślnie dla uniknienia skandalu w rodzinie, mając nadzieję, że Borzewski jakoś tę rzecz załata. Wszyscy wie-

dzieli, że on ma nieodparty czar dla kobiet, i że przy swoich warunkach, może się jeszcze, mimo bankructwa, majętnie ożenić. Zrobiło się głośno, że szalenie się w nim kocha córka owego Goldfelda, o którym panu wspominałam, za którą ojciec dawał gotówką coś dwakroć, czy trzykroć, a marzył o tem, żeby poszła za szlachcica i mówił wprost, że jego córka jest taka „świrża“, że tylko może pójść za „zbankrutowane ski“ i on jest na to przygotowany. Cała familia zaczęła teraz Borzewskiego przeć do tego, aby się ożenił z Goldfeldówną; co on im tam mówił, nie wiem, ale nam przysięgał, że się z nią nigdy i za nic nie ożeni, i że bądź co bądź musi sobie w łeb palnąć, bo tego, żeby mu wytoczono kryminalny proces i nazwano złodziejem, nie przeżyje, a Marya już i tak dla niego stracona, więc niema po co żyć i tym podobne.

— A Marya? — zapytał Rdzawicz, którego twarz piekła, jak w gorączce.

— Marynia rozpaczała. Iść za Borzewskiego, który miał na głowie teraz utrzymanie siebie i całej rodziny zrujnowanej do ostatniego i zostać, po zapłaceniu owego deficytu trzydziestu tysięcy, z jakimiś dwunastu tysiącami, to znaczyło skazać się na ostatnią nędzę. Borzewski zaczął się wprawdzie zaraz starać o posadę, ale on kończył wydział historyczno-literacki w Berlinie i o niczem praktycznem pojęcia niema. Nigdzie nic znaleźć nie mógł, jedynie Goldfeld ofiarował mu posadę swego sekre-

tarza, z pensyą dwóch tysięcy rocznie; ofiarowała mu ją raczej panna Goldfeldówna, która krzesze ojcu, zupełnie ordynarnemu żydowi, kołki na głowie. Naturalnie Borzewski, ożeniony z panną Tyżwiecką, tej posady byłby nie dostał. Wtenczas ja postanowiłam ująć wszystko w rękę. Wystawiłam Maryni, że skazać się dobrowolnie na nędzę, byłoby ostatniem głupstwem z jej strony. Ona z początku wołała, że woli suchy chleb z Borzewskim, niż z innym miliony, ale powoli zaczęła się tej nędzy bać. Wtedy ja podałam jej plan następujący: zmuś Borzewskiego, żeby się ożenił z Goldfeldówną, przez co wyratuje nietylko siebie, ale swoją opinię i całą swoją rodzinę, ty zaś idź za Kołolaskiego. Innej drogi niema przed wami. Będziecie mogli wtenczas robić, co się wam spodoba. Kołolaski jest niemłody i ogromnie głupi, nie spostrzeże, a choćby spostrzegł, nie uwierzy. Każdy inny człowiekby cię krępował; on zaś jest jak stworzony na to, co go czeka. Borzewski zaś jest dosyć sprytny, aby swojej żydówce oczy zamydlić.

— Ależ to jest potworne! — krzyknął Rdzawicz, który doznał takiego uczucia wstrętu względem Strzeliskiej, że ledwo się wstrzymał, aby jej nie porwać za ramiona i za drzwi nie wyrzucić. — To jest potworne! Pani chyba nie wie, co pani radziła Maryi! I ona chyba tego nie rozumie!

— Owszem, panie — odpowiedziała Strzeliska — i ja wiem i ona rozumiała. Przedewszystkiem za-

pomina pan o tem, albo pan nigdy tego nie spostrzegł, że Marynia naprawdę nie kocha nikogo i nic, tylko swoją urodę i to, że się ludzie w tej urodzie kochają. Poza tem są w niej tylko nerwy. Byłaby oddała bezwątpienia swój posag Borzewskiemu, ale to nie serce ją do tego popchnęło, tylko nerwy.

— Dlaczego pani o niej tak mówi? — przerwał jej Rdzawicz, zewnętrznie oburzony, wewnętrznie jednak czując, że Strzeliska ma racyę.

— Bo ją znam. Marynia wahała się czas jakiś, ale jakem jej wystawiła, że to ona właściwie zgubiła Borzewskiego, kokietując go i włócząc z rautu na raut i z balu na bal, zamiast kazać mu pilnować interesów, i że zmarnuje go do reszty, albo zmusi do odebrania sobie życia, przystała na to, żeby się ożenił z Goldfeldówną. Tylko o swojem małżeństwie z Kołolaskim słyszeć nie chciała. Oświadczyła, że zostanie starą panną. Ledwo jej wyperswadowałam, że lepiej z siebie zrobić tę małą ofiarę i pójść za Kołolaskiego, który, między nami mówiąc, jest bardzo dobry człowiek i ma wadę sercową, niż narazić się na skandal, albo, co gorzej, zmarnować życie; że zaś lepszego męża w danej sytuacyi ze świecą nie znajdzie. Ostatecznie przekonałam ją.

— Zgodziła się? — spytał Rdzawicz głosem tak głuchym, jakiego u siebie nie słyszał nigdy, i mając uczucie, jak żeby mu w piersiach woda ostre głazy przewracała.

— Zgodziła. Marynia jest nerwowa, wrażliwa, rządzi się chwilą, ale nie jest głupia. Tylko z nim była straszna bieda. Wołał, że sobie w łeb palnie i Marya musiała go znów na klęczkach prosić, aby zrobił, co rozsądek każe i co jest jedynym ratunkiem dla niego, a jedyną drogą wyjścia dla obojga. Ja mu tłómaczyłam, że ponieważ nikt nie wie o tem, że byli z Marynią po słowie, a Kołolaski kręcił się koło niej równie jak on, i nawet dawniej, więc to nie spadnie z nieba, wyda się zaś całkiem naturalnem, że panna ze średnim posagiem woli iść za człowieka majętnego, niż za bankruta, a jeszcze naturalniejszem, że się ktoś zbankrutowany ratuje bogatym maryażem, tembardziej, gdy jest taka pyszna odpowiedź, że się ulega presyi ze strony rodziny i poświęca dla niej. Wyjdziesz pan jeszcze na bohatera — powiedziałam Borzewskiemu, któremu teraz przedewszystkiem o to chodziło, co ludzie powiedzą, którzy wiedzieli, że się kocha w Maryni. Co do niej, gdy się raz zdecydowała, to, jak u niej zawsze, trzeba ją było wstrzymywać od pośpiechu, aby uniknąć jakichś podejrzeń. Kołolaski, po odmowie przestał bywać, trzeba go więc było na nowo ściągnąć, cośmy z ciotką Porzelską zrobiły bardzo prędko, rozgłosiwszy przedtem szeroko, że się już raz oświadczał, a Marynia podczas pierwszej wizyty powiedziała mu, że się namyśliła i jest gotowa pójść za niego za mąż, byle zaraz.

— A cóż Borzewski?

— Wyprawiłyśmy go do Kijowa do Goldfeldów, nie był bowiem pewny i od czasu do czasu odgrażał się, że naprzód zastrzeli Kołolaskiego, a potem siebie.

— A Kołolaski?

— Padł Maryni do nóg i rozpłakał się, a potem ciotce Porzelskiej do nóg, mnie do nóg, myślałam, że nakoniec i służącą uhonoruje. Pytał się o Borzewskiego, o którym był przekonany, że Marynia nim jest zajęta i że dlatego mu odmówiła — każdy mężczyzna jest głupi — ale ja odpowiedziałam mu za nią, że istotnie podobał jej się z urody, ale że dowiedziała się o nim, że jest lekkomyślny i to ją do niego zraziło, a nadto, że rodzina prze go do bogatego maryażu dla ratowania sytuacyi majątkowej, więc Marynia, gdyby nawet kochała — o czem niema mowy — cofnęłaby się przed wolą familii. Niech pan sobie wyobrazi, że ten głupiec padł nam znowu wszystkim trzem do nóg i nazwał nas aniołami. Na pytanie zaś jego o Borzewskiego, w którego miłość dla Maryi mocno wierzył, odpowiedziała bardzo sprytnie ciotka Porzelska, że właśnie to Marynię przedewszystkiem do niego zraziło, że się dowiedziała, iż namyśla się między nią a Goldfeldówną.

Rdzawicz tupnął nogą i krzyknął z oburzeniem:

— A cóż Marya na te wszystkie kłamstwa i oszustwa?!

Strzeliska, którą rozgrzało długie mówienie, po-

bladła nieco i powiedziała z wyrozumiewającą i pobłażliwą godnością osoby wyżej rozwiniętej, niż ten, który mógłby ją obrazić, ale jej nie obraża:

— Używa pan za drastycznych wyrażeń, albo je pan nie dobrze rozumie. To są rzeczy codzienne w życiu.

— Przepraszam panią — rzekł zimno Rdzawicz, który chciał się wszystkiego do końca dowiedzieć. — Więc cóż Marya?

— Marynia po wyjściu Kołolaskiego dostała serdecznego śmiechu, w którym nie można jej było uspokoić, i w końcu spazmów. Ona jest za nerwowa.

— Państwo ją zabijacie, tę biedną Marynię.

— Nie panie, serdeczny śmiech i spazmy nie są rzadkością u panien z jej usposobieniem. Nie była nawet wtedy zupełnie zdrowa, wie pan... Pamięta pan, że ona koło dwudziestego piątego bywa zawsze rozdrażniona... Stała się potem jeszcze awantura. Oto ni stąd ni zowąd, już po zaręczynach Maryni z Kołolaskim, po zamienieniu pierścionków, zjawia się Borzewski i mówi, że on się w żaden sposób na to nie zgodzi, że Kołolaskiego zastrzeli, Maryę, Goldfeldównę, wszystkich. Jak dziki człowiek. Zerwał Maryni obrączkę zaręczynową z palca, a ona, na którą on istotnie ogromne wywiera wrażenie, ze swoją naturą wrażliwą i poddającą się łatwo, już na jego rozkaz wzięła pióro, aby napisać do Kołolaskiego, że zwraca słowo.

Dopiero ja powstałam na Borzewskiego. Powiedziałam mu, że co on sobie myśli z tem wszystkiem? Czy może chce, żeby Marynia była jego kochanką i naraziła się przez niego na skandal? Czy też ma iść do klasztoru i z za kraty wyglądać, jak pan Borzewski jedzie w powozie obok pani Borzewskiej *née* Goldfeld i rozgląda się za ładnemi dziewczętami? Wtenczas on porwał się za głowę i zaczął krzyczeć, że pójdzie do Kołolaskiego w służbę, że może go do czyszczenia butów przyjmie, ale że on go zabije, że nie dopuści do tego, żeby Marynia była tamtego żoną — no, co gadał, trudno nawet powtórzyć, zupełny waryat, jak wy wszyscy zresztą jesteście. Marynia znowu zemdlała; przeląkł się strasznie, a ja zaczęłam mu wprost w oczy wyrzucać, że chce tę dziewczynę zabić, że ją zadręcza, że ona dość z siebie ofiary robi, idąc za Kołolaskiego, bo przecież ze swoją urodą mogłaby iść inaczej za mąż, najświetniej, tylko wtedy mogłoby jemu być trudniej z tej urody korzystać, że powinien to umieć ocenić i uszanować...

— Niech pani przynajmniej tych słów nie używa — przerwał jej Rdzawicz. — Teraz ja pani powiem, że ich pani nie rozumie chyba.

Strzeliska popatrzyła nań uważnie, potem uśmiechnęła się dobrotliwie i rzekła:

— Panie Romanie, jakie pan jest jeszcze dziecko.

On zmieszał się: spokój, pewność siebie Strzeliskiej i ten ton wyższości, jaki wobec niego przy-

bierała, kiedy się ścierali w zdaniu, zbiły go z tropu. Ona zaś patrzała na niego ciągle z tym samym uśmiechem, jak na dziecko, które już jest w tym wieku, że powinno coś zrozumieć, a nie rozumie i przez to jest zabawne.

— Chce pan, żebym panu dalej mówiła? — spytała po chwili. — Choć właściwie historya już skończona.

— Cóż wtedy Borzewski?

— Wyleciał, jak waryat, podobno prosto na kolej i napisał w tydzień do Maryi z Kijowa, że jest po słowie z panną Goldfeldówną, że teść na uregulowanie interesów przedślubnych dał mu piętnaście tysięcy rubli, z czego on dziesięć zaraz dołączył do nadwerężonej sumy nieletnich, a dwadzieścia udało mu się pożyczyć, jako przyszłemu zięciowi Goldfelda, tak, że już nic nie jest winien i nic mu nie grozi, ale że czuje się tak nieszczęśliwym, że niema ochoty żyć, że w miłość jej dla siebie nie wierzy, i że najlepiejby było, gdyby sobie życie odebrał. Marynia rozpłakała się nad tym listem tak, że jej utulić nie mogłam, i odtelegrafowała: Wierz mi. Tylko dla ciebie, dla nas obojga, robię to, co robię. — Ja jej podyktowałam.

— Ona go jednak szalenie kocha — rzekł jakby do siebie Rdzawicz.

— Marynia? Ona kocha swoją urodę i swoją przyjemność i urodę Borzewskiego.

Wtenczas Rdzawicz popatrzył uważnie na Strze-

liską; miała widocznie satysfakcyę w tem wszystkiem, co mówiła, jak mówiła i że mówiła to właśnie jemu.

— Jest przedewszystkiem zazdrosna o Maryę — pomyślał — zazdrosna o jej piękność, o jej szczęście do ludzi, powodzenie i tryumfy i może sama sobie nie chce tego powiedzieć, ale cieszy ją ten bądź co bądź straszliwy upadek Maryi. Sama zresztą kierowała ją do tego.

— Co pan myśli? — spytała Jadwiga, którą widocznie zastanowił sposób, w jaki Rdzawicz patrzał na nią, spoglądając mu bystro w oczy.

— Myślę, że pani jest bardzo mądra — odpowiedział.

— Nieraz mi to pan mówił... dawniej.

— Tak, mówiłem pani. Kiedyśmy jednak zaczęli mówić o rzeczach dawnych, niech pani mi powie, co znaczyły owe słowa pani, że ja szukam daleko, nie widząc, co mam blizko siebie? Pamięta pani?

Jadwiga zaczerwieniła się, ale nie tracąc zwykłego spokoju i pewności siebie, spytała:

— Czy pan przypuszczał, że Marya kiedykolwiek pana kochała naprawdę?

— Łudziłem się. Wiem oddawna, że nie kochała mnie nigdy.

— Tak. Pan ją zajął tak swoją artystyczną naturą, jak Borzewski swoją urodą i wdziękiem. Być może nawet, że gdybyście się byli nie roze-

szli i pan znalazł się jakimś cudem w sytuacyi Borzewskiego, zrobiłaby dla pana to samo, co dla niego.

— To jest?

— Poszłaby za Kołolaskiego i gotowaby była ofiarować panu swój posag.

Rdzawicz wzdrygnął się.

— Niech pani nawet nie mówi o tem! To jest więcej, niż wstrętne! Czy pani przypuszcza, że jabym się tak samo w tej sprawie zachował jak Borzewski? Że naprzód sięgnąłbym do kasy małoletnich, potem sprzedał się za pieniądze, a nakoniec, korona wszystkiego, zgodziłbym się na to, aby kochana przezemnie kobieta szła za mąż za niedołęgę dlatego, żeby mi w stosunku z nią nikt nie przeszkadzał?! Marya jest słaba i bierna, ale Borzewski jest podły i to wszystko jest ohydne.

— Piękny i „niezwyciężony“ Borzewski — bąknęła półgłosem Strzeliska.

— Borzewski jest podły! — powtórzył Rdzawicz. — Żaden porządny człowiek nie powinien mu ręki podać. I dla takiego człowieka, dla takiego szubrawca, taka kobieta, jak Marya, zaczyna życie od zbrodni!

— Deklamacye — wzruszyła ramionami Strzeliska.

— Może w innym wypadku nazwałbym to inaczej, w tym nazywam to zbrodnią, słyszy pani?!

— Bo pan kocha Marynię.

— Borzewski się był powinien jej zrzec!

— Kiedy ona się go zrzec nie chciała. Panie Romanie, dla jakichś zasad, przesądów i względów moralnych, zrzekać się człowieka, którego się kocha i jedynej prawie satysfakcyi w życiu? Nie, to byłoby za wiele, przyznasz pan.

Spokój i pewność siebie Strzeliskiej zachwiały znów Rdzawiczem; zresztą ona mówiła tylko to, o co on sam sto razy kłócił się z twardo moralnym Tężlem.

— Więc co miało to znaczyć, co mi pani wtenczas powiedziała? — spytał, aby odwrócić rozmowę, brakło mu bowiem odpowiedzi.

Strzeliska uśmiechnęła się, spoglądając nań z góry i rzekła:

— Oto to, że pan szukałeś miłości w Maryni, w której jej pan nie mogłeś znaleźć i ja już wtenczas wiedziałam, że pan nie znajdziesz, a nie chciałeś pan widzieć, że przy panu jest kobieta, która miała dla pana prawdziwą, szczerą przyjaźń.

Rdzawicz miał ochotę powiedzieć: A ja wiem, że tej kobiecie chodziło przedewszystkiem o to, że ja jestem u stóp jej kuzynki, a nie jej — ale się wstrzymał. Jadwiga byłaby wtedy z pewnością wyszła, a on chciał z nią jeszcze mówić. Pominął więc tę kwestyę milczeniem i spytał:

— Dlaczego nas pani zbliżała do siebie i powiedziała nam w końcu, abyśmy się pobrali, kiedy się kochamy?

— Mnie samej zdawało się wtedy na chwilę, że Marya pana kocha. To był mój fałszywy krok.

— Wszak z panią musiała mówić o mnie?

— Mówiła, że pana kocha, a najczęściej, że jej się tak przynajmniej zdaje.

Rdzawicz umilkł na chwilę, potem spytał:

— Niech pani mi powie, co się z nią działo po zerwaniu ze mną?

— Pyta pan o to na końcu, a wszakże, żeby się tego dowiedzieć, chciał się pan widzieć ze mną; czy nie? Wy wszyscy jesteście zawsze najciekawsi, co się działo poza waszemi plecami z kobietą, którą wyście porzucili, albo która was porzuciła. Marya była przez pewien czas ciężko strapiona. Wyrzucała sobie, że pana skrzywdziła, że postąpiła sobie z panem niegodnie, że pan jej nigdy nie powinien i nie może wybaczyć...

— Dla czego ona ze mną właściwie naprawdę zerwała? — przerwał jej Rdzawicz.

— Przedewszystkiem i najbardziej dla tego, że jej się przestało zdawać, że pana kocha. Później, jeżeli pan ciekawy, zaczęła się uspokajać, w parę miesięcy jeszcze się czasem zastanawiała: „co może robić ten biedny Rdzawicz?“ — a w pół roku zdaje mi się że już niedobrze pamiętała pańskie nazwisko. Widzę, że panu jest bardzo przykro, ale mówię panu szczerze, tak, jak pan tego przecież chce odemnie.

— Tak, dziękuję pani — odparł Rdzawicz, usi-

łując opanować dotkliwy ból. — Wiedziałem zresztą, że tak było, że nie mogło być inaczej. Ale niech pani mi powie jeszcze, czy ona z Borzewskim była taka sama, jak ze mną?

— Nie, bo on był inny. Pan jest artysta, a on jest człowiek światowy, nie mający najmniejszego pojęcia o tych subtelnościach w uczuciu, jak pan, ale mogący się daleko więcej podobać kobiecie.

— Marya go o wiele więcej kocha, niż mnie kiedykolwiek kochała, prawda?

— Marynia Borzewskiego kocha o tyle, o ile tylko wogóle ona kochać potrafi. Na nią działa przedewszystkiem u mężczyzny świetność prezencyi, a on to ma w najwyższym stopniu. Przytem ona musi być brana z góry i Borzewski to ma w stosunku do kobiet, choć przed niemi pada na kolana, a pan traktowałeś Marynię na równi z sobą, albo owszem sam jej się poddawałeś.

— Robiło mi to taką satysfakcyę, bo czułem, że jest słabsza.

— Ale kobiety są słabsze i chcą to czuć w stosunku do mężczyzn. One panują tem, że się je traktuje jako słabsze. Kobieta lubi rozkazać prośbą, ale prosić rozkazem, to jest wasza rzecz. Ona zawsze powinna mieć głowę trochę niżej; jeżeli ją ma na równi, zaczyna się rozglądać, bo jej nic nie zasłania, a jeżeli wyżej, zaczyna czuć, że niema na co patrzeć. Kobieta potrafi patrzeć z góry tylko wtenczas, kiedy patrzy z dołu. Im więcej jest ko-

bietą, tem jest wobec was silniejsza, bo nasza kobiecość jest dla was tem, czem dla nas wasza męzkość, a sama natura dała jej wzrost niższy. Pan postępowałeś źle z Marynią; byłeś rozstrojony i zgnębiony przeciwnościami, przestałeś jej imponować, a z chwilą, kiedyś jej przestał imponować, wyrok na pana był podpisany. Sława pańska była wtenczas dopiero w zawiązku, a nadto jest to rzecz która takiej kobiecie, jak Marynia, spowszednieje; świetność towarzyska Borzewskiego nie przestaje jej imponować nigdy i nigdy nie spowszednieje. Takiej kobiecie, w której jest więcej ciała, niż duszy, trzeba przedewszystkiem podobać się z powierzchowności i trzeba to rozumieć, że u nas Polek salon więcej znaczy, niż pokój sypialny, jadalny i gabinet do czytania, a świetność domu więcej, niż szczęście w nim.

— Zdaje mi się, że pani ma racyę — rzekł Rdzawicz, którego szybkie i duże mówienie Strzeliskiej poczęło ogromnie nużyć, a myśl o Maryi coraz bardziej szarpała i odurzała. — To też najlepiej jest ich unikać dla ludzi nie tak świetnych, jak Borzewski.

Strzeliska popatrzyła nań z uśmiechem, który miał w sobie coś z uśmiechu zuchwałego, przeżytego cynika, i rzekła:

— Kto, jak kto, ale pan nie powinien się o to wszystko tak irytować. Kobieta, która ma jednego kochanka, ma ich potem najczęściej dwóch i trzech,

Urwała, gdyż Rdzawicz blady, ze ściągniętemi brwiami i cofniętemi na wewnątrz kątami ust, postąpił ku niej krok, wpijając w nią swoje stalowe oczy:

— Jak pani śmie tak mówić?! — ozwał się przez ściśnięte zęby. — Jak pani śmie?!

Ona jednak odzyskała w sekundzie zimną krew i wzruszywszy ramionami z afektacyą nieprzyjemnego zdziwienia, odpowiedziała:

— Widzę, że można być wielkim artystą, a przytem patrzeć na życie, jak pensyonarka.

On także opanował się: bądź co bądź, Strzeliska była kobietą i była u niego w domu. Ujął najbliższe krzesło za poręcz i rzucając się na nie, jak człowiek bardzo zmęczony, powiedział:

— Przepraszam panią, ale zrobiła mi pani ogromną przykrość. Niech się pani nie obrazi o to, co pani powiem, zaczynam jednak przypuszczać, że pani, jak ludzie bardzo zepsuci, lubuje się w deprawowaniu i deprawacyi innych.

Strzeliska przybrała smutny wyraz twarzy osoby niesłusznie krzywdzonej, i odparła:

— Więc to, że uratowałam Borzewskiego od samobójstwa, albo od hańby, a Marynię od zmarnowania życia, albo od zabicia sobie opinii, nazywa pan deprawowaniem innych? Cóż miałam robić? Czekać, aż Borzewski w łeb sobie palnie, albo aż mu wytoczą proces kryminalny o sprzeniewierzenie? Wyobraź pan sobie, coby się wtedy z Ma-

rynią działo, która czy sercem, czy nerwami, ale go kocha, jego jedynego na świecie?

— Nie — przerwał Rdzawicz — że pani Borzewskiego nakłoniła do małżeństwa z Goldfeldówną w takiej sytuacyi, w jakiej był, to jeszcze rozumiem, ale żeby Maryę pchnąć do Kołolaskiego...

— Więc cóż miałam robić?

— Czekać. Sama pani mówi, że Marya kocha Borzewskiego więcej nerwami, niż sercem. Byłaby przetrzymała. A w tem, że pani ją nakłania do zamążpójścia dla tego, aby jej łatwo było prowadzić romans, w tem leży owa żądza pani deprawowania drugich, że zaś nadzieja zdeprawowania Maryi sprawia pani satysfakcyę, aż nadto po pani widać. Jaki cel pani ma, nie wiem. Powiem pani wprost, że najprędzej przypuszczam u pani chorobę moralną i to dla pani byłoby najlepiej; ale czy pani Maryę popycha w błoto dla tego, że pani jest chora, czy dla tego, że pani jest zła: wiem, że się to pani nie uda, bo ona nie upadnie! Albo nie pójdzie za Kołolaskiego i odwróci się od tego wszystkiego, albo jeżeli za niego teraz już i pójdzie, to nie po to, żeby być kochanką Borzewskiego na trzeci dzień po ślubie.

Rdzawicz, mówiąc, patrzał na Strzeliską i widział, że się mieniła cała z gniewu, nie wybuchnęła jednak, lecz uśmiechając się z cyniczną ironią, odparła, już widocznie, żeby go drażnić:

— Na trzeci dzień nie, bo na pierwsze dwa

tygodnie wyjedzie na wieś do Kołolaskiego, więc dopiero najprędzej na trzeci tydzień. Jestem potwór moralny, prawda? Ale pan jest dziecko — dokończyła, zamieniając ironiczny uśmiech na wzgardliwe lekceważenie. — Teraz widzę, że Marynia doskonale zrobiła, zrywając z panem. Byłbyś jej pan świat zawiązał swoją parafiańską moralnością. Jej nie wolnoby było na nikogo nawet spojrzeć, ale pan, jakbyś miał jej już dosyć, mógłbyś się rozbijać między modelkami i paniami, któreby u pana portrety zamawiały. Ładne życie byś jej pan był urządził. Prawda? Dla kobiet jest inna moralność, dla mężczyzn inna. Kobieta powinna być „czystym aniołem“, a wy świat do góry nogami przewracajcie. Pan Rdzawicz zdradziłby dla panny Tyżwieckiej sto kobiet, gdyby go tylko chciała, ale pannie Tyżwieckiej nie wolno dla swojej satysfakcyi zdradzać jednego niedołęgi, jakim jest Kołolaski, prawda? Gdyby jednak na miejscu pana Borzewskiego był pan Rdzawicz?...

Sposób, w jaki Strzeliska podkreśliła słowa: „gdyby go tylko chciała“, dotknął Rdzawicza do żywego; doznał wrażenia, jak żeby mu kto dał policzek; prócz tego uczuł, że ona ma słuszność, że niema takich węzłów, którychby dla Maryi nie zerwał... ani takich, którychby u niej nie chciał zerwać dla siebie.

— Gdyby mnie tylko chciała — rzucił sobie sam w myśli, czując żółć w ustach. Osłabł. Na je-

go nadwerężone po chorobie siły było tego wszystkiego za wiele; chłodny pot wystąpił mu na czoło. Strzeliska musiała spostrzec, że mu się robiło słabo, przestała bowiem mówić i zaczęła nań badawczo patrzeć.

— Czy panu co jest? — spytała po chwili.

Jemu zaś poczęło się stawać ciemno w oczach i czuł, że jeżeli się nie wstrzyma siłą, zemdleje. Strzeliska wstała, zbliżyła się ku niemu, położyła mu rękę na czole i na pulsach skroni, poczem spytała, czy niema w domu eteru? Zaprzeczył jej głową, nie mógł bowiem mówić; wtenczas ona podsunęła mu stół, aby się oparł i wyszła, a po chwili wróciła, mówiąc:

— Posłałam stróża do apteki. Zmęczyłam pana, przepraszam. Nic panu nie będzie, ale zawsze lepiej, żeby pan miał środki trzeźwiące w domu. Pan powinien na siebie teraz bardzo uważać, zapomniałam o tem. A jeżeliby pan był niezdrów, proszę mi dać znać. Ja jestem urodzona na szarytkę i pewno na tem skończę.

Pomimo całego osłabienia, Rdzawicz uśmiechnął się: powołanie Strzeliskiej na siostrę miłosierdzia z jej pojęciami, było przedewszystkiem bardzo grubym i zabawnym kontrastem. Kiedy jednak przypomniał sobie troskliwość i zawsze jednakową serdeczną ochotę, z jaką go pielęgnowała podczas gorączki w Klężu, i uwielbienie, z jakiem o niej mówili chłopi, których leczyła sama i dozorowała w naj-

zaraźliwszych epidemicznych chorobach, z poświęceniem i odwagą zupełnie zdumiewającą, pomyślał, że ona jednak ma dobre i niepospolite serce.

— Zdemoralizowałaby pani cały zakon — ozwał się, czując, że przychodzi do siebie i że gniew jego wobec Jadwigi, która nań patrzała zaniepokojona, opada. W tej chwili uczuł dla niej mimowoli znów dawną życzliwość; ujęła go tem, że widział w niej prawdziwą i szczerą o siebie troskę.

— Może pan wstać? — spytała.

— Mogę.

— No, to niech pan wstanie.

Rdzawicz wstał i przeszedł kilka kroków po pokoju.

— Nic panu nie jest, tylko pan jest jeszcze osłabiony — rzekła Strzeliska. — Nie trzeba się tak przejmować wszystkiem i tak wszystkiego brać do serca. Powinien pan wyjechać. Ja już pójdę, bo późno. Doprawdy cieszę się, że się panu zrobiło słabo, bo inaczej bylibyśmy się źle rozstali. Niech pan pamięta, że pan ma we mnie zawsze bardzo życzliwą duszę. Niech pan teraz wyjdzie na miasto i ożywi się. Tylko się pan strzeż Heimerthowej; im pan będzie gorzej wyglądał, tem z większem roznimfieniem będzie się ona na pana patrzeć. Wiem o tem, bo wszyscy o tem opowiadają. Do widzenia.

— Boże! — krzyknął Rdzawicz niecierpliwie. — Ma też pani o czem mówić! Niech pani mi powie

jedno jeszcze: czy Marya mówiła kiedy o mnie z Borzewskim?

— Ja się jej sama o to spytałam, bo byłam ciekawa. Powiedziała mu, że była z panem zaręczoną, sama nie wie dla czego, bo się jej jakiś krótki czas zdawało, że pana kocha, a potem, że nie zrywała z panem tylko dla tego tak długo, że jej żal pana było, ale że na seryo nigdy o tem nie myślała, żeby pójść za pana. On ma o tem pojęcie, że to był taki sobie półdziecinny wyskok panny, która się nudzi i która sobie za wiele pozwalała, bo wie, że jej wszystko ujdzie. Dużo w tem jest i prawdy.

Rdzawicz zagryzł wargi.

— On miał dla pana wiele sympatyi i żal mu pana było. Raz przy mnie mówił Maryni, że to jednak niedobrze, że pana bałamuciła, ale ona mu przerwała, bo była wtedy rozdokazywana, żeby jej nie rozczulał, bo u niej tego nie kupić, żeby z nim zerwała, a wróciła do pana. Wie pan, jak ona się lubi pasyami przekomarzać.

Rdzawicz uczuł, że go względem Maryi ogarnęło nagłe zimno i radby się był dowiedzieć coś takiego, o czemby mógł myśleć, że jej przykrość robi, spytał więc:

— Cóż jednak na tę zmianę frontu od pana Borzewskiego do pana Kołolaskiego, mówią ojciec pani, babka i inni krewni?

— Krewni? — powtórzyła Strzeliska. — Przy-

puszcza pan, że nikt się dziwić nie będzie, iż Marynia nie chce iść za bankruta, a wszyscy będą kontenci, że pójdzie za Kołolaskiego, który ma około trzechkroć majątku i opinię człowieka statecznego i bardzo uczciwego. Przytem wszyscy już mieli dość tego, że się musieli Maryą opiekować i że ojciec mój za dobrze pilnował jej posagu, aby się co z niego dało uszczknąć, więc oskoma była próżna.

— Oczernia pani ludzi.

— Każdy zakochany myśli, że krewni jego bogdanki są inni, jak wszyscy ludzie, dlatego, że krewni. Najlepiejby było, gdyby sobie pan Marynię wybił z głowy.

— Ja też sobie ją dawno wybiłem — odparł Rdzawicz, który w tej chwili czuł, że nie wiąże go z Maryą nic. — Byłem tylko ciekawy.

Strzeliska nie mogła ukryć śmiechu, a potem, wyciągając ku niemu rękę, rzekła serdecznie:

— Do widzenia. Niech się pan nie zmarnuje i niech pan szuka kobiet, które pana rozumieją takim, jakim pan jest i szanują za to, co w panu jest. Do widzenia.

Po wyjściu Jadwigi, Rdzawicz uczuł się tak znużonym, rozbitym i zgniecionym, że doznał wrażenia, jakby mu się coś w głowie zataczało i wywracało. Nad tem wszystkiem, co ona mówiła, nie chciał się zastanawiać, nie chciał sobie nic z tego przypominać, bał się. Bał się, że jeżeli dopuści do

siebie myśl o Maryi, oszaleje, albo porwie się na coś szalonego, a przedewszystkiem był zmęczony i chciał odpocząć. Na nic nie miał sił, nawet na postradanie zmysłów. — Innego powietrza, innej atmosfery! Wyrwać się! Otrząść! — westchnął sam do siebie półgłosem, opierając się głową o ścianę przy drzwiach, do których odprowadził Strzeliską. I wtedy zamajaczyła mu znów przed oczami czysta twarz Eli Rosieńskiej, jakby wśród zieleni i słońca. Chwycił za kapelusz, wybiegł z pracowni i wskoczył do dorożki; w parę minut później zadzwonił do mieszkania Przerwiców. Pani Laura była w domu.

— Pani — rzekł wchodząc szybko — jeżeli się państwo wybierają do państwa Rosieńskich, a ja mogę naprawdę korzystać z zaproszenia, to pojadę.

— Sprawi im pan prawdziwą przyjemność, to tacy dobrzy ludzie — odpowiedziała pani Laura. — Nie wiem jeszcze, kiedy pojedziemy, ale omówimy to z Jerzym, który zaraz przyjdzie. Niech pan usiądzie, każę dla pana nakryć; zje pan z nami śniadanie.

Wyszła do jadalnego pokoju, a Rdzawicz, patrząc na nią, jak szła w białym, powłóczystym negliżu, szepnął z ogromnym, rozpaczliwym żalem:

— Jaka ona czysta! Jaka ona biała!...

ROZDZIAŁ II.

Mały kot, zupełnie biały z różowym nosem i zielonemi oczami, był w wielkim ambarasie. Poza sobą na ścieżce miał żórawia, którego się bał niezmiernie, koło siebie, po obu stronach ścieżki, mokrą trawę gazonów, w którąby za nic nie wszedł, przed nim zaś stał niewzruszony, potężny turkuć podjadek, kiwając od czasu do czasu straszną głową. Ilekroć turkuć kiwnął głową, mały kot drgał i cokolwiek się cofał, poczem znów posuwał się naprzód, ze względu na żórawia, którego miał za sobą. Wreszcie usiadł i nie spuszczając oka z turkucia, polizał naprzód lewą łapkę przednią i przemył sobie pyszczek, poczem podniósł wyżej głowy prawą tylną i polizał się kilka razy po niej i znów przybrał nieruchomą pozycyę naprzeciw nieruchomego turkucia. Nakoniec, kiedy turkuć długi czas głową nie poruszał, zdobył się na odwagę i wyciągnął ku niemu ostrożnie łapkę, jakby chcąc go usunąć z drogi, ale natychmiast ją cofnął z wielkim strachem. Spróbował drugi i trzeci raz, ale zawsze się cofał bardzo prędko. Wtem żóraw uczynił dwa

kroki naprzód; wtedy mały kot, biorąc to widocznie za atak wymierzony na swoją osobę, dał olbrzymiego susa na bakier ponad turkuciem, tak, że go w powietrzu łukiem z rozczapierzonemi łapami i wyciągniętym ogonem obleciał i spadłszy o jakie pół metra poza nim, począł pędzić po ścieżce. Tu jednak nowa spotkała go przygoda, albowiem dwa szczenięta ogarzycy, która leżała z niemi na trawie, odbiły się od stada i zastąpiły mu drogę, stając do niego na ścieżce frontem z podniesioną jedną łapką i pootwieranemi pyszczkami, rozbawione, wesołe, wszystkiego ciekawe i zuchwałe.

Mały kot nie bał się ogarzycy, którą znał od urodzenia, wobec szczeniąt jednak czuł pewien wstręt arystokratyczny, a nawet, mimowoli wprawdzie, ale cokolwiek obawy. Były grube i czarne, z obwisłemi uszami. Mały kot stanął i począł się namyślać. Obejrzał się: żóraw był daleko i coś dziobał w trawie; turkuć gdzieś znikł. Może być, że nawet żóraw zjadł turkucia. Mały kot zrobił na chwilę minę „a widzisz psiakrew!“, ale na krótko, trzeba się było bowiem zastanowić nad szczeniętami. Można je było przeskoczyć, lecz poza niemi wyszło z trawy naprzód jedno, potem drugie, potem trzecie, tak, że ich było razem pięć, i przeskoczywszy dwa pierwsze, można było wpaść między tamte trzy w sam środek. Tyle było szczęścia, że mały kot nic a nic się nie bał suki, która lizała najspokojniej szóste szczenię.

Tymczasem dwa pierwsze poczęły się ku niemu zbliżać; wówczas mały kot wygiął grzbiet i zrobił się groźny, aby je przerazić samem wejrzeniem. Ale one z głupowatemi minami szły ku niemu, trochę się go bojąc, a więcej jeszcze ciekawe. O krok stanęły i wybałuszyły na niego ślepie. Wtenczas małemu kotowi przyszło na myśl, że możnaby z niemi spróbować wejść w stosunki. Widywał je już od jakich dwóch miesięcy i nieraz uważał, że się bardzo wesoło bawią, ordynarnie, bez żadnej dystynkcyi i żadnego wdzięku, ale nie można zaprzeczyć, że przyjemnie. Mały kot nie miał żadnego odpowiedniego towarzystwa we dworze i miał nieraz ochotę przyłączyć się do nich; zachęcała go nawet do tego ogarzyca, liżąc go, ile razy przechodził koło niej. Mały kot zastanowił się, że mogłaby być teraz dobra chwila do zawiązania stosunków i zmienił pozycyę groźną na uprzejmą. Szczenięta zbliżyły się i poczęły go wąchać, wyciągając ku niemu ostrożnie łebki, kiedy jednak jedno ośmielone i ujęte jego grzecznością, chciało mu polizać nos, mały kot dał mu w twarz, poczem przesadził jego rodzeństwo, potem mokrą trawę, która w tem miejscu podchodziła wązkim pasem pod okno i wskoczył na nie. Tu był pewny siebie: spojrzał z góry na zdumione szczenięta, które podnosiły łebki, jak za ptakiem, kiedy im się z pod nóg porwał, oblizał sobie trochę zmoczone łapki i wpadł-

szy w doskonały humor, począł nadzwyczaj misternie podbijać i chwytać sznurek od story.

— Kyci! — zawołał od drugiego okna Rdzawicz, który wyglądał w ogród i przypatrywał się małemu kotowi; mały kot wysunął łebek z za framugi, zobaczył, że to znajomy, miauknął i zeskoczywszy, podszedł ku Rdzawiczowi, gdzie został wzięty na ręce, posadzony na drugiem oknie, pogłaskany i upoważniony do zabawy z dewizką od zegarka.

Rdzawicz w Zagórzu u Rosieńskich był już od pięciu dni. Wyjechał z Warszawy z Przerwicami dopiero w dwa tygodnie po rozmowie z Jadwigą, gdyż Przerwic przedtem chciał skończyć jakąś robotę literacką; przez ten czas wychodził bardzo mało z domu, aby nie spotkać Maryi, kogo z jej rodziny lub Kołolaskiego. Te dwa tygodnie były dla niego okropne i nie mógł się doczekać chwili, kiedy opuści Warszawę.

Wrzało w nim wszystko. Chwilami zrywał się i chciał biec do Maryi, rzucić się przed nią na kolana i zakląć ją na wszystko, aby nie szła za Kołolaskiego; chwilami wpadał w rozpaczliwą apatyę, lub zaczynał sam ze siebie drwić. Czy nie jest dowodem ostatniej głupoty rozbijać się o to, że kobieta, która kogoś innego kocha, jeszcze za kogo innego idzie? Czy tak, czy tak, cóż on ma w tem? Czy Marya obejmie szyję Borzewskiego, czy Kołolaskiego, czy będzie obejmowała kolejno i naprze-

mian szyję ich obu: w żadnym razie on tam swojej niema poco nadstawiać. Więc jest skończonym osłem, że sobie życie truje zastanawianiem się nad kwestyą jej zamążpójścia. Chyba... chyba, że Strzeliska ma racyę, mówiąc, że kobieta, która ma jednego kochanka, ma ich potem najczęściej dwóch i trzech.

Na tę myśl czasem ogarniała go wściekłość na Strzeliską i na siebie, czasem pewna cyniczna satysfakcya, a czasem uczucie upokorzenia, wstydu i zawiści, bo i wtedy Marya mogłaby jego odtrącić. Niekiedy zapominał się już do tego stopnia, że wprost się zastanawiał, czy próbowałby w danym razie zbliżyć się do Maryi i w jakiby to zrobił sposób? Zupełnie, jakby była już osławioną kobietą. I znów ogarniał go żal nad nią i gniew na siebie i chciałby był do nóg jej paść i przepraszać i prosić przebaczenia. W tem wszystkiem dominującą i najboleśniejszą myślą było to, że on sam jest dla Maryi niczem, że teraz, kiedy w jej głowie musi się poprostu wichrzyć i kłębić, jego nazwisko, jego istnienie nie nasuwa się jej nawet. Uczucia, jakie miał teraz dla niej, nie umiałby nazwać: ciągły, wielki, jednostajny ból i to przeświadczenie, że on o tej kobiecie musi myśleć, cokolwiekbądź będzie, musi; że jego myśl jest z nią związana raz na zawsze i oderwać się od niej aniby mogła, ani potrafiła, choćby nawet chciał tego.

Marya stała mu się jakąś częścią krwi, częścią organizmu. Na tym punkcie owładnęła go rezygnacya. Rozumiał doskonale, że łamie sobie życie i zgodził się z tą myślą, jak namiętny alkoholik zgadza się z tem, że go alkohol, którego używać nie przestanie, zabije. Widziadło zguby przez Maryę stawało mu w oczach, a patrzał na nie, jak człowiek skazany na śmierć, przyjąwszy wyrok, patrzy z rezygnacyą na powoli wznoszone przed jego oknami rusztowanie. To, co go spotka, będzie straszne, ale — niech się stanie.

Począł się też robić, wskutek podrażnienia nerwowego, przesądnym i zabobonnym. Przypominały mu się najróżniejsze wypadki z czasów jego stosunków z Maryą i wszystko na złe wróżyło, choć sobie wówczas z tego sprawy nie zdawał. Nawet potem, po zerwaniu, pił zdrowie jej kochanka i kazał je pić Tężlowi, jakby przeczuwał, co będzie. Od tego czasu minął już rok i upływa połowa drugiego roku... Czy nie marnuje życia?... Czy nie będzie musiał powiedzieć kiedyś, jak Balzac i z takim, jak on, żalem: „zdaje mi się, że przeszedłem koło mojego życia?...“ Twarz Eli Rosieńskiej, cicha i czysta, o wiśniowych ustach, jakby do pocałunku stworzonych, które wołały: pragnę! — majaczyła mu czasem w oczach, jak wspomnienie przeżytego gdzieś, kiedyś, jakiegoś lipcowego rana, które pośród innych chwil utrwaliło się w pamięci i czasem wraca.

Przedewszystkiem jednak czuł, że atmosfera, w jakiej jego myśl krąży, jest brudna. Wszystko to, co zrobił Borzewski i ludzie z nim, wszystko to, co miało się stać z Kołolaskim, rodziny Borzewskiego i Maryi, Strzeliska: wszystko to było brudne. Względem Maryi słowa tego użyć nie chciał, nie mógł i nie śmiał i kiedy myślał o tem, starał się o niej nie myśleć. Bronił jej sam przed sobą: przedewszystkiem jest nieszczęśliwa, bardzo, bardzo nieszczęśliwa, tem więcej, że ma wszelkie warunki i w tak ogromnej mierze, aby być jedną z najszczęśliwszych, i że to wie i czuje. Z natury bierna, łatwo ulegająca wpływom, a wychowywana pod wpływami najgorszemi takich ciotek Porzelskich i takich kuzynek, jak Jadwiga Strzeliska, psuta przez ludzi, upojona powodzeniem i swoją urodą, ona sama nie wie, co jest złe, a co dobre, co się godzi, a co się nie godzi? Jaki w niej jest grunt, jakąby mogła być i jaką być powinna, najlepiej świadczy gotowość, z jaką ofiarowała Borzewskiemu swój posag na pokrycie deficytu w sumie małoletnich, prawie cały, a byłaby dała do ostatniego grosza, gdyby tego była potrzeba. Że pojmowała, czem są pieniądze, i znała ich wartość dla siebie, wiedział, bo nieraz jeszcze, jako narzeczona, mówiła mu z pewną goryczą, że rozumie doskonale, iż rodzina nie lekceważy jej tylko dlatego, bo coś ma i może się kiedyś komu przydać. Mówiła nawet, iż wie doskonale, że ciotka Porzel-

ska chciałaby ją bogato wydać za mąż, aby potem jej mąż podpisał jej mężowi gruby weksel, albo wprost z ręki do ręki pożyczył; naturalnie, tak, czy tak, byłby to w formie pożyczki prezent kuzynowski. „Ciotkaby mnie za pierwszego z brzegu wydała, byle miał pieniądze, i byle była nadzieja, że pożyczy“ — powiedziała mu raz w chwili rozżalenia i smutku.

Do małżeństwa z Kołolaskim musi ją teraz pchać gwałtem. Kołolaski jest jak wymarzony: głupi, dobry, bogaty i da się sam wyzyskiwać, a ponieważ ma wadę sercową, może niedługo umrzeć, wtenczas zaś właściwie ciotka Porzelska, wraz ze swoim mężem i swoim synem, owdowieją i odziedziczą po Kołolaskim. Że pani Porzelska tak rozumuje, byłby przysiągł i nie miał wcale uczucia, że tę kobietę krzywdzi, przypuszczając o niej coś podobnego. W tej zgrai Borzewskich, Strzeliskich, Porzelskich, Mojwiłłów, Goldfeldów *e tutti quanti*. Marya była tylko biedną, bardzo biedną młodą dziewczyną, osieroconą dzieckiem i rzuconą w świat, jak na pastwę złym instynktom ludzkim. Było mu jej żal serdecznie, iż zdawało mu się, że krwi by sobie utoczył, byle ją z pośród tej zgrai wyrwać; ale sam czuł, że się poprostu dusi, i że jeżeli się nie wyrwie z Warszawy, nie przetrzyma. Mógł był wprawdzie wyjechać gdziekolwiekbądź, za granicę, czy w kraju, czuł jednak ogromną ochotę odetchnięcia wsią polską, a przytem chciał choć czas

jakiś przeżyć w towarzystwie ludzi, jak mówił sobie, „czystych“. Przerwicowa wystawiała mu rodzinę Rosieńskich w idealnych barwach i gdyby nie nieuleczalna i ciężka choroby pani Rosieńskiej, byłby to zupełny Eden wiejski.

Jedno, co go cokolwiek niepokoiło, to była myśl spotkania Eli.

Taka Ela do końca życia będzie czuła względem niego pewien wstyd, a prawdopodobnie i żal... — nadużył jej, poddał ją sobie, przesilił. Byłoby to dla niej zawsze wstydliwem, ale miłem wspomnieniem tylko wtenczas, gdyby tę rękę, którą jej samowolnie wziął i w swojej ubezwładnił, oddała mu na zawsze, ale o tem nie może być mowy. Gdyby go ona nawet pokochała, gdyby rodzice zgodzili się, on sam nie mógł teraz prawie zrozumieć, jak mógł przez krótkę nawet chwilę ulec złudzeniu, że budzi się w nim dla niej jakieś uczucie. Marya zasłoniła mu znowu świat cały; nie jasno, jak kiedy była jego narzeczoną, nie krwawo, jak w pierwszych miesiącach po zerwaniu, ale ciemno, ponuro i złowróżbnie. Wrażenie, jakie na nim zrobiła Ela Rosieńska, rozwiało się tak szybko i nagle, jak szybko i nagle powstało. Jeżeli go niepokoiła myśl spotkania z nią, to dlatego, że się czuł wobec tej dziewczyny winnym. Bądź co bądź okazał jej, że nie jest mu obojętną, albo też... obszedł się z nią, jak z salonową kokotką. Jeżeli ona, do czego ma prawo, poszuka w jego oczach tego, co w nim wi-

działa, kiedy ją brał za rękę, i nie znajdzie: będzie musiała uczuć, że ją potraktował, jak kokotę, choć może tego słowa nawet nie znać. Wobec każdej innej byłby machnął lekceważąco ręką; wobec Eli nietylko nie mógł tego zrobić, ale nawet nie chciał. Dosyć śmiały, żeby pierwszy raz widząc tę pannę i odrazu zrozumiawszy, jaką jest, mimo tego posunąć się wobec niej do zuchwalstwa; lękał się teraz jej spojrzenia, kiedy go zobaczy. Próbował wybadać panią Laurę, która o niczem, co między nimi zaszło, nie wiedziała; zapytał jej wprost, czy Ela nie będzie nierada z jego przyjazdu? Przerwicowa odpowiedziała, że oboje państwo Rosieńscy bardzo go uprzejmie zapraszają, jako bliskiego kuzyna Jerzego, którego bardzo lubią, że panny naturalnie nie odzywają się w tej kwestyi, nie rozumie jednak, dlaczego Ela miałaby być nierada, skoro podczas rautu nie robiła wrażenia, żeby się jej Rdzawicz wydał niesympatyczny. Spotkanie z Maryą na raucie musiała jej i im wszystkim wytłómaczyć; inaczej nie mogliby byli pojąć jego zachowania się. Rozmawiała zresztą potem z Elą niewiele, bo Ela na drugi dzień zasłabła i przez dwa dni leżała w łóżku w hotelu, na trzeci zaś dzień przyszła wiadomość, że matce jest gorzej i dlatego projekt zostania parę tygodni w Warszawie, upadł. Mają przyjechać w jesieni, jak rodzice do wód wyjadą.

Rdzawicz uważał, że pani Laura mówiła z nim

o Eli poważnie i z pewną rezerwą, nierównie mniej swobodnie, niż kiedy o niej pierwszy raz rozmawiali. — „Albo nie chce, żebym sobie panną, albo pannie sobą głowę zawracał — pomyślał — albo też nie chce się w to mieszać sama i daje mi to do poznania. Ale chyba po tem, co widziała, o nic mnie podejrzewać nie może i nie powinna“.

Swoją drogą jednak czuł, że w miarę, jak się dzień terminu wyjazdu do Zagórza zbliżał, ogarnia go pewien niepokój. Jeszcze w przeddzień wyjazdu miał ochotę napisać do Przerwicowej, że nie jedzie. Gdy zajeżdżali, począł go ogarniać pewien lekki dreszcz i musiał się usiłować opanować, aby się nie wydać zmieszanym. Pierwsza naprzeciw nich wybiegła Rózia i o mało się, po pani Laurze, Przerwicowi i jemu, nie rzuciła na szyję, potem wyszedł pan Rosieński i przywitał go ogromnie kordyalnie, dziękując Przerwicom, że go przywieźli i jemu, że się dał zabrać. Pani Rosieńska, którą wytoczono do jadalnego pokoju w fotelu, przyjęła go również uprzejmie i z wyszukaną grzecznością, prosząc, aby się tu nie czuł obcym. We wszystkiem tem było coś szczerze serdecznego i ujmującego. Ela była gdzieś na wsi i siadano już do stołu gdy przyszła. Wszedłszy, zarumieniła się jak szkarłat, ale nikt na to nie zwrócił uwagi, ponieważ młode panny rumienią się przy lada okazyi; z Rdzawiczem przywitała się bardzo grzecznie, widział jednak, że jest pod silnem wrażeniem i że stara się, aby tego po

niej nie było znać. Prócz niego też, i, jak mu się przynajmniej zdawało, pani Laury, nie spostrzegł tego nikt; on sam zaś czuł się zmieszanym i umyślnie kilka razy podnosił, jak dłuższa jazda koleją męczy, zwłaszcza gdy jest ciepło.

Z Elą, obok której pan Rosieński wskazał mu miejsce, rozmawiał niewiele; ani ona nie szukała z nim rozmowy, ani on z nią. Pewny był, że i ona widzi, że był względem niej nie swój.

Następne dni ubiegły bez żadnej zmiany w ich stosunku; widział, że Ela jest ładna i ponętna, o tem jednak, że mu się zdawało kiedyś, iż ta dziewczyna może go zająć sobą, prawie, że nie pamiętał. Myśl o Maryi nie opuszczała go i nie przestawała dręczyć, było mu tylko ulgą, że był dalej, i że poczęła go garnąć ku sobie natura i działać nań; zaczął mu się snuć po głowie pomysł wyrzeźbienia dziewczyny, która znalazła kwiat paproci, i drugiej, którą porywa z wody wynurzony do pół świteź.

Przerwicowie i Rózia bawili się jak dzieci, Ela zaś była trochę zamyślona i nadzwyczajnie dla Rdzawicza, który nie mógł opanować czasem smutku, uprzedzająca, delikatna i dobra. Przeczuwała jakby to, czego chce, i coby mu było niemiłe. Ile razy jednak złożyło się tak, że zostawali sami we dwoje, starała się pod jakimś pretekstem odejść na tak długo, dopóki nie znaleźli się znów w otoczeniu, lub jeżeli takiego pretekstu znaleźć nie było

można, mówiła dużo o rzeczach najobojętniejszych, widocznie forsując, bo ani duże mówienie nie było jej wrodzonem, ani też rozmowa o rzeczach obojętnych nie musiała jej robić przyjemności, nie mówiła bowiem o nich z nikim innym, tylko z nim. On zaś wypoczywał i czuł, że mu przy tej dziewczynie dobrze. Nieraz miał ochotę bez żadnego zmysłowego wrażenia, oprzeć czoło o jej piersi i zasłonić sobie nią oczy. Byłażby to ta — myślał — o której pisał z Włoch Tężlowi, że chciałby się na piersi jakiejś czułej i rozumnej kobiety wyskarżyć i wyżalić?...

Uczucie palącego pragnienia względem Eli, którego doznał, kiedy się pierwszy raz z nią zetknął, nie chwytało go teraz; z obojętną przyjemnością patrzył na jej twarz i na jej kształty, raczej, jak rzeźbiarz na dzieło sztuki, niż młody człowiek na młodą kobietę.

Zdarzyło się jednak piątego dnia po przyjeździe, że Ela, wybrawszy się na daleki spacer, zapomniała się przebrać i wróciła do domu z drogi. Tymczasem Przerwicowej, która dobrze znała Zagórze, przyszło na myśl, aby pójść w przeciwną stronę, jak był pierwotnie projekt. Eli trzeba było dać znać i Rdzawicz wrócił po nią. Spotkał ją już spieszącą za nimi. Miała białą, miękką sukienkę ze złotym paskiem, biały, miękki bonecik na głowie i czerwoną parasolkę, którą trzymała w ręku. Szła szybko i cała była różowa, a na widok Rdzawicza

najwidoczniej mimowolnie dziwnie miły uśmiech wybiegł na jej usta, poczem jeszcze się więcej zarumieniła.

— Pan wraca? — spytała.

— Po panią, bo pani Laura zmieniła projekt spaceru. Niech pani się tak nie spieszy, bo pani cała zmęczona.

Skręcili na drogę polną, między łany, i szli dosyć powoli. Przed nimi były wzgórza i las, wokoło zaś, jak okiem sięgnąć, zboża i zboża. Była godzina jedenasta rano i słońce silnie już świeciło i wydobywało z ziemi, z łanów pszenicznych i żytnich i kwiatów polnych, mocny, narkotyczny, ciepły zapach. Szli obok siebie, nie rozmawiając, tylko jej biały, miękki bonecik zsunął się trochę w tył na włosy i lekki wiatr modelował i gubił kształt jej nóg w białej i miękkiej sukni. Wokoło była wiosna w całym rozkwicie i z całym swoim wszechistotnym popędem rozrodczym; wówczas głowy Rdzawicza i Eli pochyliły się ku sobie na jedną krótką chwilę i jakby mimowiednie.

Ona zaczęła zaraz potem mówić o Przerwicach, on zaś uczuł, że mimo wszystko, co w nim jest i co się w nim dzieje, chwyta go pragnienie tej dziewczyny. Spojrzał na nią; schylił się, zerwał parę bławatków i zwinąwszy bukiecik, podał go jej; skinęła mu uprzejmie głową i włożyła za pasek.

— Wyrzuci pani, gdy zwiędną? — spytał, czu-

jąc, że źle robi i że robi jej przykrość tem pytaniem.

Istotnie Ela spojrzała na niego jakby z obawą i pewnym żalem; odpowiedziała jednak spokojnie, a wymijająco:

— Nie. Od takich ludzi, jak pan, albo kuzyn Jerzy, kwiatów się nie wyrzuca.

Odpowiedź ta tak była nie w jej stylu, że Rdzawicz ruszył głową trochę niecierpliwie i rzekł:

— Dlaczego pani to mówi, co powinnaby powiedzieć pani Heimerthowa, albo pierwsza lepsza kobieta i z czemby im było do twarzy, ale nie pani?

— Naprzód pani Heimerthowa, o ile wiem, nie jest pierwsza lepsza, a potem, dlaczego mnie niema być z tem do twarzy, z czem będzie takiej pierwszej lepszej? — odparła.

— Bo pani taką nie jest.

— Za mało mnie pan zna, aby pan mógł jakkolwiek o mnie sądzić, źle, czy dobrze.

— Na tyle dosyć. Mogłaby mi się pani spytać, dlaczego chcę wiedzieć, czy pani wyrzuci te kwiaty, czy nie, kiedy to jest taka błaha rzecz i właściwie niema o czem nawet mówić. Ja sam nie wiem nawet, po co się pani spytałem.

— Więc mówmy o czem innem — rzekła szybko Ela, jakby chcąc skorzystać z ostatnich jego słów. i zwrócić rozmowę. — Niech pan mi jednak wierzy, że powiedziałam zupełnie szczerze, że od takich

ludzi, jak panowie, każda kobieta z przyjemnością schowa pamiątkę, choćby dlatego, żeby się pochwalić — dodała z uśmiechem.

On zaś, party do tego jakimś wewnętrznym popędem, odrzekł:

— A jabym panią prosił, żeby pani tych kwiatów nie wyrzucała, bo one były pani życzliwie dane.

— W takim razie tem więcej je schowam — odparła Ela, rumieniąc się lekko i dorzuciła szybko: — Czy pan nie widzi gdzie Rózi i Przerwiców?

W tej chwili, nierozumiejąc dlaczego, Rdzawicz uczuł jakąś potrzebę mówienia o tem, co zaszło między nimi; wiedział, że zrobi Eli wielką przykrość, ale nie mógł się oprzeć. Czuł jakąś chęć roznamiętnienia jej, która jednak nie odezwała się w formie prostej podziałania jej na zmysły.

— Pani musi mieć do mnie wielki żal? — rzekł.

— Ja? O co? – spytała Ela, mieszając się mocno.

Począł doznawać względem niej znowu uczucia drapieżnego ptaka: spojrzał na Elę z pod brwi bystro, prosto w oczy, i rzekł, umyślnie wybierając ten wyraz;

— O to, com sobie względem pani pozwolił zrobić.

Ela zbladła i popatrzyła nań z bolesnym wyrzutem.

— Dlaczego pani nie odpowiada? — spytał, czując, że go ogarnia jakaś zmysłowa chęć pastwienia się nad nią.

— Bo nie mam co odpowiedzieć — odparła Ela, usiłując widocznie zachować spokój.

— Pani jest za grzeczna, żeby pani mi powiedziała impertynencyę. Przytem jestem pani gościem. Zresztą pani jest wogóle bardzo względna i uprzejma — dokończył z zuchwałą i wyzywającą złośliwością w wyrazie twarzy i głosie.

Ela zrozumiała; na twarz jej buchnęła krew całą falą, on zaś mówił dalej z drwiącą obojętnością:

— Naprzód bardzo pani jest to do twarzy z tym rumieńcem oburzenia, przypomina pani Dyanę z Nowej Dejaniry, a potem myślałem, że się niektórych rzeczy tak łatwo nie zapomina. Wydaje się pani, że to już nadto, prawda?

Ela nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i poczęła iść w stronę, z której przyszli. Rdzawicz stanął i patrzał na nią: zobaczył, że płacze.

W pierwszej chwili doznał znowu jakiejś wielkiej chorobliwej satysfakcyi zmiażdżenia i zgniecenia, do której szukania są skłonni wszyscy ludzie, sami w życiu miażdżeni i gnieceni; ale potem zrobiło mu się jej żal i uczuł potrzebę uniewinnienia się, a zarazem uczuł w tej chwili sam bardzo silnie swoje nieszczęście. Pobiegł za Elą i wyciągając

ku niej dłoń, tak, że prawie ją ujął za rękę, odezwał się serdecznie:

— Panno Elu, przepraszam. Ja teraz jestem taki, że sam nie wiem, co mówię i robię. Gdyby pani wiedziała, co we mnie jest, nie gniewałaby się pani, zrozumiałaby pani, że się czasem nie włada sobą. Niech pani nie płacze, niech pani wróci...

Przez chwilę Ela pasowała się z sobą, potem otarła oczy i nie odpowiadając słowa, z zaciśniętemi ustami, zawróciła i poczęła iść szybko naprzód. Rdzawicz widział, że idąc naumyślnie prędko, chce się zadyszeć i zaczerwienić, aby po niej znać nie było, że płakała i że poprostu ucieka przed nim i od niego. Było mu jej żal. Tę dziewczynę, jeżeli bolało co, to ją bolało głęboko i naprawdę. To zrozumiał doskonale; nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego w nim tkwi ta żądza drażnienia i dręczenia, ten popęd do brutalnego bryzgania w twarz tem, co najwięcej zaboli i w sposób zupełnie brutalny; dlaczego z tą Elą ładną, miłą i tak dla niego dobrą, obszedł się bez żadnego powodu tak, że się to już naprawić nie da? Dlaczego zraża sobie stworzenie, które widocznie szło naprzeciw niemu z ciepłem sercem?

— Nie pozostaje mi nic innego, tylko wyjechać — pomyślał. — Nie mogę tu przecież po tem dłużej siedzieć. Pojadę do Warszawy i niech się tam już ze mną co chce dzieje...

Wtem Ela ujrzała na wzgórzu Przerwiców i Różię, którzy czekali na nich; machnęła parasolką i poczęła iść jeszcze prędzej.

— Czekamy! — wołała pani Laura. — Ale nie leć tak, bo ci tchu braknie!

Ela, doszedłszy do wzgórza, upadła na trawę istotnie prawie bez tchu. Pani Laura poczęła ją strofować, że niema sensu tak biegać; czerwona jest jak rak, aż jej oczy poczerwieniały.

Ela usiłowała być swobodną i wesołą; Rdzawicz jednak widział, że wytęża wszystkie siły, aby nie zwrócić na siebie niczem uwagi; kilka razy przecież zadrżał jej głos i jakby łzę połknęła. Nie mówili do siebie; jego milczenie jednak nie dziwiło nikogo; wogóle starano się tu z nim zawsze tak postępować, aby nie czuł niczyjego oka na sobie.

Było mu żal tej biednej Eli, z którą postąpił tak po barbarzyńsku, i żal mu było, że ją sobie zraził. Z drugiej zaś strony sam się tak rozdrażnił, że trudno mu było iść dłużej w towarzystwie i powoli idąc coraz bardziej z tyłu, został sam. Położył się na trawie twarzą ku niebu, na którem stało olbrzymie promieniejące słońce. Było południe. Teraz u pani Porzelskiej siadają do śniadania, obok Maryi jej narzeczony, pan Kołolaski. Albo też wszyscy są u Loursa, bo ciotka Porzelska ogromnie lubiła, około dwunastej, najeść się ciastek; Kołolaski siedzi przy stoliku koło Maryi, znajomi

kiwają mu znacząco głową z uśmiechem, nieznajomi wpatrują się w tę śliczną pannę, nie mogąc zrozumieć, jakim sposobem ten podtatusiały pulchny blondyn zachowuje się wobec niej, jak narzeczony? Musi być bardzo bogaty, mówią sobie. Będzie się miał z pyszna — dodają, uśmiechając się do siebie pod wąsem. Zresztą każdy garson objaśni, że to jest panna Tyżwiecka, która idzie za tego pana; ciotka Porzelska brała tak często cukierki i ciastka na rachunek swojej kuzynki, często nawet bez jej wiedzy.

— Wiesz, Marynieczko, jest tam mały rachuneczek u Loursa — mówiło się potem. Takie rachuneczki bywały zresztą od czasu do czasu i u kapeluszników i u rękawiczników, raz nawet u szewca męzkiego, „bo wuja noga bolała“, a musiała go noga boleć od dłuższego czasu, gdyż Marya zapłaciła wtedy przeszło czterdzieści rubli.

Z tem wszystkiem wybuchnęła raz przed nim, kiedy posprzeczały się z ciotką właśnie o niego, któremu ciotka była zacięcie przeciwną

Wtenczas Marya owinęła mu szyję ramieniem, byli bowiem sami w pokoju, gdyż Jadwiga Strzeliska zostawiła ich samych, i powiedziała:

— Tylko ty jesteś mój. Zerwę z nimi wszystkimi, nikogo nie chcę znać. Będę miała twoją rodzinę i ta mi wystarczy. Zresztą któż mi będzie potrzebny, jak ty będziesz moim?

Miała wtedy na sobie różową lekką suknię w jasne paski, której nie lubił.

Tymczasem teraz ciotka Porzelska jest najszczęśliwsza w świecie. Kołolaski będzie jak ul, ona jak bartnik. Niezawodnie też poradzi Maryi poufnie, aby wymogła na Kołolaskim zapis całego majątku przed ślubem; jeżeli sama tego nie chce zrobić, to niech upoważni do tego ją i jej męża, oni to już wszystko uskutecznią. Kołolaski nie jest bardzo młody, ma skłonność do wady sercowej, można z tem sto lat żyć, ale nigdy się nie jest pewnym, lepiej się zabezpieczyć.

Marya, tego, co mówi ciotka Porzelska, nie będzie chciała słuchać; ona zna tę kobietę i pogardza nią w gruncie, ale i wobec niej jest bierna, tem więcej, że dużo lat dzieciństwa spędziła u niej.

Schadzki z Borzewskim ułatwiać im będzie Jadwiga; ona jest jakby na to stworzona i będzie to robiła z ogromną satysfakcyą, raz, że podchodzić będzie sprytnie takiego głupca, jak Kołolaski, powtóre, że wszelkie zbliżanie Maryi do mężczyzn widocznie na nią samą działało zmysłowo i drażniąco, potem, że będzie to w wysokim stopniu niemoralne, nadzwyczajnie *fin de siècle,* nakoniec, że będzie znowu tą trzecią w trojgu, osobiście nieinteresowaną stroną i ulubioną, więc patrzącą na rzecz z góry, co było jej słabą rolą. Lubiła „matkować“, jak mówiła.

Zgnębiony i rozbity, począł iść ku domowi.

Zastał u siebie list, przysłany za nim z Warszawy, od Tężla, który dotąd z Monachium raz tylko doniósł, że wszystko przyjęte na wystawę przez „jury“ z aplauzem niebywałym; teraz zaś pisał:

„Kochany Romku! Zwycięztwo na całej linii! Panie Łdzawicz, oj panie Łdzawicz! Mimo swojej „niesfołnej natuły“, zasłużyłeś na dyplom honorowy, najwięcej, co ci dać mogą te podłe szwaby, ale niech ich tam, i uznany jesteś na przyszłość *hors concours*. Prześlij mi na gwałt twoją fotografię, bo cię chcą portretować w pismach; kilka, bo z kilku stron proszą. Wysyłam ci tymczasem całą pakę świetnych krytyk. Niemcy, są Niemcy, co zresztą nic nowego, ale się znają na rzeczy. Pobiłeś tu wszystkich. Powiedz Łanowskiemu, że cię teraz może tytułować wielkim mistrzem, albo arcy-mistrzem, bo mistrzem byłeś już dawno. Jeden Holender mi dowodził, że od czasów Berniniego nie było takiego rzeźbiarskiego talentu. Dyplom zaraz ci poślą, a ja sam niedługo stąd wyjeżdżam, bo już nie mam pieniędzy. Tutejsi nasi malarze wyekspedyują ci wszystko z powrotem. Wysyłamy stąd telegram do *Kuryera*.

Ściskam cię, i możesz sobie wyobrazić, że się cieszę, jak pies dywanem. Wiwat!

Tężel“.

Rdzawicz w pierwszej chwili doznał uczucia tryumfu, które go całego odurzyło i opanowało. Prze-

czytawszy list, wyprostował się, podniósł głowę i podgarnął włosy z czoła. Uczuł się sławnym.

To wrażenie zatarło w nim chwilowo wszystkie inne: upajał się niem. Stał przy oknie i patrzał w ogród, myśląc o swojej sławie i nie widząc prawie ani drzew, ani deszczu, który przez parę minut rzęsiście padał; od sławy uwagę jego dopiero odwrócił mały, biały kot, którego zobaczył na ścieżce ostrożnie obchodzącego chowanego żórawia, a potem w ambarasującej pozycyi między żórawiem a turkuciem podjadkiem.

Głaszcząc kota z różowym nosem i zielonemi oczami, Rdzawicz czuł, że wszystko maleje mu w oczach: Marya ze wszystkiem, co jej dotyczyło, wydała mu się mniejsza i dalsza; zajście z Elą wydało mu się zupełnem niczem... był teraz przedewszystkiem sławny.

Kiedy go zawołano do obiadu, w pierwszej chwili miał ochotę opowiedzieć o liście od Tężla, ale gdy wszedł i pomyślał, że to jednak wszystko są ludzie obcy, mniej lub więcej mu życzliwi, ale obcy, ogarnął go smutek i żal i usiadł milcząc na zwykłem miejscu, między panią Laurą i Elą Rosieńską.

Czuł potrzebę rozgłoszenia swego tryumfu, przedtem jednak chciałby był powiedzieć to komuś takiemu, kogoby wyjątkowo obchodził i ktoby jego obchodził wyjątkowo, nim wiadomość stanie się własnością ogółu, spospolituje się i straci czar. Jest

jedną z najmilszych rzeczy wiedzieć coś dobrego tylko z tymi, których się kocha.

Ela?... Tak, może być, że on obchodzi Elę, ale ona dla niego jest niczem. Smutek i żal zamieniły się w bolesny gniew. Jakto?! Na całym świecie, jak długi i szeroki, niema nikogo?! Na cóż mieć talent, jeżeli się nie może nawet tyle zdobyć, żeby się miało komu powiedzieć o tem?! Przerwic ma swoją Lorę, każdy prawie artysta ma taką swoją Lorę, tylko on... pannę Tyżwiecką, która idzie za pana Kołolaskiego, aby mieć stosunek z panem Borzewskim...

Przeklęte życie!...

Po obiedzie, który wogóle był cały milczący, bo panny i Przerwicowie byli zmęczeni spacerem, wyszedł w pole i długo chodził, aż do zachodu, łapiąc małe zielone żabki, które skakały mu z ręki w wodę i bawiąc się z młodym wyżłem, który wyleciał za nim z dworu i upędzał się za wróblami, albo usiłował mu obgryźć spodnie i zjeść buty na nodze.

Była niedziela: państwo Rosieńscy, jak zwykle w niedzielę, spodziewali się gości. Trzeba było wrócić, przebrać się i wejść między tych ludzi, którzy go będą traktowali jak „pana Rdzawicza, mniej więcej znanego artystę“, nie wiedząc, że jego nazwisko może będzie niedługo powtarzanem w Europie, jak nazwisko Klingera lub Stucka, jako nazwisko „nowej gwiazdy“.

Na ganku spotkał Rózię, która poczęła wołać:

— Panie Romanie, wie pan kto jest? Przyjechali państwo Twardowieccy z Pęcina, oni oboje, obaj ich synowie, jeden sję kocha w Eli, i córka, panna Matyldzja. Mówią, że widzjeli zdaleka powóz pani Emilii Zrębmbskiej, pewno także tu jedzje. A pan nie przybrany. Proszę włożyć ten piękny krawat biały w szafirowe cętki, dobrze?

— Dobrze...

— Naprawdę, pan jest taki dobry. Jabym pana o jedno spytała...

— No, o cóż takiego?

— Pan sję smiać będzje. Czy pan ma do mnie sympatyę?

— Nawet dużą.

— To dobrze, bo ja do pana tože, a to tak miło mieć sympatyę. Niechże pan zawdzjeje biały krawat w szafirowe cętki i prędko przychodzi. Wszyscy na ganku od ogrodu.

Rdzawicz, rozbawiony trochę Rózią, poszedł do siebie i przebrawszy się, wyszedł na ganek.

Na ganku, pod oplecieniem dzikiego wina, rozpiętem na słupach i krokwiach, przy dwóch lampach, pani Rosieńska na swoim fotelu z kółkami, blada i schorowana, w białych koronkach na siwiejących przedwcześnie włosach, rozmawiała z panią Twardowiecką, osobą niemłodą, pokaźnej tuszy i ubraną z pewną pretensyą, obok zaś siedzieli panowie Rosieński i Twardowiecki, jeden pykając

z fajki na długim cybuchu, drugi paląc cygaro z obrączką z pozłacanego czerwonego papieru. Trochę w rogu siedziała młodzież. Ela miała tę samą białą, miękką suknię ze złotym paskiem; panna Matylda Twardowiecka, lat około dwudziestu ośmiu, z widoczną intencyą, żeby być piękną, w istocie nie brzydka, tylko dziwnie niesmaczna od pierwszego wejrzenia, oparta z wymuszoną gracyą na łokciu, patrzała na koniec swego spiczastego bucika; dwaj młodzi panowie Twardowieccy siedzieli z obu stron Eli. Jeden starszy, bardzo przystojny, imieniem Edward, ubrany podług ostatniej mody, miał widoczną cechę tego, co się nazywa „panicz“; drugi, Wiktor, o wiele mniej elegancki, trącił odrazu „wsiostwem“. Przerwicowie siedzieli obok siebie, ona bardzo ładna, w ciemno-granatowej sukni, z żółtym koronkowym kołnierzem. Rdzawicz usiadł przy niej.

— Dziwię się — mówiła pani Twardowiecka, która widocznie „zagajała“ — że Zrębskiej jeszcze niema. Widzieliśmy jej powóz na zakręcie koło kościoła, powinienby już być od pięciu minut.

— Tak, jeżeli ją państwo tam widzieli, to już powinnaby być dawno — powiedział pan Rosieński, puściwszy ogromny kłąb dymu i odganiając go ręką na ogród. — Ale słyszę, że ktoś zajeżdża; może właśnie ona? — Wyszedł i za chwilę wrócił, prowadząc przed sobą młodą jeszcze osobę, wykwintnie, ale trochę błyskotliwie ubraną, za którą

szedł Morski i około lat trzydziestu mężczyzna, podobny do niej, z bardzo smutną twarzą.

— Czy to jest pani Zrębska? — szepnął Rdzawicz do Przerwicowej.

— Tak, a to jest jej brat, Bolesław Łukowicz. Oboje owdowieli, ona przed trzema laty, on przed rokiem, i teraz razem mieszkają.

— *Ah! cher comte!* — rzekła pani Twardowiecka, witając Morskiego ze słodkim uśmiechem.

Panna Matylda zaś wlepiła w niego długie spojrzenie z pod brwi i podała mu rękę bardzo poufale i tak, aby to było widać.

— Wyobraźcie sobie — mówiła prędko pani Zrębska, nim się jeszcze ze wszystkimi przywitała — że Morski, który jechał z nami odemnie, nie mógł znaleźć w kieszeni czegoś, co tu wiózł i musieliśmy stać na drodze, aż się przekona, czy ma, bo inaczej chciał wracać po to do Spleszewa.

— Pozwoli sobie szanowna sąsiadka przedstawić kuzyna Lorci, który bawi u nas — ozwał się pan Rosieński, podprowadzając ku niej Rdzawicza.

Pani Zrębska przyłożyła szybko i mimowolnie do oczu binokle na długiej rączce z srebrną cyfrą, ruchem, jaki zwykle mają osoby krótkowzroczne, i podając mu rękę, rzekła:

— A! Wszak panu należy się powinszowanie za wielki tryumf, jaki pan odniósł w Monachium?

Rdzawicz uczuł, że wszyscy spojrzeli na niego i oblało go gorąco; skłonił się i odpowiedział krótko:

— Tak. Dziękuję pani.

— Cóż się stało? Nic nie wiemy? — zapytały prawie równocześnie pani Rosieńska i pani Przerwicowa.

— Dostałem dyplom — odrzekł.

— Dyplom honorowy i ogłoszenie *hors concours;* bardzo się cieszę, że pana poznaję — dodała pani Zrębska, ściskając mu mocno rękę. — Było już w *Kuryerze.*

— A w naszych pismach jeszcze nic — rzekła pani Rosieńska.

Wszyscy, jedni z ochoty, drudzy z obowiązku grzeczności poczęli mówić mu komplimenty. Pani Rosieńska wymawiała, że skoro wiedział o tem, nic im nie mówił; było jej bardzo przykro; natomiast panu Rosieńskiemu podobała się jego skromność. Pani Laura widocznie była przez pół kontenta, przez pół zmartwiona, że to nie „Ziuci“. Morski i Przerwic uściskali go serdecznie, zaś pan Edward Twardowiecki miał minę: „dobre i to, jak nie można być mną“, a pan Wiktor wybałuszył na niego oczy, czyniąc wrażenie, jakby nie bardzo rozumiał o co chodzi. Ela zbliżyła się ku niemu ostatnia, trochę nieśmiało, z mocnymi rumieńcami na policzkach i widocznie bardzo wzruszona.

— Przyjmie pan i odemnie powinszowanie? — rzekła cicho, wyciągając ku niemu na pół rękę.

Rdzawicz uścisnął jej drobną dłoń, odpowiedzieć

jednak nie mógł, gdyż naokoło stali za blizko Edward Twardowiecki i Rózia.

Wszystko to byli ludzie obcy, lub więcej, niż obcy... Marya już o tem wie; przeczytała w *Kuryerze* tak, jakby przeczytała o odznaczeniu jakiegoś Szweda, czy Hiszpana...

W tej chwili pani Twardowiecka spytała go, dlaczego swoich dzieł do Włoch nie posyła? Odparł jej, że tam teraz niema centrum europejskiej sztuki, tylko w Niemczech i Francyi.

— Ach! Włochy, to taki cudny kraj — poczęła deklamować pani Twardowiecka. — Kiedyśmy przed rokiem byli na wiosnę we Włoszech, myślałam, że się rozpłynę.

— Z zachwytu, czy z gorąca? — spytał Morski.

— Pan wie, że panu wszystko wolno — rzekła pani Twardowiecka, grożąc mu kokieteryjnie wachlarzem.

— Dlatego, że jestem artystą, czy dla innych moich przymiotów? — spytał znowu Morski.

— Dlatego, że pan jesteś takim, jak jesteś — odrzekła pani Twardowiecka, robiąc przytem „dobrą minę przy złej grze“.

— Włochy są rzeczywiście pięknym krajem — odezwał się pan Twardowiecki, gruby szlachcic z pospolitą twarzą — ale te szelmy Włochy wszystko od nas pobrały. Bo proszę: szparagi „asparagi“, szpinak „spinace“, figa „fiko“.

— Byle nie ficca — wtrącił Morski.

— No, bo że cały kraj nazywa się Italia — mówił dalej pan Twardowiecki — to i po francusku jest Italie, nietylko u nas.

— Bardzo głęboka uwaga — rzekł Morski.

— Widzi hrabia — przychwalił sobie pan Twardowiecki i pociągnął cygaro z pozłacanym papierkiem.

Pani Twardowiecka, panna Matylda i pan Edward, byli czerwoni po uszy; natomiast pan Wiktor, który trzymał nieruchomo wlepione oczy w Przerwicową, zdawał się nic nie słyszeć, albo nic nie rozumieć z tego, co mówił ojciec.

— Porobiliśmy bardzo dystyngowane konneksye — „zagaiła“ pani Twardowiecka — zwłaszcza na Capri, gdzie staliśmy w Quisisanie. Jedyny hotel możliwy; wprawdzie kosztowała nas około piętnastu franków dziennie pensya od osoby, ale przy stole obok Matyldzi siedział naprzód młody lord Palmerston, a potem hrabia Seczeny, porucznik od huzarów węgierskich.

— Podporucznik — poprawiła ją panna Matylda.

— Hrabia Seczeny bardzo asystował Matyldzi — ciągnęła pani Twardowiecka — ale ją rwało do kraju. — To mówiąc spojrzała wymownie na Morskiego, który szepnął dosyć głośno do pani Zrembskiej:

— Gdzie niema głupich.

— W istocie, Włochy mają piękne kawałki —

zauważył pan Edward z nonszolancyą wielkiego bywalca.

— Wywieźliśmy stamtąd wszyscy ogromnie wiele wrażeń — dodała pani Twardowiecka.

— Pamięta mama jedną z tych dziewek, co to tańcowały tarantulę koło salta Tymbaryuszowego? — spytał pan Wiktor Twardowiecki.

— Wiciu, jak ty się wyrażasz? — szepnęła zgorszona pani Twardowiecka.

— Tyberyusza — poprawiła go panna Matylda. — Po kapryjsku mówi się: *salto di Timberio*. Rzeczywiście tarantella jest oryginalnym tańcem.

— Jedna była, niech ją kury zdziob... — zaczął i urwał pan Wiktor spiorunowany spojrzeniem matki, brata i panny Matyldy; pan Twardowiecki ojciec zaś puścił kłąb dymu z cygara i rzekł:

— Wicio ma racyę, ładna była.

— My się z tatkiem na tem znamy — bąknął pod nosem, ośmielony nieco tem poparciem pan Wiktor.

— Ale rękawiczki w Wenecyi wcale nieszczególne — rzekła panna Matylda. — Tyle się o nich nasłuchałam. Ani porównania do tych, które kupiłam w Nicei.

— W Rzymie byłyśmy na mszy papiezkiej, dzięki protekcyi jednej austryackiej hrabiny, którą poznałyśmy przez Seczeny'ego i widziałyśmy królowę na Monte Pincio. Jechał z nią, jak nam mó-

wiono, młody książę Colonna — opowiadała pani Twardowiecka.

— Doria — poprawił ją pan Edward.

— Nie, mama ma słuszność, Colonna — potwierdziła panna Matylda. — Sam Seczeny tak mówił, a on ich zna przecież. Ah! masę wrażeń z Włoch wywieźliśmy!... Masę!...

— Bardzo miły człowiek, ten Seczeny, nawet zapowiedział, że nas przyjedzie odwiedzić — rzekła pani Twardowiecka, poczem obie z panną Matyldą spojrzały badawczo na Morskiego, który udawał, że nic nie rozumie.

Przed samą prawie kolacyą przyjechali jeszcze państwo Zawilscy, kilkoletnie małżeństwo, on człowiek sympatyczny i niezmiernie widocznie w niej zakochany, ona z ruchliwemi oczami i wydekoltowana cokolwiek zagłęboko. Przy kolacyi posadzono panią Zawilską między Rdzawiczem i panem Wiktorem Twardowieckim. Zawilska znalazła się wkrótce jakoś za blizko Rdzawicza i „zatelegrafowała“ końcem bucika. Uczuł, nie odpowiedział, ale nie cofnął nogi. Wówczas Zawilska „zatelegrafowała“ drugi raz. Rdzawicz spojrzał na nią umyślnie zupełnie jawnie zdziwiony i cofnął nogę. Zawilska zarumieniła się lekko i przeniosła się o ile mógł sądzić, ku Wiktorowi Twardowieckiemu, który widocznie przyjął ją wdzięczniej nie spuszczając równocześnie oka z Przerwicowej. Siedzący obok pani Laury Zawilski raz wraz zwracał zakochane

oczy na swoją żonę, tak sprytnie manewrującą swojemi, że zawsze na czas zdążyły wrócić z „wyprawy“, aby się spotkać z jego oczami. Z Rdzawiczem rozmawiała dużo i ogromnie uprzejmie, pochylając ku niemu tem więcej głowę i lewe ramię, im więcej przesuwała się resztą ciała na drugą stronę krzesła. Łukowicz mienił się cały patrząc na Przerwicową i przymykał oczy, jak człowiek, którego chwyta rozpacz; natomiast pani Zrębska, między Przerwicem i Morskim, wybuchała często pustym, wesołym śmiechem, albo opowiadała im pocichu coś takiego, z czego oni się znów ogromnie śmieli. Raz nie mogła wytrzymać, wstała i mówiąc: „Moja droga pani, muszę to i pani opowiedzieć“, poczęła szeptać do ucha pani Laurze, przyczem pani Laura zaczerwieniła się jak piwonia i bardzo zabawnie usiłowała udać, że się wcale nie żenuje. Pani Twardowiecka patrzała na panią Zrębską z prawdziwą abominacyą, a panna Matylda z niesłychaną nienawiścią i zawiścią. Obok Eli siedział pan Edward Twardowiecki, wtapiając w nią od czasu do czasu swoje piękne, niebieskie oczy i emablując ją z miną zakochanego Don Juana.

Z całego tego towarzystwa interesował Rdzawicza tylko Łukowicz. Śmierć żony widocznie złamała go na zawsze. Czynił wrażenie, że je i rozmawia raczej jak automat, niż jak człowiek żywy; myślą musiał być ciągle przy śmiertelnem łożu żony, przy jej trumnie, albo przy pierwszej godzinie, kie-

dy ją ujrzał, przy pierwszem „kocham“, przy pierwszym pocałunku. Straszno pomyśleć, że się już nigdy, nigdy nie ujrzy tej kobiety, wracać do pustego mieszkania, zasypiać bez niej, czuć ją straconą na zawsze. Z tem żyć... Rdzawicz myślał, że gdyby on tak Maryę stracił, chybaby żyć nie potrafił. Wgryzłby się w jej grób, czołemby ziemię przebił do trumny, piersiamiby ją przepalił, dłońmi rozdarł... Nie mógłby żyć... Przyszłyby letnie noce księżycowe, a jej niema, aby ją oprzeć o siebie i w pole z nią wyjść; przyszedłby chłodny wieczór jesienny, a jej niema, aby tuliła główkę ku niemu... Nie mógłby żyć, gdyby tak Maryę utracił...

Łukowicz, jakby odgadując, co Rdzawicz myśli, a może czując w tym człowieku pokrewieństwo złej doli i cierpienia, podniósł na niego smutne swoje oczy i patrzał nań przez chwilę.

Siedzącemu obok Zawilskiej Wiktorowi Twardowieckiemu spadła już po raz trzeci serweta pod stół, co wywoływało wesoły uśmiech na usta pani Zrębskiej, a lekki rumieniec na twarz Zawilskiej; nie przeszkadzało to, że, ile razy nie miał głowy pod stołem, wpatrywał się jak w tęczę w panią Laurę, która dziś istotnie wyglądała ładnie i ponętnie. Uroda jej, ogromnie zmienna i zależna od dnia, jak bywa u osób delikatnych, miała dziś „swój dobry dzień“.

Rdzawicz widział, że Przerwic zauważył to wpatrywanie się w Laurę młodego Twardowieckiego

i że poczynają mu drgać brwi z tłumionej irytacyi. Co jednak miał zrobić? Wstać i krzyknąć: „Mój panie, nie patrz się pan na moją żonę, bo ja tego nie lubię!?“

Ją także żenowało to i odebrało jej zupełnie swobodę i dobry humor; ale ona także nic na to nie mogła poradzić.

Rdzawicz myślał znowu, że gdyby Marya była jego żoną i gdyby się ktoś tak jej przyglądał, nie mógłby znieść tego. Jeszcze Marya ze swoją cudną pięknością i chęcią podobania się wszystkim naokoło... Jerzy przynajmniej może być Lory pewnym, ale...

Przyciął usta i nie chciał wiedzieć tego, co pomyślał, że Maryi nie możnaby być pewnym, gdyby nawet poszła za mąż z miłości, bo ta miłość mogła w niej pewnego dnia tak się gdzieś podziać, jak się podziała „szalona miłość“ do niego.

Być może, że Kołolaski jest tak głupi, że się nie spostrzeże, jak się nie spostrzega spoglądający na swoją żonę z najwyższą adoracyą Zawilski; ale onby się spostrzegł, a wtenczas...

Razem zaćmiło mu się i zakrwawiło w oczach i przejął go taki gniew na Maryę, jakby była jego żoną i jakby już dawała mu powody do zazdrości. Byłby najnieszczęśliwszym z nią człowiekiem. Nigdy nie miałby do niej zaufania, aniby go mieć nie mógł. Nie zasługiwałaby na nie! Byłaby to jedna wielka męka. Ach! dlatego samego może lepiej, że

nie będzie jego żoną. Kobieta, którą się kocha, powinna być, jak biały posąg czystości. Naturalnie, wszędzie znajdą się bydlęta, jak Wiktor Twardowiecki, na to niema rady, powinno się jednak każdej kochanej kobiecie móc tak ufać, jak Przerwic może ufać Laurze, że przez jej głowę nawet jedna myśl nie przejdzie, którejby jemu powiedzieć nie mogła. Tymczasem Marya...

Marya idzie zawsze za impulsem fizycznym. Zajmuje się i przestaje dbać o ludzi, z chwilą, kiedy jej się przestają podobać. Pod tym względem nie krępuje się niczem, a w dążeniu do satysfakcyi nie wybiera środków, czego daje teraz dowód. Chce użyć tak, jak jest ukształtowana jej chęć użycia...

Chce użyć, to jest, chce tego samego dla siebie, czego dla siebie chce i on...

Tak samo, jak on, żyje, takie samo ma ciało i krew, tak samo jest człowiekiem, jak on, takie same ma pragnienia i żądze; z jakąż więc sprawiedliwością onby sobie przyznawał to prawo do użycia, a jej nie?... Tak, ale ona do tego użycia dąży drogą niegodną... A on?... Czy, gdyby Marya szła za Kołolaskiego, aby nie z Borzewskim, ale z nim mieć stosunek, poszedłby do niej i powiedziałby jej kazanie na temat moralności?... Prawdopodobnie nie.

Tak, ale Marya jest kobietą...

I takim samym człowiekiem, jak on.

Jest więc niewinną?...

Chce użyć w życiu, tak samo, jak on...

Nagle Morski, od dłuższego czasu zajęty czemś pod stołem, puścił przed Rózią olbrzymiego bąka, na którym siedząca z czerwonego pluszu małpa na drucikach, wyprawiała podczas wirowania najkomiczniejsze ruchy.

— Przywiozłem to dla ciebie z Bostonu — wołał.

Pani Zrębska zaś wśród śmiechu opowiedziała, że Morskiemu zdawało się, iż zapomniał tego u niej i że ten bzik chciał po to wracać.

Bąk huczał, brzęczał, kołował, aż nareszcie, uderzywszy się raz i drugi o salaterkę, upadł na bok.

Pani Twardowiecka i panna Matylda śmiały się półgębkiem, a pan Wiktor, zapomniawszy się zupełnie, pokrzykiwał:

— A to ci komika, jak Boga kocham! Co za śmieszna bestya! Muszę sobie to sprawić! Jak puszczę między dziewk...

Umilkł, spiorunowany znowu spojrzeniami matki, siostry i brata.

Rózia jednak obraziła się; łzy zakręciły się jej w oczach i zwróciła się do Morskiego, że ona nie jest żadne dziecko, żeby się miała bawić bąkami, że nie potrzebuje ani jego, ani jego bąków, że niech się sam tem bawi, jeżeli go to bawi. Prawie jej się na płacz zebrało. Morski zaś, uszczęśliwiony z efektu, jaki zrobił, tłómaczył jej, że ten bąk nietylko się kręci, ale że można jeszcze na nim gwizdać i grać, jak na organkach i że jest zupełnie

taki, jakiego dostał najmłodszy synek jednego z Vanderbildtów. Ta ostatnia wiadomość dobiła Rózię, która z pasyą poczęła tłómaczyć Morskiemu, że ona jest panną Różą Rosieńską, a nie żadnym najmłodszym synkiem żadnego Vanderbildta!

Morski pokładał się od śmiechu.

Spacer po parku urządzony po kolacyi, nie trwał długo, ponieważ pora i miejsce usposabiały do tego, aby mówić to, co się czuje, tymczasem jedni albo nie czuli nic względem drugich, albo nie byli blizko nich.

Przed odjazdem, Morski, który lubił grać na fortepianie państwa Rosieńskich, usiadł przy nim i zaczął uderzać w klawisze jednym palcem, a potem wypukiwać jakieś melodyjki. Powoli fizyognomia zmieniła mu się, trochę przybladł i stracił swój zwykły wyraz niedbałego, bezceremonialnego i wesołego światowca. Z melodyjek przeszedł w melodye, zaczął grać. Pani Twardowiecka dawała od ust znaki, aby się uciszono.

Wtem Morski wziął akord, potem drugi silniejszy i z pod jego palców poczęły wybiegać tony, jak światła i zapachy. Rozdzwonił i rozkołysał klawisze i począł rzucać na przestrzeń ogromne łuki muzyki, które splatał ze sobą w rozety i girlandy, zwijał we wstęgi i rozbryzgiwał, jak rakiety. Nagle uderzył akord długi i potężny, jak grzmot.

— Burza — szepnęła pani Twardowiecka.

— Nie, to groch przesypują — odparł Morski, nie przestając grać.

Potem począł otwierać głębie ogromne. Coś tajemniczego i trwożącego wybiegało z fortepianu. Otwierał jakieś pieczary i dna jezior, na których się kołysały kwiaty podwodne. Nagle jakby wiosła zaplusły i zachybotała się na fali łódź, a potem rozległ się śpiew pełen słodyczy, namiętności i tęsknoty.

— To miłość — szepnęła półgłosem panna Matylda.

— Flet — rzekł Morski, uderzając w tony coraz wyższe, że zdawało się, iż gra jak wiatr górski na szybie lodu i w szczelinach skalnych.

— Ah! ah! — westchnęły razem pani Twardowiecka i panna Matylda, ale Morski już nic nie odpowiedział; porwała go muzyka i niosła wzwyż. Zdawało się, że gwiazdami rzuca i rozpryskuje je w tęcze na powierzchni morza. Jakieś pieśni, jakby Syren bajecznych, rozczarował nad ledwo szemrzącem morzem i zawiesił ponad niem, jak obłok.

— Chopin — szepnęła pani Twardowiecka.

— Mozart — rzekła półgłosem panna Matylda.

Ale Morski nie słyszał. Rozlał olbrzymią melodyę, jak jasność słońca, które świeci w południe; coraz dalej i dalej, coraz szerzej szła w bezbrzeż i w bezmiar, aż gdzieś w nieskończonej, najwyższej ciszy utonęła, urwana w echu.

— Boskie! — krzyknęła pani Twardowiecka,

panna Matylda zaś ocierała batystową chusteczką łzy niby prędko, tak, aby nikt nie spostrzegł, ale w istocie bardzo powoli.

Morskiemu w tej chwili zmieniła się twarz i szepnął do Rdzawicza, który stał niedaleko:

— Patrzno pan, czy ona płacze gumą arabską, że się to odlepić nie da?

Wtem pani Twardowiecka, w nagłym paroksyzmie entuzyazmu, przyskoczyła ku niemu i chwytając go za ręce, krzyknęła:

— Geniuszu!

Morski ukłonił się grzecznie.

— A pochwalić nie można, bo zawsze *farceur*. Cóż mi pan odpowiedział z tym grochem?

— Nie, jak panią szanuję, chciałem sobie wygrać moje gospodarstwo w Przychówku — powiedział Morski niby zupełnie poprostu i naiwnie.

Pani Twardowiecka zmusiła się do rozśmiania i rzekła z manierą osoby z wielkiego świata:

— Niech pan nam tylko tak dalej groch przesypuje, a my panu głowę laurami przysypiemy. A nasz fortepian dawno już tęskni za panem, niedobry — dokończyła z ujmującym grymasem.

— Wyjeżdżam w tym tygodniu — odrzekł Morski.

Pani Twardowieckiej przeciągnęła się twarz, jeszcze jednak potrafiła się uśmiechnąć:

— Pana nigdy nie zatrzymają życzliwe mu serca?

Morski jakby zastanowił się, pani zaś Twardowiecka rzuciła na pannę Matyldę szybkie, jak błyskawica, znaczące spojrzenie, a Edward Twardowiecki odwrócił się ruchem zdenerwowanego człowieka, kiedy ktoś paznogciem zadrapie mankiet.

Około dwunastej pozostali w Zagórzu sami domowi. Noc była ciepła i cicha, pełna zapachu kwiatów i drzew, mglista trochę, tak, że gwiazdy tylko gdzieniegdzie przyświecały matowo i nie promiennie. Księżyc majaczył w mgławicy sierpem.

Rdzawicz, rozstrojony całym dniem, wrażeniem, jakie na nim uczynił Łukowicz, i grą Morskiego, wyszedł do parku.

Ogarnął go ogromny smutek. Czuł się sam, a to uczucie poczęło go przygnębiać z potęgą, jak nigdy prawie. Naokoło jeszcze trwała pora miłości. Zresztą miłość jest wieczna, ma tylko swoje znamienne formy. Miłość jest olbrzymim, wiecznym ruchem wirowym. W morzu i na ziemi trwa ciągle i wszystko pochłania. Rdzawicz miał jakby kolosalną wizyę miłości. Zdawało mu się, że jak pod wpływem muzyki Morskiego, otwierają mu się otchłanie morskie i przestrzenie ziemi, i że widzi potworny, wszechświatowy chaos pragnień żądz i syceń miłosnych. Zdawało mu się, że ta miłość, która obejmuje świat cały, ma swój odurzający zapach. Pojmował jej wieczność. Ona trwała od początku bytu, każdorazowe pokolenie jest tylko jej jedną warstwą, jedną falą.

Ta olbrzymia idea uplastycznia się w miliardach kształtów i postaci. Kocha się tę ideę, wcieloną w najbardziej odpowiadający wyobrażeniu jej kształt. Uścisk miłosny — jest to nieskończona mgławica kosmiczna, przeistaczająca się w coraz nowe formy, które giną i nikną, aby innym miejsca ustąpić. Miłość jest wieczną spuścizną, wiecznem dziedzictwem, wieczną ogólną ideą w nieskończonej ilości rzeczywistych zjawisk.

Myśląc tak, czuł się coraz smutniejszym. Był w całym tym świecie jakby czemś obcem — był sam...

Usiadł w altanie, którą Rózia nazwała altaną cioci Lorci, i przewiesiwszy głowę przez poręcz od ławki, przymknął oczy. Niedługo z alei akacyowej wynurzyły się dwa cienie, które poznał w sylwecie: byli to Przerwicowie. Mógł ich słyszeć wyraźnie.

— Słuchaj Ziuci — ona mówiła — dużo ty masz pieniędzy?

— Ze sześćset rubli — odpowiedział Przerwic.

— A mnie przysłali przedwczoraj czterysta pięćdziesiąt, to mamy razem tysiąc pięćdziesiąt. Słuchaj, teraz nic nie będziesz robił przynajmniej ze dwa miesiące, bo jesteś zmęczony.

— Dobrze, dziecko, ale wprzód będę musiał jeszcze ze dwa tygodnie popracować w Warszawie. Chcę być zupełnie wolny.

— Więc dobrze, wrócimy stąd, a potem pojedziemy do Zakopanego.

— Dobrze.

— Zaczep sobie palec o kamizelkę, żebym się mogła mocno oprzeć, tak, bo mię nogi bolą. Jak dobrze, że już jesteśmy sami. Pocałuj za to. Zmęczyłam się dzisiejszym dniem.

— No to chodźmy do domu, dziecinko.

— Kiedy tu tak ślicznie i tak miło z tobą. Powiedz co. Czekaj, jak to jest ten wiersz Goethego taki śliczny? *Ueber allen Wipfeln*...

— Nie, *ueber allen Gipfeln ist Ruh'*.

— Powiedz cały.

— *Ueber allen Gipfeln ist Ruh',*
Auf allen Wipfeln spuerest du
Kaum einen Hauch;
Die Voegelein schlafen im Walde,
Warte nur, balde
Ruhest du auch.

— Tak ładnie to mówisz. Przystańmy... Jak cicho...

Rdzawicz widział z altany, jak oparła głowę na ramieniu męża, zwieszona na nim na obu zaplecionych dłońmi rękach.

— „W taką to noc letnią

— Piękna Jessyka“..... cóż kiedy nie pamiętam dalej — rzekł żartobliwie Przerwic.

— Wiesz, że życie jest bardzo piękne — ona się odezwała. — Tacy jesteśmy swoi i sami. W ca-

łym tym parku nikogo teraz niema, prócz nas. Zaprowadzisz mnie gdzie w Zakopanem? Teraz jestem daleko silniejsza, będę mogła chodzić. Mój drogi, tylko nie wydaj pieniędzy, żebyśmy mogli robić dużo wycieczek. Będziemy chodzili tylko we dwoje, prawda? Spać mi się chce - ziewnęła trochę, przysłaniając usta ręką.

— No to wróćmy — rzekł Przerwic. — Nie pamiętam, czy masz jeszcze tę białą dawną pelerynkę zakopańską? Przydałaby ci się. Chodź.

Odeszli, ona ciągle oparta na ramieniu męża i cała na nim zwieszona, że raczej ją niósł, niż szła o własnej mocy.

W Rdzawiczu kipiał ból i żal; on był sam. Zerwał się i poszedł inną aleją ku domowi, aby wziąć laskę i uciekać gdzieś sam przed sobą w pola, czy w las. Na ganku, ciemnym od dzikiego wina, zobaczył sylwetkę kobiecą, siedzącą na ławce.

— Czy to pani Lora? — spytał, myśląc, że Przerwicowie tu usiedli.

— Nie, to ja — odpowiedziała Ela Rosieńska, drgnąwszy, jakby przelękła.

— Myślałem, że Jerzowie byli w parku.

— Poszli już do siebie, drugą stroną. Dobra noc panu — odrzekła, wstając.

Ale jego w chwili, gdy poznał Elę, owładnęła jakaś szalona, niezważająca na nic namiętność. Była to kobieta, kobieta młoda i ładna, kobieta, której nie był obojętny, mógł to poznać choćby po jej

głosie, kiedy się do niego odezwała, winszując dyplomu — — on zaś miał w sobie tyle żalu, tyle tęsknoty i tyle pragnienia... W piersiach wezbrało mu coś i kolana pod nim lekko zadrżały.

— Panno Elu — odezwał się półgłosem, podchodząc ku niej — dlaczego pani mi się pytała, czy od pani przyjmę powinszowanie?

— Myślałam, że pan się gniewa na mnie — rzekła prosto i smutno. — Przytem, zdaje mi się, że jestem dla pana niesympatyczną, a od takich osób wszystko jest niemiłe. Ale nie możemy tu rozmawiać dłużej. Żegnam pana.

Wyciągnęła ku niemu rękę; on jednak, kiedy miał jej dłoń w swojej, nie mógł zapanować nad sobą i podniósłszy ją ku ustom, pocałował.

— Co pan robi?! — krzyknęła Ela, cofając się cała i chcąc mu się wyrwać. W nim zaś pocałowanie to spotęgowało jeszcze namiętność, a zarazem obudziło dziwną i wielką tkliwość dla Eli: rękę jej zatrzymał w swojej i powiedział prosząco i miękko:

— Ja przepraszam panią.

— Za co? — spytała Ela, na której widocznie jego ton uczynił wrażenie.

— Pani mi nawet ani wybaczyć nie może, ani nie powinna.

— Wszystko rozumieć, to jest wszystko przebaczyć, wie pan, ale muszę już odejść. Niech mię pan — — puści — dokończyła cicho, wstydząc

się tych słów, których w tym składzie i potrzeby wymówienia kiedykolwiek musiała sobie nigdy nie wyobrażać. On jednak uczuł, że jej ręka mdleje i ubezwładnia się w jego uścisku, jak kiedyś na raucie.

— Zostanie! — pomyślał i spytał głośno: — Czego pani chce odejść?

— Nie możemy przecież z sobą rozmawiać sami tak późno.

Wtenczas ujął ją za drugą rękę i rzekł znów miękko i prosząco:

— Panno Elu... — Nie mógł widzieć jej oczu i twarzy, ale zdawało mu się, że prawie widzi, jak się jej przymykają głębokie, duże oczy pod ogromną rzęsą i jak jej się rozchylają nieco wiśniowe, prześliczne, do pocałunków stworzone usta, o upajającym wyrazie pragnienia. Pochylił się ku niej i napół szepnął: — Panno Elu, niech pani zostanie chwilę; jest mi tak smutno i przykro.

Nie kłamał: było mu smutno do dna duszy.

— Powinien pan przecież być bardzo szczęśliwy dzisiaj — odpowiedziała Ela, jakby nie śmiejąc poruszyć dłoniami, aby przynajmniej pozornie nie uświadamiać tego jemu i sobie, że są w jego uścisku.

— Niech pani mi wierzy, że prawie wolałbym był tego dyplomu nie dostać. Nie miałem komu drogiemu nawet powiedzieć o nim. Ale dla czego

pani przypuszczała, że się gniewam na panią, lub że mi pani jest niesympatyczną?

Ela schyliła głowę i wyszeptała raczej, niż powiedziała głośno:

— Być może, że zrobiłam panu wtenczas jaką przykrość...

W jej głosie, w jej postawie, w całej niej było to zupełne poddanie się jakieś, które ma kobieta tylko wtenczas, kiedy bardzo kocha. Rdzawiczowi ogień przeleciał żyły; sam sobie nie zdawał sprawy, dlaczego ukląkł przed Elą i przycisnął jej obie ręce do ust.

Ona zadrżała całem ciałem i usiłowała mu znów wyrwać dłonie, ale kiedy odjął usta i przycisnął do nich czoło, one jakby omdlały w jego rękach.

Klęczał, nie myśląc nic, nie zastanawiając się nad niczem, z tem jednem tylko uczuciem, że klęczy przed kobietą. Czuł, że bez względu na to, kto jest ta kobieta, życieby za nią dał w tej chwili, za to tylko, że jest i przy nim.

Jej zaś ręce stawały się w jego rękach coraz więcej bezwładne i jakby senne; ujął je głębiej — nie broniły się.

Wtedy powstał, puścił jedną z nich i objął oba ramiona Eli: drgnęła, jakby ocucona i oparłszy mu rękę na piersiach, widocznie instynktownym i uprzedzającym jeszcze jej wolę ruchem, chciała go odepchnąć; ale on przycisnął usta do jej dłoni, którą trzymał, a potem przycisnął znów do niej

czoło, jak pierwej, kiedy klęczał — i Ela, z ręką opartą o jego piersi, jakby urzeczona, osunęła się nieco w tył.

Rdzawicz stracił świadomość siebie: krew zakipiała w nim, przygarnął Elę ku sobie i nachylił się nad nią: zwisła mu bezwładnie na ręce, jakby tracąc przytomność.

Znalazł jej drobne, wilgotne usta i położył na nich swoje, w których czuł płomień; potem bezwładną posadził na ławeczce gankowej, ukląkł przed nią i całował jej ręce i suknię. Ciało Eli począł wstrząsać dreszcz i palce jej, widocznie nieświadome tego, co robią, poczęły błądzić po jego twarzy, szyi i włosach.

Rdzawicz, pomimo całego uniesienia, lękał się chwili, kiedy Ela się ocknie z tej pół nieprzytomności: usiadł koło niej, objął jej głowę ku sobie i począł ją głaskać po policzku, jak dziecko, które się chce uspokoić i utulić. Nagle Ela wybuchnęła szalonym, gdzieś z pod serca rwącym się płaczem.

Wysunęła mu się z objęcia, pochyliła głowę ku kolanom i szlochała na głos; był to prawie jęk, pełen rozpaczy, bólu i zapamiętania się.

— Elu, Elu — szeptał Rdzawicz przerażony tym płaczem, który trwał długo i uhamować się nie dał.

Wreszcie Ela otarła łzy i wstała z ławki: nie śmiał jej zatrzymywać, ani tknąć. Chciała odejść,

ale nagle, jakby jakąś przemożną i niezwalczoną siłą pchnięta, zwróciła się ku niemu i upadła mu twarzą na piersi, wybuchając ponownie płaczem. Czuł, że w nim samym szuka przed nim ratunku.

— Kochasz mnie? — szepnął.

— Nad życie — odpowiedziała wśród łkań.

Wtedy on doznał dziwnego wrażenia dotkliwej przykrości; on sam miał w sobie dla niej w tej chwili wszystko, co dla kobiety mieć w sobie można, oprócz kochania. Jeden nerw uczucia w sercu mu nie drgał.

Czuł się winnym, przedewszystkiem winnym, przytem poprostu nie wiedział, co zrobić?

— Nie kochaj mnie! — szepnął. — Nie jestem tego wart i sam kochać ciebie nie mogę.

— To też ja nie chcę żyć! — jęknęła Ela.

— Dziecko — przerwał jej, czując, że mu się gardło ściska. Pierwszy raz w życiu czuł się kochanym przez kobietę naprawdę i uczuł, że tej miłości jest taki ogrom, iż przygniata i prawie zgina. Przeląkł się tej potęgi, która ogarnęła go nagle, jak morze, taki sam żywioł, jak ono. Miał wrażenie, że fala tej miłości spiętrza się, zalewa go z głową, pochłania go, grunt mu podmywa z pod nóg, topi go i porywa z sobą rozkiełznana, paląca, szalona... Przy nim zaś była tylko jedna smukła i wiotka dziewczyna, z twarzą na jego piersiach ukrytą, płacząca, słaba i bezsilna, którą mógł wziąć na ręce,

jak dziecko, albo położyć sobie u stóp, gdyby był chciał.

Ela nie mówiła nic, nie cisnęła go do siebie, a jednak on czuł, że wszystko w niej jest miłością i tylko miłością. On tak kochał niegdyś Maryę.

Oto jest u celu swego życia, u celu, o którym marzy, odkąd zaczął marzyć, do którego dąży, odkąd zaczął mieć wolę: jest naprawdę kochany... tylko nie przez tę, którą on sam kocha...

Uczuł, że depce, że zdobywa, druzgocąc, i że druzgoce istotę niewinną. Cóż za złe fatum!

Gdyby Marya była go tak naprawdę kochała: byłby doszedł do najwyższego szczęścia przez najwyższe szczęście; tymczasem teraz on jest nieszczęśliwy, jak był, a z jego nieszczęściem może się związać nowe, tej biednej dziewczyny, tej Eli.

— Elu — ozwał się — powiedz, przebaczasz mi?

Odjęła twarz od jego piersi i podniosła ją ku niemu.

Zrozumiał: stała przy nim, jakby łudząca się jeszcze nadzieją, czysta, biała, dziewicza panna młoda do ślubu serc: żal zdławił go, schylił się i przycisnął jej ręce do ust.

Teraz ona zrozumiała: zachwiała się, roztwarła dłonie u rozchylonych nagle rąk i byłaby padła, gdyby nie był zdążył na czas jej objąć ramieniem.

Owładnął nim jakiś strach, że coś złego popełnił, chciał skończyć już ten dramat jak najprędzej, w jakikolwiek sposób. Zemdlonej Eli zostawić nie

mógł, podniósł ją więc bez namysłu na rękach i otwarłszy nogą niedomknięte drzwi od sieni, w której świeciła się lampka nocna, począł ją nieść do jej pokoju na piętrze. Z sieni wszedł na schody; na razie nie czuł ciężaru, potem jednak szedł z trudem, tem bardziej, że szedł prawie już po ciemku i musiał stąpać jak najciszej, aby nie obudzić kogo w drewnianym, więc roznośnym domu. W połowie schodów oparł się o poręcz — nie mógł iść dalej, przytem było już zupełnie ciemno. Na piętrze mieszkały po jednej stronie korytarza Ela i Rózia, po drugiej Przerwicowie w dwóch pokojach, a za pokojem Jerzego był jego pokój. Trzeba było wziąć świecę. Mógł był jakoś oprzeć zemdloną i sztywną Elę na schodach, dojść do siebie po światło i wrócić po nią; ale tymczasem ona mogła spaść, a nadto ze świecą w jednej ręce, choćby nawet zdołał ją wynieść na samej drugiej, to tylko wtedy, gdyby ona trzymała się go za szyję. Ogarnęło go tedy szalone nerwowe rozdrażnienie: zaciął zęby i jakby nie czując Eli na rękach a widząc w ciemności, począł iść szybko i pewnie przed siebie. Na szczęście księżyc wypłynął z chmury i choć blado, przecież świecił trochę w korytarzu. Rdzawicz otwarł drzwi od pokoju Eli: tu było jednak zupełnie ciemno, gdyż story były zapuszczone. Nie znał rozkładu tego pokoju i bał się uderzyć Elę o cokolwiek. Nie pozostawało nic innego, tylko obudzić Rózię, śpiącą

obok. Nie zastanawiał się nad tem, był zanadto zmęczony i rozdrażniony; zawołał.

— Elu, czy to ty? — spytała Rózia, nie rozpoznając ze snu głosu.

— Nie, to ja; niech pani wstanie i przyniesie świecę lub przynajmniej przez drzwi od siebie poświeci — odparł.

— Boże! Coż stało sję!? — krzyknęła przerażona Rózia.

— Nic, tylko trzeba świecy. Niech pani poświeci przez drzwi.

— Gdzież Ela? — spytała z niepokojem Rózia.

— Panna Eliza jest trochę niezdrowa: niech pani poświeci.

Rózia uchyliła drzwi i wysunęła rękę ze świecą: zobaczył łóżko Eli i położył ją na niem. Oczy i usta miała zamknięte i blada, czyniła wrażenie prawie martwej.

— Biedactwo — szepnął, patrząc na nią.

— Mogę już wejść? — zaśpiewała Rózia z za drzwi.

— Zaraz. Teraz niech się pani ubierze — odpowiedział Rdzawicz, chcąc ją przygotować, aby wrażenie nie było zanadto silne. — Panna Ela troszkę zasłabła. Niech pani poczeka, to zapalę świecę od pani świecy.

— Czy ona tam jest? — spytała Rózia przerażonym głosem.

Trzeba było całemu wypadkowi nadać jak najlżejszą cechę, a przytem przygotować Rózię, aby się nie przelękła i nie zaalarmowała domu; Rdzawicz odpowiedział więc, jak mógł najzwyklejszym głosem:

— Przedewszystkiem niech pani będzie spokojna. Nie stało się nic strasznego, panna Ela zmęczyła się zanadto.

— Ale czy ona tam jest? — powtórzyła Rózia, której się na płacz zbierało.

— Jest, tylko bardzo bezsilna. Niech się pani ubierze i tu przyjdzie.

— A dlaczego Ela nic nie mówi? — nalegała Rózia.

— Widzi pani, panna Ela trochę zemdlała, ale —

Nie dokończył, w tej chwili bowiem Rózia w różowym szlafroczku i różowych pantofelkach, z rozpuszczonymi włosami, wpadła do pokoju; mimo całej dramatyczności położenia i mimo, że mu teraz było wszystko inne na myśli, Rdzawicz prawie szepnął: Jaka ona śliczna!

— Elu! Mamo! - krzyknęła Rózia, przypadając do łóżka siostry.

— Niech pani nie krzyczy! — szepnął Rdzawicz, biorąc ją silnie za rękę. — Mama tu przecież przyjść nie może i nie trzeba straszyć bez potrzeby ani jej, ani ojca, ani nikogo w domu. Niech pani da wodę kolońską, to jej natrzemy

skronie, a przedewszystkiem niech jej pani rozepnie stanik.

Rózia rozpięła stanik Eli, poczem stosownie do wskazówek Rdzawicza, tłumiąc płacz, starała się ją przywrócić do przytomności z pomocą wody kolońskiej i zwyczajnej. Ela jednak nie otwierała oczu. Wtenczas Rdzawicz przypomniał sobie, że kiedy jego opuszczała przytomność podczas rozmowy z Jadwigą Strzeliską, ona mówiła o eterze, jako o środku trzeźwiącym.

— Czy jest eter? — zapytał Rózi.

— Jest, w apteczce.

— Klucze są u panny Eli, prawda?

— Tak, w stoliku.

— To niech pani je weźmie i przyniesie eteru. Tylko po cichutku, żeby nikogo nie obudzić, boby się mama przelękła. I ostrożnie, niech pani czego nie podpali.

Rózia wzięła kluczyki i świecę i wyszła; domowa apteczka w Zagórzu była na dole.

Rdzawicz usiadł na łóżku obok Eli: wyglądała, jak ścięty kosą kwiat. Leżała na swojem panieńskiem łóżku, z rozplecionymi włosami, na których świeciły krople wody, z głową trochę ku ramieniu schyloną, blada, nieruchoma, pół martwa.

— Biedactwo — szepnął, czując ogromny żal tej dziewczyny.

Nachylił się nad nią i patrzał na nią, jak na

coś biednego, słabego, nieszczęśliwego, co skrzywdził bardzo i nieludzko.

Potem odgarnął jej delikatnie włosy ze skroni, a potem pochylił się i przytknął jej do czoła usta. Jakaś dziwna tkliwość i serdeczność go ogarnęła, jakieś dziwne, nieznane mu, szlachetne i wysokie uczucie: pierwszy raz w życiu pocałował duszę kobiecą, nie ciało.

— Zdaje mi się też — pomyślał — że pierwszy raz w życiu mogłem pocałować kobiecą *duszę*...

Doznał wrażenia, jakby stał nad jakimś olbrzymim skarbem. Znikło mu zupełnie z oczu to, czy Ela jest piękna i czy są inne piękniejsze od niej; jakiś mu się otwierał świat, w którym nie był dotąd nigdy, a z którego rąbek mu uchylono. Nieprzyzwyczajonemi oczami patrzał za ten rąbek, jak przez mgłę, ale czuł, że umiałby weń patrzeć zupełnie jasno i ciągnęło go w tę głąb, której skraj zobaczył.

— Czy to ty? — szepnął, spoglądając na Elę.

Wtem wydało mu się, że jej powieki drgnęły; potem poruszyły się usta i cała drgnęła. Otwarła oczy. Oczy te spotkały się z jego oczami: zrazu, jakby jeszcze nieprzytomne i niepoznające go, spojrzały nań po chwili z miłością i słodyczą zupełnie bezgraniczną. Ale w tejże samej chwili musiała sobie Ela przypomnieć, co między nimi za-

szło, zamknęła bowiem powieki i twarz skurczyła się jej, jak od bólu. Rdzawicz zsunął się z jej łóżka i ukląkłszy, przycisnął usta do jej prawie zimnej ręki.

— Przebacz mi — rzekł półgłosem.

— Przebaczam -- wyszeptała cicho.

Rdzawicz wstał i oddalił się ku oknu, którego storę uchylił; uczuł, że ma oczy wilgotne.

— Cóż?! — spytała półgłosem Rózia, powracając z flaszeczką eteru.

— Panna Ela przyszła do siebie — odparł Rdzawicz.

— A ja zbudzjiwszy cjocję Lorcję. Zaraz tu przyjdzje.

— Bębnie nieznośny! — zatrzymało się Rdzawiczowi na wargach.

Odstąpił od okna i zawahał się; w pierwszej chwili chciał wyjść, ale potem doznał takiego uczucia, jakby popełnił coś złego i nie śmiał dotrzymać kroku wobec swojej winy, więc został.

Pani Laura, zarzuciwszy na prędce suknię i długi do kostek płaszcz angielski, weszła szybko: spotkali się spojrzeniem. Była zaalarmowana i spojrzała nań z niepokojem, ale zarazem z życzliwością, która go zdziwiła ogromnie.

— Co ona może myśleć? — zapytywał sam siebie.

— Jakże ci jest? — spytała Przerwicowa,

podchodząc ku Eli i widząc, że ta jest już przytomna.

— Już dobrze — odparła Ela słabym głosem.

— Rozbiorę cię, bo ci tak niewygodnie — rzekła Przerwicowa, dając Rdzawiczowi znak, aby wyszedł. Na odchodnem podała mu rękę i ściskając go serdecznie, spojrzała nań tak, jak kiedy się mówi oczami: rozumiem.

W pokoju swoim Rdzawicz stanął przy oknie i odetchnął szeroko: potrzebował powietrza, tchu. Do okna poczęła z ogrodu bić woń bzów i jodeł. Niebo oczyściło się tymczasem z mgieł i stało w gwiazdach prawie czarne i złociste. Wielka sowa przemknęła koło okna na swoich puszystych skrzydłach, szybko i bez szelestu. Noc była cicha i ciepła, tylko z pól szły od czasu do czasu jakieś dziwne, tajemnicze, dalekie odgłosy.

Oparł się o framugę okna i patrzył. Z chwilą, kiedy się znalazł sam i u siebie, uczuł w głowie wir i chaos. Przedewszystkiem słyszał w sobie, jak echo: jestem kochany, jestem kochany... Tak, jest kochany naprawdę, całą pełnią miłości kobiecej; czuje to po raz pierwszy w życiu, czuje to, że jest kochany, tak, że mógłby przysiąc. Jakieś wielkie zadowolenie i zaspokojenie, jakaś wielka duma, rozparły mu pierś; wydało mu się, że w hierarchii życia posunął się o ogromny stopień wyżej. Jest kochany, naprawdę, bardzo, bez pamięci...

Dopiero po chwili zamajaczyła mu w oczach blada i czysta twarz Eli Rosieńskiej.

Zdjął go głęboki żal nad nią, a równomiernie poczęło w nim róść poczucie krzywdy, jaką jej wyrządził; poczucie to wzięło wkrótce górę nad wszystkiemi innemi. Tak jest, skrzywdził ją, nadużył jej, wyrządził jej krzywdę tem większą, im dotkliwiej ona taka, jak jest, czuje ją i czuć musi.

Nadużywa jej, odkąd ją poznał. I cóż ona ma robić? Na raucie nie mogła mu przemocą wydzierać ręki i zwracać na siebie oczu tłumu; dziś, cóż miała począć? porwał ją, uniósł, unieprzytomnił — — zwłaszcza, jeżeli go kocha...

A kocha...

Ale, co on ma teraz uczynić?... Czuje dla niej wszystko; miłości nie...

Wziąłby ją na ręce i niósł i pieścił, tuliłby ją i całował, dałby jej wszystko, ale jej nie kocha...

A jednak skrzywdził ją. Krzywda ta musi przestać być krzywdą — — uczyni to podług sił. Jeżeli Ela zechce te pocałunki zatrzeć pocałunkami, jako jego żona, poprosi o jej rękę, zaraz, jutro. Zwlekać nie można ani chwili.

Nie kocha jej, kochać nigdy nie będzie, ale będzie dla niej zawsze najlepszym, najwyrozumialszym, najserdeczniejszym. Jeżeliby to nawet miało być z jego ofiarą, to niech będzie ofiarą swego poczucia obowiązku, a nie człowiekiem, który nadużył takiej kobiety, jak Ela.

Tem więcej, że go kocha.

Uczynił źle i wynagrodzi.

Doznał tej satysfakcyi, jakiej się doznaje, kiedy się widzi własną szlachetność, choć się tego słowa samemu nie wypowiada.

Marya?... Marya pójdzie za Kołolaskiego, będzie miała romans z Borzewskim — — i będzie jego wieczną miłością, klątwą jego życia, jego aniołem śmierci — — na to zrezygnował. Dopóki nie zginie przez Maryę, według sił będzie chciał Elę uczynić szczęśliwą. Ona jest taka warta tego. Dla samego uszczęśliwienia takiej kobiety, jak Ela, warto już żyć.

Oświadczy się o nią jutro.

Zmęczony był i poczęły mu się oczy przymykać. Uczyniło mu się w mózgu tak ciemno, jak ciemno miał przed oczyma.

Oparł głowę na ręce. Zaszumiał lekki, przedporanny wiatr i przypomniał mu morze. Jest tam gdzieś daleko, także takie czarne i ciemne. W przebiegu milionów lat niegdyś mogło być tu i znowu kiedyś tu przyjdzie. Śladu nie pozostało z tego, co niegdyś tu istniało i śladu nie pozostanie z tego, co tu istnieje teraz...

A wobec tego życie i wszystko co w niem jest, jest takie małe, takie nikłe, takie nic... Zasnął.

ROZDZIAŁ III.

Obudził się pod ogromnem wrażeniem snu. Śniło mu się, że szedł ze starym Twardowieckim po Nowym Świecie i rozmawiali o tem, czy lepiej trzymać ryby w akwaryum, czy w doniczkach, przyczem od czasu do czasu przechodził przed nimi na rękach Keppler, gdy nagle Twardowiecki i miasto znikli, a on ujrzał się w Klężu, w pokoju babki Strzeliskiej, sam nad biblią Dorego. Za chwilę weszła Marya, usiadła przy nim, objęła go rękami za szyję i poczęła gładzić po twarzy, mówiąc: mój biedny mały, moje biedne dziecko! On zniżał coraz bardziej głowę ku jej piersi, a ona głaskała go po twarzy i włosach coraz serdeczniej, aż w końcu osunął się do jej kolan i poczęły mu łzy płynąć; wtenczas Marya powiedziała mu: mój drogi, biedny mały, wstań, wszystko będzie dobrze. Kocham cię.

Sytuacya się zmieniła: on ją wziął na kolana, a ona poczęła się doń cisnąć i przygarniać. W tej chwili się obudził.

Na razie był tak przejęty snem, że nic nie myślał i nic nie pamiętał. Rozczulony i rozrzewniony

szeptał: moja najdroższa, moja jedyna, Rysia najmilsza... Potem ocknął się, przypomniał sobie wszystko, a zarazem przypomniał sobie scenę z Elą Rosieńską i to, że postanowił się o nią dziś oświadczyć.

Wzdrygnął się: jeszcze czuł uściski Maryi, jeszcze czuł ciepło jej oddechu, jeszcze czuł dotknięcie jej włosów, rąk i twarzy i widział jeszcze tak blizko jej ciemno-szafirowe oczy o złocistym blasku. To była ona...

Przeraził się tego dla siebie, co miał dziś uczynić.

Gdyby nie ona, nie Marya, której cień szedł za nim w dzień i w nocy... Gdyby nie ona... Gdyby nie ona, to jeżeliby mógł i chciał kochać jaką kobietę, to tylko Elę Rosieńską; gdyby się chciał ożenić, to tylko z nią... Nie przyszło mu jednak wczoraj jedno na myśl: oto, że Ela nie przyjmie go, powiedział jej bowiem wyraźnie, że jej nie kocha i kochać nie będzie. Taka dziewczyna jak Ela, wolałaby umrzeć, niż iść za mąż, nie kochając, lub niekochana. A to, co odpowiedziała, że nie chce żyć, miało w sobie tyle jakiejś głębokiej prawdy...

Sytuacya jest bez wyjścia. Uczynić zadość pozornemu uczuciu uczciwości i poprosić Elę o rękę, wiedząc, że odmówi, wydało mu się nizkiem i niegodnem. Co więc zrobić?

Potem jednak począł rozważać, że może on

z tego, co zaszło między nimi, robi za dużą historyę. Ostatecznie nie powiedział jej nic, nie powiedział jej, że ją kocha, nie przemawiał do niej żadnemi rozbijającemi niewieścią cnotę wyrazami, a że się dała całować, to już jej rzecz. Za ładna jest i za ponętna, aby się jej nie pocałowało przy pierwszej sposobności, aby się nawet o tej sposobności nie marzyło. Zresztą taka panna, która się w godzinę po poznaniu daje ściskać za rękę, a po pięciu dniach wspólnego pobytu daje się tak całować, aż mdleje...

Ale kiedy tak myślał, jakiś wewnętrzny głos mówił mu: jesteś w tej chwili więcej, niż lichy człowiek. Wiesz sam, że myślisz o niej nikczemnie i z perfidyą.

Być może, ale cóż ma zrobić? Nie kocha jej, nie chce jej kochać, nie może jej kochać, kocha Maryę, ją tylko jedną jedyną i na zawsze, cóż ma zrobić?...

Uciec ztąd... Tak jest: ucieknie ztąd, nie żegnając się z nikim, nie pytając o nic, ucieknie i wyjedzie za granicę. Ma jeszcze tyle pieniędzy, że może wyjechać swobodnie, choćby do Ameryki, a ze swojem nazwiskiem teraz da sobie wszędzie radę. Wyjedzie.

Myśl ta ogarnęła go gorączkowo! Wtem wewnętrzny głos odezwał się: a jeżeli Ela otruje się lub utopi... W jej słowach, że nie chce żyć, było przecież tyle prawdy...

— Ech, nie zrobi tego — odpowiedział sobie z niechęcią, jaką się uczuwa wobec wszelkiej przesady.

Choćby nie zrobiła, czy to jest jednak godne uczciwego i honorowego człowieka tak postąpić z taką, jak ona kobietą — i uciec?

Nie skompromitował jej przecież wobec ludzi...

Tak, ale jej nadużył wobec samego siebie...

Ech!...

Ale to jest nieuczciwe...

No więc jest nieuczciwy!

Sława i dyplom honorowy wydały się mu w tej chwili czemś ogromnie małem i nic wartem.

Przedewszystkiem jednak jestem śmieszny! — krzyknął prawie na głos, wyskakując z łóżka, w którem już uleżeć nie mógł.

Dyabli mię zanieśli wczoraj na ten ganek. Sto panien się całuje — i nic. Ale tu...

Czuł, że tu nie można tak postąpić, jakby się postąpiło w stu innych podobnych wypadkach.

Zdejmował go też pewien strach wobec państwa Rosieńskich. Jeżeli Ela powie matce, albo Przerwicowej, a ta powtórzy pani Rosieńskiej... Lękał się i spotkania z Przerwicową: ona przy całej swojej pieszczotliwości była bardzo skromna.

Cóż się jednak może stać, jeżeli rzecz się rozniosła? Może go wyzwać na pojedynek pan Rosieński, albo jaki kuzyn Eli, może Edward Twardowiecki — gdyby on, Roman Rdzawicz, zginął

z ręki takiego durnia, toby było przedewszystkiem zabawne — ale tego nie będzie, bo gdyby się nawet Rosieńscy dowiedzieli o wszystkiem, chcieliby zatuszować rzecz, o ile się da, aby panny nie osławiać. Bądź co bądź poszłaby na języki — i więcej daleko niż on. Każdyby mówił: któżby też nie wycałował, jak się dała?! Pierwsze kobiety by tak mówiły.

Ostatecznie, cóż w tem jest tak strasznego? — próbował sobie jeszcze sam perswadować.

Wiesz doskonale, że w tym wypadku z Elą, to nie jest rzecz błaha — odpowiedział mu głos wewnętrzny.

Licho mnie tu przyniosło! — pomyślał znowu.

Jednak, jednak to było rozkoszne... To drżenie Eli, jej bezwiednie błądzące ręce po jego głowie i twarzy — przypomniały mu się we śnie, jako ręce Maryi — jej rozchylające się pod pocałunkami usta, cała ona omdlewająca, poddająca się, tracąca wolę, świadomość, przytomność — — to jednak było rozkoszne... Było tak rozkoszne, że dla ponowienia tej rozkoszy możnaby się na wiele ważyć... Gdyby jeszcze ją tak mieć przy sobie całą w dreszczach i z temi rozchylającemi się pod pocałunkiem ustami... Ona jednak jest bardzo ładna... Śliczne ma oczy, włosy i usta. Śliczne białe i małe ręce. Śliczną figurę. Ah! figurę ma prześliczną! Trochę jest cała drobniejsza od Maryi, ale śliczna. Śliczna jest cała...

I on miał ją w ramionach, usta swoje miał na jej ustach, pierś przy jej piersi, trzymał ją za ręce, pieścił...

Wspomnienie odurzyło go... Położył się na łóżko na poprzek, zamknął oczy i nie chcąc myśleć o niczem innem, używał po raz drugi odtwarzaniem w pamięci tego, co użył naprawdę, a wyobraźnia poczęła mu się rozogniać i roznamiętniać, aż go porwała i uniosła. Jakby z pierwotnej ziemi pod pożarem słońca szkarłatne i purpurowe kwiaty, poczęły w jego głowie bujać, róść i jakby pękać w kielichy rozszalałe pragnienia. Czasem podobnie wirują i migają, pełzną i pną się strzelające z ogniska płomienie koło młodej sosny, jak jego myśli krążyły koło Eli.

Spojrzał na zegarek: była już godzina dziesiąta. Przespał pierwsze śniadanie, ale o dwunastej była mała przekąska, na którą trzeba będzie zejść. Uczuł nieprzyjemne i denerwujące wrażenie niepokoju. Jeżeli przypadkiem rzecz się rozniosła, nie mógł sobie wyobrazić, co będzie?

Chmurny i posępny dzień wpływał jeszcze na jego złe usposobienie. Był tak rozdrażniony, że się opanować nie mógł. Chciałby był kogo zobaczyć z domu, aby się czegoś dowiedzieć; z drugiej strony niepokoiła go myśl spotkania się z kimkolwiek.

Jeżeli jednak nawet nikt inny o niczem w domu nie wie, to Ela z pewnością opowiedziała wszystko Przerwicowej. Czy po prostu nie najlepiejby było

pójść do niej i przekonać się, jak sprawa wygląda? Lora jest tak miękka, że choćby była najbardziej zagniewaną, nie potrafi być szorstką, a wczoraj, kiedy wychodziła z pokoju Eli, pożegnała go wyjątkowo serdecznie.

Lora przytem, przy całej swojej dziecinnadzie, jest rozumna i wyrozumiała; może mu to bardzo wziąć za złe, ale potrafi zrozumieć, że można się zapomnieć. Przy całej swojej uczciwości, skromności i etyce, ona niema w sobie nic głupiej pruderyi i przesady. Najlepiej będzie do niej pójść i wszystko jej wprost powiedzieć, jeżeli nawet nic nie wie ona sama od Eli; ale wie z pewnością.

Uchylił ostrożnie drzwi od korytarza i wyjrzał, czy nikogo w nim niema, poczem przeszedł go szybko i zapukał do pokoju pani Laury. Poprosiła, aby wejść.

Siedziała w różowym szlafroczku z białą różą u gorsu, trzymając na kolanach książkę, której widocznie nie czytała. Na widok Rdzawicza zarumieniła się wyżej uszu. On szedł do niej zmieszany i niepewny, ale zmieszanie się pani Laury przywróciło mu odrazu zimną krew.

— Pani wie o wszystkiem? — rzekł, całując ją w rękę.

— Wiem — odpowiedziała. — Proszę, niech pan siądzie.

— Czy Rózia także wie?

— Nie, nic nie wie. Poszła spać i Ela opowiedziała mi wtenczas wszystko.

— Cóż pani na to mówi?

— A pan? — spytała pani Laura, spoglądając mu głęboko w oczy.

— Ja? Przyszedłem się właśnie pani poradzić, co mam mówić?

— Stało się bardzo źle.

— Niech pani powie raczej, że ja zrobiłem bardzo źle. Co się stało, to tylko ja zrobiłem. Jakże mam naprawić?

— Nie kocha pan jej?

— Nie.

Pani Laura schyliła powieki i umilkła: doznała widocznie wielkiej przykrości, tak, że potrzebowała chwili czasu, aby ją stłumić w sobie, ale jeszcze głos jej drżał, kiedy zaczęła mówić.

— Powiedział jej to pan, prawda? Ale ja myślałam, że pan się sam wczoraj nie rozumiał i nie pojmował.

Umilkła znowu na chwilkę i uczyniła mu wrażenie, że chce coś powiedzieć, nie może się jednak zdecydować albo na mówienie o tem wogóle, albo na to, jak zacząć? Odezwała się wreszcie:

— Widzi pan, po tem, co się stało, możemy już chyba o wszystkiem i szczerze mówić. Ja panu powiem wprost, że mojem marzeniem było, aby się pan z Elą ożenił, dlatego, że panu dobrze życzę i wiem, jakąby pan żonę dostał, i dlatego, że Elę

bardzo kocham i wiem, że byłoby jej z panem dobrze. Pan wie, co ona dla pana czuje, więc możemy o tem mówić bez ogródek. Ona się panem odrazu zajęła na owym raucie jeszcze. Przyznaję się do winy, żem ją do tego usposabiała. Myślałam, byłam pewna, że sobie nawzajem przemówicie do serca, tak, jak byłam pewna wczoraj, że jej się pan oświadczył, i że zemdlała, bo jest niezmiernie wrażliwa i uczuciowa. Ja się czuję tutaj najbardziej winną. Na to, że się Ela panem zajęła tak bardzo i tak prędko, złożyły się różne przyczyny: jakie Ela ma usposobienie, to pan wie, przytem ona nie widywała prawie innej młodzieży, tylko takie lale, jak Edward Twardowiecki, i takich głupców, jak Wiktor. Najwięcej zaś zyskało ją dla pana to, że wiedziała... o pańskiem przejściu — dokończyła, nie mogąc widocznie znaleść wyrazu, któryby był dla Rdzawicza najmniej przykry. Kobiety są zawsze wrażliwe na cudze — — jeżeli komu nie jest dobrze...

— Dlaczego pani nie powie poprostu: na cudze nieszczęście? — przerwał jej Rdzawicz.

— O tych rzeczach jest tak trudno mówić — odpowiedziała pani Laura. — Zawsze się zdaje, że się jest za mało delikatną.

Rdzawicz wziął jej rękę i pocałował.

— Co do pana — mówiła dalej pani Laura — to byłam pewna, że pan ulegnie czarowi Eli. Nie jest piękna, ale jest prawie śliczna, a przytem

taka miła, taka dobra, taka prawa i czysta natura, bez cienia kokieteryi, a nie chłodna, ani zimna, na co tak zawsze wymyślacie u naszych kobiet. Nawet na raucie, po tem spotkaniu jeszcze, nie wątpiłam, że to tylko chwilowe wrażenie i że pan wróci do Eli. Czy ja panu nie robię przykrości?

— W każdym razie nie więcej, niż jej sam mam w sobie.

— Teraz niema już o czem mówić. Trzeba tylko starać się jakoś tę biedną dziewczynę uspokoić...

— I wynagrodzić jej krzywdę, jaką jej uczyniłem. Przyszedłem po to właśnie, aby mi pani powiedziała, jak?

— Alboż ja wiem? Gdyby ją pan kochał...

— Mogę zrobić wszystko, tak, jakbym kochał.

— Tak, ale ona wie, że jej pan nie kocha.

Pani Laura zmarszczyła smutno czoło i załamała ręce na kolanach.

— A cóż ona mówi? — spytał Rdzawicz, czując się bardzo winnym.

— Ona? To samo, co panu powiedziała: że nie chce żyć. Ja rozumiem miłość, sama byłam wrażliwa, ale nie miałam wyobrażenia o tak silnej uczuciowości, jaką ma Ela. Ciotka, która, choć jest chora, doskonale zna swoje dzieci, rozmawiała o niej ze mną nieraz i zawsze mówiła, że się ogromnie cieszy z charakteru Eli, ale ją niepokoi jej usposobienie, i że liczy na to, iż się charakterem będzie

rządziła. Ciotka poprostu mówi, że Ela jest bardzo... – pani Laura zaczerwieniła się jak piwonia i szepnęła półgłosem – rozbudzona...

Wymawiając ten wyraz, miała tak zabawnie zażenowaną minę, że się Rdzawicz mimoli uśmiechnął.

— Przypuśćmy — mówiła dalej — że Ela w pierwszej chwili za silnie czuje, ale to pewna, że jak jesteś pan jej pierwszą, tak i ogromną miłością, i że to, co wczoraj między wami zaszło, bo ona mi wszystko opowiedziała biedaczka, że to... Wie pan, ja znałam jedną pannę, która się zakochała w żonatym człowieku i posunęła się do najwyższego stopnia zapomnienia, do jakiego kobieta wogóle posunąć się może; wie pan, że ona w mniejszej była potem rozpaczy, niż Ela po tem co wczoraj między wami było...

— Więc cóż mam zrobić? Jestem na wszystko gotów — rzekł Rdzawicz.

— Ja wiem, że pan byś ją mógł pokochać, że pan byś ją kochał — wybuchnęła z rozżaleniem pani Laura — gdyby nie... Ja to czuję, że wy jesteście stworzeni dla siebie, że to jest wola Boża i wasze przeznaczenie. Dlatego Ela tak łatwo poddała się wrażeniu pana, a pana także odrazu przyciągnęło coś do niej...

— Tak, ale ja przeszedłem zły szlak; wrócić już nie mogę.

— Ta kobieta łamie panu życie!

— Wiem. ale to o n a.

Spojrzeli sobie w oczy. Rdzawicz odgadł odrazu, co pani Laura myśli. Gdyby to była inna kobieta, byłby wstał, wyszedł i przestał ją znać.

— Proszę pani — odezwał się po chwili. — Wszak panna Eliza wiedziała, że ja nie mogę się nikim zająć, ani chcieć z kimkolwiek żenić?

Pani Laura potrząsnęła trochę niecierpliwie głową:

— Niechże pan sobie nie wyobraża, że czy ja, czy ktokolwiek mówił z Elą o maryażu z panem. Ela wiedziała, że pan był narzeczonym panny Tyżwieckiej, że ona zerwała z panem i że pan bardzo cierpiał. Ja myślałam, że Ela pana naprzód wyleczy, a potem zajmie sobą, a przyzna pan, że po pańskiem zachowaniu się wobec niej na raucie mogła przypuścić, że uczyniła na panu przynajmniej nie mniej silne wrażenie, jak pan na niej. Przecież prędzej mogła i powinna była to przypuścić, niż to, że ją pan traktuje, jak kobietę ze złego towarzystwa, o czem zresztą ona pojęcia niema.

— No, ale potem?

— Potem? Potem była bardzo nieszczęśliwa i na swoje nieszczęście za słaba, aby się oprzeć uczuciu, które w niej coraz bardziej rosło. Ja teraz nie wiem, co z nią będzie? Dla takiej dziewczyny, jak Ela, dać się całować człowiekowi, który nie kocha i nie ma być mężem, to jest to samo, co

dla porządnej mężatki zapomnieć się — mówiła pani Laura prędko i w podrażnieniu. — Pan to przecież rozumie.

— Rozumiem, ale trudno, bo mi doświadczenie dało same inne przykłady.

— Może za granicą, w Niemczech, gdzie kobiety mają być dziwnie łatwe, ale nie u nas?

— Owszem u nas.

— W jakiemż towarzystwie?!

— Od góry do dołu.

Pani Laura spojrzała na Rdzawicza zdumiona:

— Wiem, że pan nie kłamie, ale nie miałam o tem pojęcia. Teraz więcej mi się tłómaczy postępowanie pana z Elą. Tylko nie spostrzegł pan tego, że Ela jest w takim razie inna, jak wszystkie?

— Owszem pani, spostrzegłem i właśnie dlatego jestem winny.

— Więc takie zacne, poczciwe, czyste stworzenie ma padać ofiarą za inne kokotki salonowe?! — wybuchnęła pani Laura z gniewem i tupiąc nogą w pantofelku.

— Dlaczego pani je tak nazywa? Czy kobiety, dlatego, że są pannami, nie mają prawa szukać przyjemności w życiu tam, gdzie ją znajdują?

— Ależ panna, która pozwala się do siebie zbliżyć człowiekowi, którego nie kocha — i o którym wie, że on jej nie kocha, jest prostą dziewczyną publ...

— Nie, jest tylko istotą, idącą za instynktami.

— Zapomina pan, że od tego jest wola i są zasady, aby się nie szło za instynktami, jak zwierzę.

— Są różne pojęcia i różne zasady.

— Jakąż pan jednak woli pannę? Taką, o jakich pan mówi, czy Elę?

— Taką, o jakich mówię.

— A na żonę?

— Elę.

— W takim razie trzebaby podzielić panny na te, które mają być żonami i na te, które niemi być nie mają?

— To też powinno się je dzielić.

— Ale dlaczegóż pan, kiedy pan widział, że Ela nie jest z tych panien, o jakich pan mówi, postępował z nią, jak z takiemi?

— W tem też jest całe złe, cała moja wina, do której się przyznaję i którą chcę naprawić.

— Ale jak?

— Nie wiem. Mogę wyjechać.

— Toby może było jeszcze najlepiej. Przeboleje i zapomni.

— Wyjadę dziś, zaraz, nie żegnając się.

— Eli pan nie zobaczy, bo tak wygląda, że zatrzymałam ją w łóżku, aby cioci nie przestraszać, która i tak ma się znowu niedobrze. Powiedziałam cioci, że ma migrenę.

— Zresztą nikt nic nie wie.

— Nikt.

— A Jerzy?

— Jerzy się czegoś musi domyślać, ale on jest dyskretny w tych rzeczach i ponieważ nic mu nie mówię, o nic się nie pyta. Wiedział przecież, że wychodziłam wczoraj w nocy do Eli, a Rózia mówiła mi tak głośno, że pan ją przyniósł na górę zemdloną, że wszystko słyszał. Co do Rózi, to ta jest pewna, że pan znalazł Elę na ganku. Trzebaby tylko jakoś upozorować pański wyjazd.

— Powiem, że muszę pojechać do Monachium i porozumieć się w niektórych artystycznych sprawach, które tylko osobiście mogę załatwić.

Pani Laura popatrzyła nań poważnie i rzekła:

— Wie pan, możem nie powinna tego panu mówić, ale niewielu ludzi na świecie jest tak kochanych, jak pan przez Elę; Bóg by pana natchnął, żeby pan umiał jeszcze z tego skarbu skorzystać. Bo pan skarb odrzuca, który się panu poprostu pod nogi sam przytoczył. Gdybym była mężczyzną i gdyby mnie taka kobieta tak kochała...

— Uczyniłaby pani tak samo, jak ja, gdyby pani przeszła przez drogę taka klątwa życia, jak mnie — przerwał jej Rdzawicz.

— Więc pan sam to nazywa klątwą swego życia! Dlaczegóż się pan nie otrząśnie?

— Ani mogę, ani nie chcę.

— Mógłby pan, gdyby pan chciał, mógłby pan!

— Gdybym nawet mógł, tobym nie chciał.

— To jest szaleństwo.

— Nie, pani, to jest tylko kochanie.

Pani Laura załamała znowu dłonie na kolanach i zawołała z żalem:

— No, czy wy nie jesteście dla siebie stworzeni?! Oboje jesteście zdolni do miłości, jaką się rzadko spotyka. To już trzeba prawdziwego nieszczęścia! Żeby pana jeszcze jako Pan Bóg natchnął! Bo sam pan sobie marnuje życie, a może pan je zmarnować takiej ślicznej duszy, jak Ela. Tymczasem moglibyście oboje być szczęśliwi, a ja bym mogła mówić, że to przynajmniej w części moje dzieło i że przecie nie napróżno przyszłam na świat, jeżeli choć trochę szczęścia ludziom z sobą przyniosłam. I tu wszystko się tak składa, bo ja wiem, że wujostwo byliby bardzo kontenci. Wyraźnie mi mówili oboje, że gdybyście się zajęli sobą nawzajem, to nie mieliby nic przeciwko temu. Oniby chcieli wydać dziewczęta prędko za mąż ze względu na stan cioci, a tu w okolicy są sami Edwardowie i Wiktorowie Twardowieccy. Obojgu wujostwu pan się bardzo podobał, zwłaszcza cioci, w której się za młodu kochał jeden wielki malarz francuzki, kiedy była w Paryżu jeszcze panną, i która od tego czasu ma słabość do artystów. Trzeba prawdziwego nieszczęścia...

— Trudno, proszę pani; powiem stary frazes o kulach i Panu Bogu. Ma mnie pani w ręku i jestem gotów na wszystko. Niech pani powie Eli, że

niema takiej rzeczy, którejbym dla niej nie uczynił. Za godzinę przyjdę się pożegnać.

Państwo Rosieńscy zmartwili się widocznie zupełnie szczerze postanowieniem Rdzawicza: Rózi łzy kręciły się w oczach, a Przerwic usiłował mieć minę człowieka, który nic nie widzi oprócz tego, na co mu patrzeć każą.

— Cóż? — spytał Rdzawicz pani Laury, korzystając z chwili, kiedy nikt nie był blizko nich.

— Zupełnie się boję o nią. Nie jadła nic od rana, blada jest, jak po ciężkiej chorobie i trudno z niej słowo wydobyć. Ta dziewczyna okropnie cierpi.

Rdzawicz zamknął oczy i przycisnął rękę do czoła: uczuł, że go porywa coś i ciągnie, jakby gwałtem do pokoiku Eli, ku jej łóżku, do jej ręki i stóp. Było to uczucie ogromnej litości nad istotą słabą, która cierpi i którą z tego cierpienia mógłoby się uleczyć. Na to jednak trzebaby zmusić się, aby dusza wytworzyła to, czego w niej niema: zmusić muszlę, w której niema na to warunków, aby wytworzyła perłę.

— Cóż mam zrobić? — zwrócił się do pani Laury. — Cóż mam zrobić? Mogliby mi tutaj w łeb strzelić, ale ja nic nie potrafię wymyślić.

— Biedne dziecko — szepnęła pani Laura z załzawionemi oczyma.

— Jedno nieszczęście rodzi drugie. *Das ist der Fluch der boesen That, dass sie fortzeugend Boeses*

muss gebaeren. Do widzenia droga pani. Niech mnie pani nie potępia.

— Nieszczęście ma ten przywilej, że wiele tłómaczy.

— Tylko u ludzi dobrych. Do widzenia.

— Zobaczymy, co czas przyniesie — rzekła pani Laura, ocierając oczy palcem i z pewną nadzieją w głosie.

— Niech pani mi wierzy, że wszystko dobre, co mnie jeszcze może przynieść, oddałbym, aby jej było dobrze. Do widzenia.

Pani Laura podała mu serdecznie rękę.

Kiedy, wsiadłszy do powozu, odwrócił się jeszcze, aby oddać ostatni ukłon państwu Rosieńskim, zobaczył, że pani Laura, stojąc oparta o Jerzego, czyniła za nim w powietrzu krzyżyk.

Do stacyi kolejowej było z Zagórza trzy mile i długo już powóz jechał między pola i łąki, nim się Rdzawicz otrząsł ze wzruszenia. Było mu żal tego domu, gdzie byli sami ludzie dobrzy i prawi i który wydał mu się jakąś oazą w życiu, co go otaczało. Ale oto, ledwo próg tego cichego domu przestąpił, wniósł tam nieszczęście i krzywdę. *Das ist der Fluch der boesen That, dass sie fortzeugend Boeses muss gebaeren* — powtórzył.

Świat zdał mu się teraz jeszcze bardziej pustym. Od paru miesięcy czuł to, że ma gdzieś jednak jakiś dom ludzki otwarty: tymczasem teraz ten dom się zamknął i ubył. Przyzwyczaił się do myśli:

„pojadę do Zagórza“, i ta świadomość, że już myśleć tak nie będzie mógł, była mu bardzo przykrą. Do tego Zagórza ciągnęło go. Stąd było tak daleko do Borzewskiego, Kołolaskiego, Jadwigi Strzeliskiej i pani Porzelskiej, do tego wszystkiego, co mu truło życie; było tam tak cicho i spokojnie. I mógł tam być kochany naprawdę, bardzo, bez pamięci... Mógł się dać kochać, mógł używać tego kochania z całym egoizmem i sybarytyzmem, jaki jest wrodzony żądnym użycia naturom. Mógł był tam wypoczywać, poprostu jakby wysypiać się po strasznej nocy, którą przeszedł. Ale nie, ta noc się nie skończyła, ona trwa jeszcze i trwać będzie do końca jego życia. Niema dla niego ani spoczynku, ani wytchnienia. A jednak chyba Lora miała racyę, chyba to już jest więcej szaleństwem, niż miłością...

I znów czeka go to samo życie gorączki, niepokoju, rozdrażnienia, zamknięte między jego pracownię, restauracye i cukiernie. Wzdrygnął się ze wstrętem.

Przytem to ohydne miasto ze swoim kurzem, turkotem i hałasem, ze swoją ciasnotą, ze swojem złem powietrzem i antypatycznym tłumem ulicznym... Tu było tyle kwiatów, tyle łąk, tyle przestrzeni i tyle wolnego świata. Wszystkie miejsca, gdzie był w Zagórzu, poczęły mu stawać w pamięci z nadzwyczajną plastyką. Wszystkiego użył za mało: i potoków w gąszczach i lilij wodnych

i lasu i pastwisk i rzeki. Gdyby teraz wrócił, zanurzyłby się w naturze, utonąłby w niej tak, aby o wszystkiem zapomnieć...

Lora ma rzeczywiście racyę, że oni są z Elą dla siebie stworzeni. Nie wyobrażał sobie, na jakim punkcie mógłby się z tą dziewczyną nie zgodzić, w jakich kwestyach mogliby mieć różne zdanie? Z Maryą patrzeli odmiennie na mnóstwo rzeczy, a przytem w Maryi było zawsze coś, czego nie mógł wyraźnie dojrzeć, czego nie mógł przejrzeć; było coś w jej duszy, czego nie mógł uchwycić w rękę, nie mógł dosiądz i przed oczy sobie przedstawić; w jej miłości, w tem, co ona nazywała miłością, było także coś drażniącego wzrok, a niedającego się zobaczyć i poznać. Dusza Eli była jak kryształ, w który trzeba było umieć patrzeć i patrzeć głęboko, ale widziało się w nim wszystko, a jej uczucie wykwitło tak, jak bławat, który można nachylić ku sobie i obejrzeć w nim każdy listek i listeczek i który wyrósł w polu, bo go posiał wiatr.

Tak, jeżeli los przeznacza sobie ludzi, ją jemu przeznaczył; tylko przyprowadził ją ku niemu za późno.

I ona do niego lgnęła tak szybko i tak bez wahania, jakby przez całe ośmnaście swoich lat dla niego rosła. Bez względu na cokolwiek, szła ku niemu, jakby ją jakaś zewnętrzna rozkazująca siła pchała, jakby jej ta siła rzekła; jakkolwiek

jest, to jest ten człowiek, którego kobietą tyś być powinna.

Ta dziewczyna, prosta, jak element, jak natura, miała instynkta pewne, stanowcze, jakby wytknięte; głos płci odzywał się w niej tylko jednem imieniem i poza tym jednym mężczyzną, którym on jest, bezwarunkowo nie istnieje dla niej cały świat. Tak samo było z nim względem Maryi, ale nigdy z pewnością ani nie było, ani nie będzie tak z Maryą względem nikogo, choćby się tak pozornie wydawać mogło. Z Maryą nie może tak być nigdy: coby Ela zrobiła teraz na jej miejscu, trudno przewidzieć, to pewna, że nie zrobiłaby tego, co ona robi. Wolałaby nie żyć.

Jednak — — ta sama zewnętrzna siła rozkazująca jego wiąże z Maryą i staje zaporą między nim a Elą. Między czworgiem ludzi dobór płciowy rozbił się w trzech kierunkach, z których jeden jest fałszywy. Powinni stworzyć dwie pary: Borzewski z Maryą, on z Elą Rosieńską. Tymczasem los chce, że ani jedno z tych uczuć nie może być zaspokojone, a jeżeli weźmie się w rachubę jeszcze Kołolaskiego, tworzy się zupełny chaos, gdzie trzech mężczyzn pragnie posiąść jedną i tę samą kobietę, ona pragnie się oddać jednemu z nich, a druga kobieta kocha napróżno. Między pięciu osobami dwie tylko wole wzajemne idą po jednej linii; trzy dążą w fałszywym kierunku. Nikomu z nich pięciorga los nie przeznaczył szczęścia, a centrem,

osią tego chaosu i nieszczęścia jest Marya, ta cudowna klątwa jego życia...

Rdzawicz rzeczywiście chciał pojechać do Monachium, chciał się rzucić w wir artystycznego życia, między cyganów malarskich całego świata, modelki i kelnerki, a zarazem chciał porobić stosunki kunsthendlerskie, ustalić sobie dochody i osiąść na stałe za granicą, we Włoszech lub w Paryżu. Chciał zerwać z tem wszystkiem, co było poza nim, ogłuszyć się i zagłuszać. Kiedy jednak stanął w Warszawie, nie mógł się zdecydować, czy jechać do Monachium, czy w góry do Szwajcaryi, czy gdzie nad morze niemieckie, do Włoch bowiem było już za gorąco. Ostatecznie zdecydował się na Norderney, gdzie nęciło go morze mgliste i fantastyczne, i prawie gotów był do drogi, gdy na trzeci dzień po przyjeździe, spotkał na mieście Jadwigę Strzeliską, za którą szła służąca z ogromnem pudłem z magazynu. Ukłonił się i chciał przejść, Strzeliska jednak zatrzymała go, wołając:

— Jakto, pan tu? Słyszałam, że pana zabrali Przerwicowie do państwa Rosieńskich. Jakże się pan ma?

— Dziękuję pani — odrzekł przystając, Jadwiga bowiem podchodziła ku niemu z wyciągniętą ręką.

— Chce pan ze mną porozmawiać trochę? Niech Wikcia odniesie to domu i powie, że zaraz przyjdę. Mamy teraz masę sprawunków.

— Albo co?

— To jest jedna z sukni wyprawnych Maryni; dawałam ją poprawić, bo źle leżała w pasie.

— Kiedyż ślub? — spytał Rdzawicz, któremu się nagle stało na moment ciemno.

— Za trzy tygodnie.

— Z Kołolaskim?

— A jakże. Borzewskiego ślub we wrześniu.

— A potem?

— Dużo sprytu.

— I pomocy ludzkiej, jeżeli będzie potrzeba, prawda? — rzekł z nieukrywaną wzgardliwą niechęcią w głosie.

Jadwiga popatrzyła mu w oczy i powiedziała bez zmieszania:

— Jestem przygotowana na to, że podobnym tonem będą do mnie nieraz ludzie w życiu przemawiali. Każdy, kto ma swoje odrębne, samoistne pojęcia, kto się z niemi nie tai, nie poddaje się pod szablon i nie dba o zdawkową, przeciętną moralność, zwłaszcza, jeżeli jest kobietą, narażony jest na podobny ton u ogółu, jakim pan do mnie przemówił. Żal mi tylko, że i pana nawet muszę do ogółu zaliczyć.

Jak podczas rozmowy w pracowni, tak i tym razem Jadwiga zaimponowała Rdzawiczowi: zła, czy dobra, ale to była natura „cała z jednej sztuki“, sama przez się stworzona i urobiona. Imponowała ona, jak imponuje każda silna, energiczna

indywidualność, bez względu na to, czy jest dodatnia, czy ujemna.

— Więc za trzy tygodnie ślub Kołolaskiego? — powtórzył.

— Tak.

— Gdzie?

— U świętego Krzyża.

— Wieczorem?

— O szóstej.

— Czy ona tu jest?

— Nie, jest u Leszczyckich. Doktor kazał jej przed ślubem wyjechać trochę dla wzmocnienia.

— Czy jest niezdrowa?

— Niby nie, ale ma ciągłą gorączkę. Rozumie pan, że jak się tak bądź co bądź niesłychaną rzecz przedsiębierze — —

— Rozumiem.

— Przyznaję, że to jest dla niej okropne przejście — mówiła Jadwiga. — Iść za takiego Kołolaskiego — — brrr!

Rdzawicz przyciął usta.

— Widzi pan, jeżeli komuś grozi ślepota na oba oczy, a powiedzą mu, że uratuje prawe, jeżeli sobie da lewe wyjąć, to sobie da — mówiła dalej Jadwiga. — Ale nie mówmy o tem, bo pana to drażni. Cóż pan na wsi robił u Rosieńskich? Nie zakochała się w panu przypadkiem która z tych dwóch gąsek?

Rdzawicz nie zwrócił wcale uwagi na lekceważący sposób, w jaki Jadwiga odezwała się o Eli.

— Będzie zapowiedź ślubu w *Kuryerze?* — spytał.

— Z pewnością. Wątpię, aby Kołolaski nie chciał się pochwalić przed światem, że bierze jednę z najładniejszych panien w mieście. Przypuszczam, że kazałby to afiszami ogłosić po rogach ulic, gdyby mu Marynia pozwoliła. Ale przecie pan nie przyjdzie na ślub?

— Owszem, przyjdę.

— Mam jej to powiedzieć?

— Jak pani chce. Zresztą chyba jej to wszystko jedno.

— I to prawda. Niech się pan jednak tem pocieszy, że Maryni jest naprawdę wszystko, wszystko jedno. Ona chce tylko użyć życia, a to użycie wciela się jej w Borzewskiego, na razie przynajmniej. Co będzie później, nie wiadomo. Zdaje mi się, że będzie bardzo kochała swoje dzieci — — jakiekolwiekbądź, z prawa, czy z lewa...

Brutalnym tym cynizmem Strzeliska bryznęła Rdzawiczowi w oczy z widocznem zamiłowaniem w przedmiocie.

— Cóż pan z sobą teraz robi? — spytała.

— Chciałem jechać na Norderney, ale pojadę dopiero po ślubie Maryi.

— Także tam?

— Chyba. Zresztą to wszystko jedno, bo wszędzie za mną pojedzie mój — — raj.

Strzeliska popatrzała nań z współczuciem, które nie miało w sobie nic sztucznego i rzekła szczerze wzruszonym i ujmującym głosem:

— Niech pan jeszcze to przetrzyma. Może to jest najcięższy cios, ale ostatni. Niech pan to pamięta.

W tej chwili wydała się Rdzawiczowi prawdziwie i rzeczywiście dobrą.

— Jabym panu radziła wyjechać przed ślubem Maryni — dodała.

On zaś odparł:

— Pani mówi, że to najcięższy, ale ostatni cios? Prawie wolałbym, żeby ona umarła, niż żeby się to miało stać, co będzie.

Strzeliska rozśmiała się:

— Panie, panie, nie bądźmyż dziećmi. Czy pan się nigdy nie zastanawia, że życie jest tragiczną farsą, ale farsą, i że nie warto naprawdę, nie warto tak się w niem męczyć. Co z tego przyjdzie? I cóż naprawdę jest w tem tak złego? Pan jest ofiarą zakorzenionych wiekami przesądów. Więcej pogaństwa, panie Romanie, więcej pogaństwa, więcej odwagi w patrzeniu na życie takie, jakiem jest. Boże drogi! Jest się też o co zabijać?!

Ogromnie spokojny, lekki i pewny siebie ton Jadwigi wywarł na Rdzawicza zwykłe wrażenie: za-

stanowił go. Jadwiga spostrzegła to i dodała z miłym, jaki miała, uśmiechem:

— Zdaje mi się, że ja na pana dobrze działam. Pan powinien przychodzić do mnie od czasu do czasu na konferencye, jak panie z arystokracyi do ojca Narcyza. Wyleczyłabym pana z mnóstwa rzeczy. Czuje pan tak grecką rzeźbę, jak nikt, a tak mało ma pan Grecyi w duszy. Niech pan sobie z tego wszystkiego nic nie robi, a przedewszystkiem niech pan się stara uprzyjemnić czem życie. Ma pan jaki romans?

Pytanie to było postawione z taką prostotą, jakby je postawić mogła Rózia Rosieńska; Rdzawicz zaś wobec tej naturalności, z jaką go Jadwiga zapytała, przedewszystkiem, mimowolnie zupełnie, uczuł się zażenowanym, że nie może odpowiedzieć twierdząco.

— Jakto? Nic? Żadnego stosunku? — mówiła dalej Jadwiga mocno zdziwiona. — Nic? No to jakże pan tak może żyć? I tak marnować życie? Przecież trzeba je uprzyjemniać, jak się da tylko.

Rdzawicz stał przed Jadwigą zdumiony; ta młoda, może dwudziesto-jeden albo dwuletnia panna mówiła z nim o życiu, jak dojrzały mężczyzna. Nie byłby chciał uwierzyć, gdyby mu o niej opowiadano, ale miał Jadwigę przed oczyma.

Z drugiej strony począł się poddawać suggestyi. W istocie, czy warto się tak męczyć? Cóż z tego przyjdzie? Czy życie nie jest przedewszystkiem tra-

giczną farsą? Poszedł dalej: wydał się sam sobie śmiesznym, niesłychanie, bezbrzeżnie śmiesznym. Zupełnie karp, który się rozbija o to w stawie, co robią wróble na drzewie, albo na odwrót, wróbel, ćwierkający żałośnie nad karpiami. Był tak wyeliminowany z tej gry, jak koń pocztowy, którego odprzęgną i zostawią w stajni; kareta jedzie, ale innymi końmi — pocóż się pocić, jakby ciągnął kiedy nie ciągnie? Czy nie lepiej spokojnie gryźć owies, który leży w żłobie? Czy nie lepiej nie marnować życia?

— Pani — rzekł do Jadwigi — zdaje mi się, że byłem bardzo głupi. W istocie, ma pani racyę. Przestanę marnować życie. A na dowód, jeżeli tylko pani pozwoli...

Strzeliska uśmiechnęła się zabawnie i odparła:

— Myśli pan, że krzyknę oburzona: zwaryował pan, czy co? Wcale nie. Znam doskonale *Demi-vierges* Prevosta. Więc głowa do góry i do widzenia, bo teraz mam tyle do roboty, że sobie rady dać nie mogę. Cieszę się, bo mi się zdaje, żem pana zreperowała trochę. Adieu.

Wyszła.

— Naprawdę nie trzeba być osłem — myślał Rdzawicz. — Za dużo sobie z tego wszystkiego robię. I co ja mam być od nich lepszy? Zresztą może one są tylko mądre. Cóż jest moralność? Co się temu, albo owemu podobało nazwać moralnością. Świat jest urządzony tak, jakby każdy potrzebował

zjeść na dzień funt mięsa, tymczasem ktoś potrzebuje pół funta, ktoś dwa: ktoś będzie głodny, ktoś chory na niestrawność. Ludzie nie mogą jednej rzeczy zrozumieć, to jest indywidualności. Taka Jadwiga: ostatecznie wszystko to, co ona robi, ma na celu zadowolenie drugich. Jeżeli Kołolaski nic nie spostrzeże, to także będzie zadowolony, a w każdym razie naturalne jest, że ona nie waha się poświęcić w danym razie takiego kpa dla Maryi. Kto wie, czy nie do Jadwig Strzeliskich należy jutro stosunków społecznych, dopóki się pojutrze z tego fermentu coś nie wyklaruje i nie stworzy? Tak, jak jest, jest bezwarunkowo źle i niema nic naturalniejszego, że się szuka nowej formy życia. Że się na coś zanosi, jest aż nadto widoczne.

W nim zaś, czuł, że się coś przełamało: konkretny, wyraźny, plastyczny fakt ślubu Maryi był dla niego momentem krytycznym. Teraz naprawdę zamykały się drzwi, odwracała się karta.

— Za trzy tygodnie kończę jedną część mego życia — myślał. — Obrachunek smutny. Zdobyłem wszystko — oprócz szczęścia. A jednak pół życia minęło...

Szczęście zaś jest tylko jedno: w wielkiej ciszy wielkiego kochania — — i takie jest dlań niedostępne.

Ale jest jedna rzecz dostępna: satysfakcya zmysłów.

Nazajutrz obudził się późno, z głową ciężką i goryczą w ustach. Jak i kiedy wrócił do domu, nie pamiętał. — Na stole leżał kawałek różowej wstążki i zmięty bukiecik róż herbacianych — przypięła mu je do surduta Zosia Polewska. Przypomniał sobie, że jeździli razem do Belwederu, zdaje się, że nawet byli pod Wilanowem.

Przeciągnął się i ziewnął. Znalazł na sobie długi, cieńki, złotawy włos. Zosia Polewska miała sławne włosy.

Spojrzał na zegarek: była godzina pierwsza po południu. Obok zegarka na stole leżały dwa listy, raczej jeden list i druga karta w kopercie. Służący musiał je położyć, przyszedłszy po rzeczy. List był od pani Laury, karta od baronowej Heimerth. Zdjął go pewien niepokój: co może donosić pani Laura? Czy nie zdarzyło się co w Zagórzu?

Rozerwał kopertę. Pani Laura pisała: „Panie Romanie! Jeżeli pan jeszcze nie wyjechał z Warszawy, to uwiadamiam pana, że za parę dni przyjedziemy tam z dziewczętami, cioci bowiem zrobiło się gorzej i bezzwłocznie wysyłają ją do wód. W Warszawie będziemy tak długo, dopóki Jerzy nie będzie mógł się wybrać z nami do Zakopanego. Chciałabym, żeby Ela już pana nie zastała, choć sama nie wiem doprawdy, czego mam dla niej chcieć i coby było lepiej? Nie mogę sobie dać rady, bo czuję, że wszystko to przezemnie. Serce by się panu krajało, gdyby pan na nią patrzał. Ta

dziewczyna niknie w oczach zupełnie. Zmusza się do jedzenia i mówienia, żeby cioci nie niepokoić, ale ciocia już się spostrzegła i nie wątpi, że Ela się panem zajęła. Ja, o ile mogę, unikam rozmów na ten temat, bo cóż mam odpowiedzieć? Żal mi tylko, serdecznie mi żal Eli. Ciocia łamie nad nią ręce i mówi: widzisz, to jest Ela. Któraż panna w jej wieku się nie kocha, ale u niej zaraz wszystko do aberracyi dochodzi. Róziaby popłakała dwa dni i na tem koniec, a Ela się będzie dręczyć i dręczyć. — Co do pana, to ciocia widziała, że pan jest względem Eli zupełnie obojętny, a o tem, co między wami zaszło, naturalnie nie wie. Z Elą ciotka o tem nie mówi, bo ma tę metodę, że czeka zawsze, aż córki same do niej z czemś przyjdą. Ze mną Ela, oprócz tego jednego razu, nie zamieniła ani jednego słowa, ja jej się też nie chcę narzucać; raz tylko, przedwczoraj wieczorem, przyszła do mnie, do pokoju, oparła mi się o ramię i rozpłakała się. Popłakałyśmy się obie, ale nic nie mówiłyśmy; i cóż ja mogłabym zresztą poradzić? Gdyby tu choć Bisza była! Panie Romanie — powtarzam panu, że pan odtrąca skarb, który się panu pod nogi sam przytoczył. Ani takiej miłości, ani takiej kobiety nie znajdzie pan nigdy więcej. To nieprawda, żeby miłość potrzebowała długiego czasu: miłość może powstać w sekundzie, a to, co potrzebuje poznania i gruntowania się, to jest

przyjaźń, lubienie, szacunek, sympatya, wszystko to, co jest konieczne w prawdziwej miłości, ale drugorzędne. Ona sama, samo kochanie, rodzi się, jak iskra. Ela pana nie zna, ale pana kocha.

Ja jeszcze nie tracę nadziei i, gdyby pana przypadkiem ten list zastał w Warszawie, sama nie wiem, czy chcieć, aby pan wyjechał, czy aby pan został.

Szczerze życzliwa i bardzo zgnębiona

Laura Przerwicowa".

Rdzawicz, ochłonąwszy z pierwszego niepokoju, czytał list pani Laury z lekceważącym uśmiechem, a nie bez pewnego zadowolenia, że to o niego i tak bardzo chodzi. Na razie przeląkł się, ale to, że Ela nie je i mało mówi, a pani Laura i pani Rosieńska się martwią, nie było niczem strasznem i o pomstę do nieba wołającem. Jak się Ela przegłodzi, to będzie jadła — pomyślał — a najlepiej żeby jej dali *cascara sagrada*, jeżeli nie znosi olejku. Lora jest dobra, jak anioł, ale dziecko i na wszystko patrzy przez powiększające szkła. Ostatecznie możeby i wyjechał, ale chce być na ślubie Maryi, więc nie wyjedzie, a co się ma stać, to się i tak stanie. Możeby się nawet oświadczyć o tę panienkę... Dostałby na stół ośmdziesiąt tysięcy i bądź co bądź miałby kilka miesięcy przyjemnych, a nadto miałby kto z niego zdejmować długie, cienkie, włosy, gdyby je przyniósł do domu.

Rozciął z kolei grubą sztywną kopertę od baronowej Heimerth, zaadresowaną ogromnemi literami, jakich w Anglii używają kantorzyści, a w Polsce arystokracya. Heimerthowa pisała: „Mistrzu Romanie! Są rzeczy, których nie wolno nawet takim, którym wszystko wolno. Dochodzą mię wieści, że Pan od paru dni w Warszawie, a ja jeszcze nie mogłam uścisnąć tej ręki, która sobie wykuła i wymalowała dyplom honorowy. Tego Panu nie wolno. Jestem w domu codzień między dziewiątą a — —.

Przyjaciółka, wielbicielka i szarytka w odstawce

Helena Heimerth“.

Rdzawicz uczuł znowu pewne zadowolenie. Wstał powoli i spojrzał w lustro: miał jakiś inny wyraz, jak zwykle, jakieś cyniczne lekceważące szyderstwo w oczach i ustach. Wydało mu się, że jest podobny do Jadwigi Strzeliskiej i do malarza Sobieskiego, którego znał za granicą, a który mawiał o sobie, że jego całym majątkiem, prócz tego, co ma na sobie, jest „blaszana miednica, łosiowy kaftan i nic świętego“. Sobieski zapomniał jeszcze — pomyślał Rdzawicz — dodać: oprócz tego, co ma na sobie i braku talentu, ale ja go mam.

Vogue la galère!

Zbiegł do pracowni, w której prawie nie bywał od przyjazdu. Była pusta, wszystko bowiem było

w Monachium, tylko obciosany dokładnie w marmurze stał na środku „Anioł śmierci“ i wydawał się wobec pustki otaczającej go, ogromny. Rdzawicz począł mu się przypatrywać, za dwa tygodnie najdalej możnaby skończyć nietylko całą grupę, ale nawet twarz. Otwarł komodę i wyjął z niej portret Maryi. Popatrzył chwilę, potem zawiesił go na ścianie i znów począł nań patrzeć.

— Pani Kołolaska, kochanka Borzewskiego — rzekł głośno.

Poczem, jakby nie chciał czy nie mógł być dłużej w tym pokoju, wyszedł szybko, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

— Panna Polewska! — krzyknął pierwszemu z brzegu dorożkarzowi, wsiadając do powozu.

— Wiem — odparł dorożkarz zacinając konia.

— Do Zosi Polewskiej, do Zosi Polewskiej — powtarzał sobie Rdzawicz w myśli. — Do Zosi Polewskiej. Jak dawniej... Nie zmieniło się nic... Jak dawniej jeździ do kokot i przywozi do domu ich włosy, które nazajutrz na sobie znajduje... Nie zmieniło się nic... Tylko — — miał mieć żonę, kobietę, której się mówi: żono, i którą się kocha, jak żonę... Nie zmieniło się nic... Zosia Polewska ma to samo mieszkanie z balkonem, ten sam perski dywan, ten sam szafir na palcu, te same pełne łydki, te same śliczne usta i ten sam uśmiech miły i głupi. Tak samo także mówi „kotku...“ Nie zmieniło się nic przez ten czas, odkąd

poznał Maryę w Kłężu — — tylko papuga Zosi zdechła. Zielono-żółta papuga, która umiała mówić „Koko“. Ta sama służąca drzwi otwiera. Wszystko tak samo. Wszystko tak samo!... Wszystko, wszystko tak samo...

ROZDZIAŁ IV.

Anioł śmierci był na ukończeniu. Rdzawicz kuł w obciosanym przez Tężla i Łanowskiego marmurze twarz, której brakowało. Kuł twarz Maryi.

Nazajutrz po spotkaniu się z Jadwigą Strzeliską, poszedł rano do atelier, postawił portret Maryi na sztalugach i patrzał nań przez chwilę, a potem wyrywszy na podstawie posągu dużemi literami napis: *Vogue la galère,* położył pierwszą płaszczyznę na czole. Robił z portretu i z fotografij, których dostał kilkanaście, gdyż Marya doskonale wychodziła na fotografii i ogromnie się lubiła fotografować. Z narzeczonym jednak fotografii nie było u jej zwykłego dostawcy.

Rdzawicz miał jej głowę z profilu, *en trois quarts*, *en face*, w wielkich formatach; dwie zaś, o których zdjęcie prosił sam fotograf, a których Marya pozwoliła zrobić tylko po trzy egzemplarze, biorąc po dwa dla siebie, naturalnej wielkości. Tych fotograf pożyczył mu ze swego gabinetu.

Z portretem, fotografiami i z pomocą swej kolosalnej pamięci, którą Heimerthowa porównywała

do kolosalnej pamięci muzycznej Mozarta, Rdzawicz czuł, że robi głowę Maryi tak, jakby robił z żywego modelu. Na tę myśl doznawał jakiejś dziwnej satysfakcyi, dziwnej, bo właściwie była ona tylko bólem, ale ten ból miał w sobie coś podniecającego i gorączkowego, jak jagody szaleju. Uczucia tego nie umiałby był nazwać. Widział, że tworzy coś potwornego ze względu na Maryę, siła jakaś jednak większa, niż nawet sama możność zastanowienia się, refleksyi, owładnęła nim i parła go naprzód. Był panem dłuta, młotka i ruchu swej ręki, ale pobudka tego ruchu przychodziła jakby zkądś zewnątrz i jakby niezależnie od niego. Czuł tę siłę, prącą go niemal z furyą. Była to nieustanna, dziwnie potężna inspiracya twórcza, czy też wprost gorączka, jakby jakiś obłęd twórczy: nie wiedział. Czuł się porwany prądem i dał się nieść.

Robił też tak szybko, że się sam zdumiewał: w kilku dniach rysy Maryi wyrosły z kamienia, zupełnie prawdziwe. Ściągła szczupła twarz, wielkie podłużne oczy, nos cienki, prosty i delikatny, z płaszczyznami, jak u greckich posągów, usta małe, wązkie, dziwnie regularne, z górną wargą cokolwiek wzniesioną, broda dosyć krótka i klasycznie okrągła: wszystko to wyprowadził z bryły marmuru, jakby życie w nią tchnął. Włosy puszczone miała lokami ku ramionom, jak były na portrecie, jak je nosiła najczęściej w Klężu. — A kiedy się cofał

od roboty, aby się jej przypatrzeć, mimowoli dreszcz go przechodził, bo to była o n a, Marya, zaklęta w marmur, zmuszona być i trwać.

Zniewolił ją. Zechciał i stworzył ją po raz drugi; rozkazał i powstała. Obnażył jej dziewicze ciało, dał jej ruch, w jakimby się nigdy nie pokazała nikomu, zgniótł ją w ręku, jak wosk...

Ale chwile poczucia tego jakby tryumfu twórczej władzy, kończyły się zawsze myślą, że to on sam tam leży w płaszczu z zasłoniętą twarzą, że to jego ta kobieta obaliła i odtrąca nogą, jak martwą rzecz, jego depce, i że rzeźba ta jest symbolem klątwy jego życia, tryumfu jego złego przeznaczenia nad nim, jego złej doli... W tym marmurowym bloku, w tym kształcie, zatartym draperyą, czuł się tak silnie, że prawie bolała go stopa Maryi na piersiach...

Potem potrafił nadać tej wywołanej z kamienia twarzy wyraz melancholii i swawoli, zuchwalstwa i smutku, dzieciństwa i powagi, sentymentalizmu i zmysłowości, dać jej nieujęty wdzięk i nieodparty czar i rzucić na to wszystko, w oczy i usta błysk czegoś wyzywającego, co zestrajało twarz z wyzywającym ruchem ciała.

Widok jego własnego dzieła upajał go. Ta cudowna kobieta była przerażająca, jej twarz była jak trujący kwiat, jej oczy były jak sztylety, owinięte w aksamit, jej usta jak żywy żar pod miękkim mchem. Nie była to hetera, odtrącająca ludzi,

jak martwą rzecz z wyzywającym ruchem: dalej! dalej! — — ale jakaś personifikacya dobra, co się na złe obraca, symbol piękna, które się staje potworem, Anioł, ale śmierci...

W podziwie stał przed własnem dziełem, bo prawie więcej stworzył, niż pomyślał i niżby sobie mógł wyobrazić, że potrafi.

Tymczasem nadesłano mu gipsowy odlew z Monachium i począł z takim samym pośpiechem, jak głowę, wykończać ciało; draperya i figura leżąca były zupełnie gotowe. I znów w trakcie roboty doznał kilkakrotnie podobnego zaćmienia w mózgu, jak kiedy rzucał na karton szkic, po powrocie z rautu. Wiedział wprawdzie, co mu powiedzieli lekarze, że może się doprowadzić do fatalnych następstw, jeżeli po ostatniej chorobie długo i zupełnie nie wypocznie, i że zakazali mu najsurowiej wogóle kiedykolwiek się forsować: kuł jednak z takiem wytężeniem i tak bez wytchnienia, jak nigdy, a ból i załamywanie się w mózgu, jakie mu się zaczęły dawać czuć, sprawiały mu jakby jakieś smutne i gorzkie zadowolenie. W jego zmęczonej i rozgorączkowanej wyobraźni myśl, że musi zginąć przez Maryę, gruntowała się i wszczepiała w nią coraz głębiej. Czuł i lęk i żal, a jednak jakby umyślnie chciał się zgubić, pracując już w końcu nie siłą, którą wyczerpał i której nadużył do ostatniego, ale tylko wolą, energią i gorączką Ból i załamywanie się w mózgu przeszło potem we wra-

żenie próżni pod czaszką; w trakcie roboty począł zapominać, co robi i nieraz chwilę stał bez ruchu z podniesionym do góry młotkiem i dłutem na marmurze, nim znowu oprzytomniał. Od czasu do czasu musiał się silić, aby sobie przypomnieć, co on właściwie robi i gdzie ma teraz kuć? Poczęły mu także chwilowo wylatywać z pamięci nazwiska miejscowości i osób, a każde najprostsze obliczenie sprawiało wielką trudność. Sen i możność jedzenia, jak zawsze u ludzi przepracowanych umysłowo, odeszły go zupełnie. Żył w jakiemś podnieceniu chorobliwem i jakby przez nie, odżywiając się zużywaniem samego siebie. Trawił się — — ale ani nie chciał, ani nie mógł przestać pracować, a w miarę, jak mu się zdawało, że już kończył, jawiły mu się nowe braki i nowe niedokładności. Ogarnęła go potem wskutek zdenerwowania dręcząca dzień i noc obawa śmierci, a równomiernie z nią łączyła się obawa, że umrze, nim skończy, i sam nie zdawał sobie z tego sprawy, czy więcej lęka się o życie, czy o to, że umrze, nie pozostawiając Anioła śmierci, tak, jak chce.

Wieczory spędzał teraz u Heimerthowej, która, jak i poprzednio, im więcej widziała go rozgorączkowanym i wyczerpanym, tem więcej okazywała mu zajęcia. Stosunek ich zresztą ograniczał się do tego, że Heimerthowa, której mąż ciągle bawił za granicą, w swoich wspaniałych salonach, pełnych przepysznych obrazów, marmurów, bronzów i egzoty-

cznych kwiatów, grywała mu Bethowena, Mozarta, Schumanna i Chopina, albo prowadziła z nim rozmowę kobiety inteligentnej, wykształconej, o pojęciach europejskich i wykwintnej, choć nieco czasem melodramatycznej.

Przyjmowała go w powłóczystych, miękkich, modelujących każde zgięcie domowych kostiumach, wytwornych i obliczonych na efekt, ale czy ta kobieta krępowała się sama, czy był w niej poprostu brak temperamentu: Rdzawicz nie mógł poznać. Siadała tak na kozetce, że powinno się było usiąść przy niej na perskiej poduszce, leżącej na ziemi, rozmawiała tak, że trzeba było zostać w fotelu; miewała spojrzenia, które zachęcały do wsunięcia głowy w opadający jej z nagiej ręki szeroki rękaw i pocałowania jej wyżej łokcia, ale sposób, w jaki trzymała głowę, nie upoważniał do tego. Że satysfakcyę sprawiało jej drażnienie go, to widział, ale czy sama się rozdrażniała, nie mógł poznać. Chwilami zdawało mu się, że tak; chwilami, że nie.

Heimerthowa była jeszcze piękną, a w obejściu miała wiele wdzięku; największym jednak urokiem w jej towarzystwie było to, że rozumiała i odczuwała ludzi, jak nikt. Było to tak subtelne wczuwanie się w cudzą naturę, jak tylko kobieta niezmiernie inteligentna wczuć się może.

Rdzawicz, który był z natury porywczy, a którego to, co przeszedł, i zmęczenie robotą zdenerwowało do ostatnich granic i za lada powodem do-

prowadzało do uniesienia z coraz mniejszą miarą, czuł, że wobec tej kobiety nigdyby się nie mógł zapomnieć, jak się zapomniał naprzykład wobec Eli podczas spaceru. Zaczął też coraz bardziej gustować w jej domu.

— Z pewnością — myślał z ironią – nie jest ani taka zacna, ani taka dobra, szlachetna, uczciwa i anielska, jak Lora Przerwicowa, albo panna Rosieńska, ale ma więcej w palcu, niż one obie w głowie i dość już mam tych ideałów i tego przyidealizowywania się do nich.

O kobietach wogóle wyrażała się Heimerthowa z łagodną pobłażliwością, delikatnie z góry, z poczuciem swojej niezawodnej wyższości umysłowej, co Rdzawiczowi, który, jak każdy człowiek słaby i w rozterce, łatwo ulegał wrażeniu jakiejkolwiek siły u kogoś drugiego: imponowało podobnie, jak bezwzględne poglądy na życie Jadwigi Strzeliskiej. Heimerthowa, dyskretnie i z cieniami, podkpiwała sobie jednakże z takich kobiet, jak pani Laura, albo Ela Rosieńska, pastwiąc się natomiast niemiłosiernie nad hrabinami Wyczewskiemi, księżnemi Zasławskiemi, paniami Posianowskiemi, Braunbergerowemi i tam dalej. Nabijała na drwiny, jak motyle na szpilki, wielkie panie z ich wszystkiemi śmiesznościami i najśmieszniejszą, że nie są śmieszne, ordynarne żony bogatych przemysłowców i ogony jednych i drugich w sferze szlacheckiej

i burżuazyjnej, a znała je wszystkie, bywając wszędzie, od najwyższej góry aż do średniego dołu.

— Do czegóż pani siebie zalicza? — zapytał jej raz Rdzawicz, który, przez rozdrażnienie usposobiony złośliwie, najbardziej lubił, kiedy się Heimerthowa „puszczała z siatką“, jak mówił.

— Ja? Do Europejek. Z urodzenia należałabym do półarystokracyi; co do mego męża, to i szlachectwo i tytuł dostał dopiero jego dziad, ale to już wsiąkło; ze stanowiska do przemysłowców; z usposobienia — — mogłabym może być czemś w rodzaju Aspazyi, tylko Aspazya podobno nie była ruda.

— I miała cokolwiek inny temperament — dodał Rdzawicz.

— Czy pan wie, jaki ja mam? — spytała z uśmiechem.

— Nie.

— Może mam czarny, może biały, może czerwony, może niebieski. Nie trzeba sądzić, jak się nie wie.

— A pani sama wie?

Heimerthowa nie odpowiedziała, tylko podniosła oczy na sufit, na którym była namalowana Galatea, kopia rafaelowskiej, i dopiero po chwili rzekła:

— Czy panu nie jest dobrze ze mną taką, jaką jestem? Jeżeli na świecie jest coś trochę dobrze, to już jest tak bardzo dobrze, że nie powinno się kusić licha.

Rdzawicz, poznawszy ją, przekonany był, że roztoczy przed nim dziesięć wachlarzów z aforyzmami, rysunkami, malowidłami i podpisami sławnych ludzi, roztworzy przed nim dziesięć podobnych albumów i sztambuchów, i mimochodem każe mu się domyślać, że dziesięciu malarzów francuzkich, dziesięciu kompozytorów włoskich, dziesięciu polskich wirtuozów i dziesięciu poetów i powieściopisarzów całego świata — na śpiewaków odrazu poznać było można, że jest w zadobrym guście — klęczało, leżało i wiło się u jej nóg.

Ale Heimerthowa nie pokazała mu ani razu trzewików, wytartych czołem Dagnan Bouvereta, obkurzonych włosami Paderewskiego i z odciskiem brody Mascagniego, ani też kosza od bielizny z papierowemi westchnieniami D' Annunzia i innych mniejszych i większych współczesnych D' Annunziów, jak również nie poprosiła go ani „o jedną literę“, ani „o jedną kreskę“, nie pozostawiła nawet „przypadkiem“ na stole ćwiartki listowego papieru. Jednego wieczora narysował prawie bez myśli na marmurowym stoliku ołówkiem od zegarka dziewczynę grecką, obejmującą ramionami posąg Apollina i nazajutrz znalazł to czemś tak utrwalone, że się zetrzeć nie dało, ale mowy wcale o tem nie było. Narysował teraz Wenus Kallipigos i następnego wieczora znalazł to także utrwalonem; zrobiło mu to przyjemność i zarysował cały stolik scenami i figurami z mitologii i położył litery swego

nazwiska i datę, podczas kiedy ona grała naprzód jakąś seraficką pieśń Mozarta, a potem suitę Griega z Peer Gynta.

Zobaczywszy cały stolik zarysowany, przyjrzała się uważnie i powiedziała, że ślicznie i że zrobił jej prawdziwą przyjemność, ale nie było wcale mowy o tem, że teraz będzie miała mebel „bez ceny“. Rozmawiali przez chwilę, w jaki sposób ona utrwala ołówek.

Heimerthowa, która znała wszystkie większe miasta w Europie, znała także prawie wszystkich wybitnych artystów; wspominała o tem z przyjemnością i nie taiła, że zdobywała ich nieraz w zupełnie waryacki sposób.

— Ja nie wiem, czego nie wolno ludziom sławnym i czego dla nich nie wolno? — mówiła. — Sławni ludzie, to jest mój kult.

Czy ją jednak co kiedy gdzie z kim bliższego łączyło, niepodobna było odgadnąć. O wszystkich, których znała, mówiła z równym spokojem, mniej lub więcej tylko entuzyazmując się do nich, jako do artystów. Rdzawicz uważał, że ją daleko więcej interesują sami twórcy, niż ich dzieła.

Podróżowała trochę z mężem, głównie zaś w towarzystwie swojej *dame de compagnie,* a czasem nawet zupełnie sama, ale albo była skryta, albo też nie miała co opowiedzieć.

— Pani jest jak sfinks — powiedział jej raz Rdzawicz.

— A pan jak gryf, któryby zaraz chciał wszystko w szpony porwać — odparła.

— Gryfy mają skrzydła i dzięki temu są coś warte.

— A sfinksy są nieruchome i dlatego można się o nie oprzeć.

— Ale przecie każdy sfinks ma jakąś tajemnicę.

— Może właśnie tę, że niema żadnej — powiedziała, śmiejąc się.

— Jakże poznać?

— Od czegóż jest sfinks? Przestałby być sobą.

Rdzawicz był prawie pewny, że Heimerthowa mimo sezonu nie wyjeżdża z Warszawy dlatego, że on tu jest; ona swoją bytność w mieście traktowała wprawdzie jako rzecz najnaturalniejszą, Rdzawicz jednak czuł przez skórę, że siedzi tu dla niego, a czuł to, mimo, iż nigdy nie było najlżejszej do tego aluzyi.

W jakie sześć dni po wyjeździe Rdzawicza z Zagórza powrócił był z Monachium Tężel. Pierwsze słowa, jakie wymówił, wszedłszy do pracowni, były: Jezus, Marya! Romek, jak ty wyglądasz!? drugie: Bój się Boga, Romek, co ty robisz!?... Stał, jak osłupiały.

Na jego gruprociosaną, prostą głowę było tego naraz za dużo. Zastał Rdzawicza z widoczną na twarzy trawiącą gorączką, ze spieczonemi ustami

i suchemi, świecącemi oczyma, przed arcydziełem, którego potworności się przeląkł.

— Zabijasz się! — rzekł zemocyonowany, patrząc na niego. — I ją zabijesz — dodał spoglądając na rzeźbę.

— Jakież ci to robi wrażenie? — spytał Rdzawicz, nie chcąc zwrócić uwagi na to, co Tężel mówił.

— Kolosalne i straszne. Ty tego nie możesz wystawić!

— Mam rozbić? — spytał z uśmiechem Rdzawicz, podnosząc młot do góry.

— Nie! — krzyknął Tężel, przyskakując ku niemu i chwytając go za rękę.

— Więc czegóż chcesz?

— Tylko demon mógł coś takiego zrobić!

Na słowo to w Rdzawiczu podniosła się krew.

— Tak jest! — ozwał się wzburzonym głosem — demon przez moje ręce to kuł, masz słuszność, to jest straszne, ale takim musi być Anioł śmierci.

— Pamiętasz Anioła życia? — rzekł smutno Tężel. — Wtenczas zdawało mi się, że jakiś jasny geniusz z ciebie bije na świat...

Rdzawicz skinął głową: Pamiętasz mój powrót z Wiednia? Inaczej witaliśmy się jak teraz. Pamiętasz list, któryś mi oddał?

— Ach! — jęknął prawie Tężel. — Po coś ty jechał do tego Klęża!?

— Po to, żeby być wielkim rzeźbiarzem. Wykułem sobie tam ogromny sarkofag na trumnę szczęścia całego mego życia. Ale ono nie będzie długie.

— Cóż ty gadasz? — krzyknął Tężel. — Zwaryowałeś, czy co?

— Mój drogi! — odparł Rdzawicz spokojnie — przecie ten Anioł śmierci, to jest przedewszystkiem moja śmierć. Demony, mój kochany, nie pracują za ludzi za darmo, one się muszą karmić, ssą ludzką krew, jedzą życie. Widzisz, że mnie pół niema.

Tężel rzucił się na krzesło, ścisnął uszy pięściami i począł jęczeć: Rany Boskie! Rany Boskie! Bodaj się zapadł, kto wymyślił kobiety! Żeby ten Klęż wszyscy dyabli wzięli! Przyjdzie zwaryować, albo co! Rany Boskie! Rany Boskie!

Rdzawicz tymczasem cyzelował prawe nozdrze Maryi, lubując się w duszy słowem „demon“, był bowiem za młody, aby mu zastosowanie do niego tego słowa, choćby nawet przez Tężla, nie pochlebiało i nie zrobiło przyjemności.

Nie mówił sobie tego, ale czuł, że ostatni raz dotknie dłutem Anioła śmierci w dzień ślubu Maryi. Potem?... Na to pytanie odpowiadał mu napis wyryty na postumencie posągu, pod którym położył swoje nazwisko: potem?... *Vogue la galère!...*

Jednej rzeczy nie mógł zrozumieć: oto dlaczego

Maryi nie może sądzić podług tej miary, jak sądzi innych; dlaczego do niej nie może zastosować zwykłej normy swego sądu: „Trudno, człowiek jest człowiekiem!“ Dlaczego od Maryi ma jakieś wymagania inne i większe, niż od innych, dlaczego chciałby ją móc mierzyć inną skalą, jak resztę kobiet? Dlaczego mimowoli, wbrew swej woli nawet, chce ją idealizować i chciałby idealizować wszystko, co jej dotyczy? Dlaczego u Maryi chęć użycia wydaje mu się czemś niegodnem, czemś złem i szpetnem? Dlaczego jedyne podług niego racyonalne hasło ludzkości: „użyć!“ — razi go w jej ustach? Dlaczego ona obala cały system jego filozofii życiowej, który mówi, że wobec nędz życia i grozy śmierci niemal wszystko jest usprawiedliwionem? Dlaczego poprostu chciałby, aby ona nie była człowiekiem, ale czemś wyższem, piękniejszem, szlachetniejszem? Czy ta chęć do idealizowania jej wzrosła mu w duszę od czasu, kiedy mu ją miłość bezwiednie idealizowała i kiedy w tej kobiecie, mimo świadomości, że widzi, widział bóstwo?

Wobec Maryi pod każdym niemal względem był w sprzeczności z sobą. Świat był dla niego po jednej stronie, ona po drugiej, a ta druga strona wyłamywała się z pod wszelkich praw, które mu jego system, czy bezsystem filozoficzny stworzył i ugruntował w stosunku do świata. Kwintesencya jego spekulacyi umysłowej, streszczona w słowie

„użycie“, rozbryzgiwała się w stosunku do Maryi, jak bańka szklanna o kamień.

Na stworzenie zaś sobie jakichś nowych praw względem Maryi nie miał ani dosyć sił, ani inteligencyi: gmach jego pojęć, czy bezpojęć, runął i przywalił go gruzami. Dusił się pod nimi.

Rezultatem zaś tego był coraz większy moralny rozkład jego wewnętrznej istoty. Czuł to, że teraz rzeczywiście nie potrzebuje chcieć, aby nie było, ale samo przez się niema dla niego „nic świętego“. Nie widział żadnych węzłów, które by go mogły, lub powinny były krępować. Nie usiłował jej mieć, ale miał dla ogólnej etyki obojętność żelaza, które leży w wodzie, jakkolwiek zdawał sobie z tego sprawę, że w walce z uświęconą i ugruntowaną przez tradycyę etyką powszechną musi w końcu uledz, podobnie jak żelazo musi wreszcie uledz ustawicznemu destrukcyjnemu działaniu chemicznemu.

Z Heimerthową nie mówił nigdy ani o Maryi, ani o Aniele śmierci. Wiedział, że ona zna Maryę trochę z towarzystw i że zna jego przeszłość. Kwestya ta jednak nie była nigdy poruszaną między nimi. Pewnego jednak dnia, przed południem, kiedy w obecności Tężla, w swojej ciemno-granatowej bluzie zajęty był wykończeniem rzeźby, Heimerthowa, zapukawszy lekko, uchyliła drzwi od pracowni i nie wsuwając głowy, zawołała:

— Dzień dobry panu! Jeżeli mię pan nie pu-

szcza, to nie wejdę, ale jestem strasznie ciekawa. Nic ztąd nie widzę!

Rdzawicz rozśmiał się i zapinając pod brodę bluzę, poszedł ku drzwiom i roztwarł je szeroko, z głębokim, przyjaznym ukłonem.

Heimerthowa skinęła uprzejmie głową Tężlowi, którego Rdzawicz przedstawił, i podeszła ku grupie. Wrażenie musiało spaść na nią nagle i nadmierne, gdyż prawie zbladła.

— Co to jest?! — rzekła, jakby do siebie.

— Anioł śmierci — odpowiedział Rdzawicz.

— Ach, nie idzie mi o tytuł! Mam wrażenie, jakby szatan począł to i wykonał w gniewie.

— Wie pan – rzekła po długiem, milczącem wpatrywaniu się w statuę. — To jest arcydzieło, ale czy to nie jest wendetta?

Była widocznie pod tak silnem wrażeniem, że mówiła bezpośrednie swoje myśli, a to oddziałało na Rdzawicza; odrzekł więc żywo:

— Zatem rozbić?

Heimerthowa krzyknęła:

— Rozbić?! To rozbić?! Popełniłbyś pan świętokradztwo! Czemże ona jest wobec tego marmuru?! Czy pan nie rozumie, nie czuje tego, czy panu tego nikt nie powiedział, że p a n u w s z y s t k o wolno, że dla talentów twórczych niema: n i e?! Nikt panu tego nigdy nie mówił? Ja sama w pierwszej chwili odezwałam się jak parafianka z małego miasteczka. Gdyby to nawet była wendetta, to co n a s to ob-

chodzi?! Niechże pan to uczuje i pamięta, że panu wszystko wolno i że dla artystów niema paragrafów kodeksu: „można, albo nie można“, „godzi się, czy nie godzi“. Talentom wolno jest wszystko. Pamięta pan, co mówił Goethe: *je prends mon bien, où je le trouve*. Otóż gdzie pan znalazł swoje dobro, tam je pan wziął i koniec. Czy nie mam racyi? Wszak zgadza się pan ze mną? — zwróciła się do Tężla.

Tężla onieśmielały suknie pani Laury i kolczyki brylantowe pani Biszy; teraz zaś wobec tej damy, szeleszczącej za każdym ruchem jedwabiami, z szmaragdem, jak pięść pod brodą, brylantami w uszach trzy razy takimi, jak u pani Biszy, i na ręce z wężem z emaliowanego złota, który w paszczęce miał każdy ząbek z dyamentu i trzymał między niemi rubin, jak druga pięść; stracił zupełnie podłogę pod podeszwami i na pytanie Heimerthowej odpowiedział, jak mógł najprędzej:

— Naturalnie, proszę pani.

Kiedy jednak Rdzawicz zrzuciwszy bluzę, wyszedł za Heimerthową, która czekała go na dole w faetonie, aby się trochę z nią „przewietrzyć“, Tężel począł myśleć inaczej.

Wszystko to, co się działo w ostatnich czasach, spadało na niego, jak grom po gromie. Były godziny, kiedy w obawie o talent Rdzawicza, lub nawet o jego życie, klął chwilę poznania się jego z Maryą i cały świat wzdłuż i wszerz. Nigdy je-

dnak nie klął samej Maryi. Pamiętał spojrzenie, jakie mu rzuciła z loży i kwiat, który posłała „przyjacielowi swego narzeczonego“, a który spalił i w wodę wrzucił. Mimo wszystko, co się przez nią stało, Tężel żywił dla tej panny Tyżwieckiej jakąś cześć, bezwzględną, niedotykalną, podobną do czci, jaką dziki człowiek oddaje bóstwu, które naprzykład zeszle mór, ale nie przestaje być mimo to świętem i bóstwem. Ile razy o niej myślał, doznawał tego uczucia, jakie może mieć subjekt z korzennego sklepu na dole, wobec księżniczki na pierwszem piętrze. Rdzawicz był jak rycerz, dla którego niema zbyt wysokich progów ani urody, ani bogactwa, ani nazwiska — — ale on, Tężel, taki Tężel... Geniusz — Tężel był przekonany o geniuszu Rdzawicza — otwiera wszystkie bramy. Dla Rdzawicza Marya nie była za piękną.

On trzymał się na boku, nie znał tej panny, nie wiedział o niej nic prawie, odkąd z nim Rdzawicz przestał o niej mówić, nie widywał jej, to wrażenie jednak czci, które w nim obudziła, kiedy ją pierwszy raz zobaczył, pozostało w nim i nie osłabło ani przez czas, ani przez okoliczności. Ludzie miewają swoje fetysze: jego fetyszem była panna Tyżwiecka.

Nic go z nią nie łączyło, pewny był, że ona nawet nie pamiętała o jego istnieniu, a jednak czuł to, że nosi jej rękawiczkę u kapelusza i że w danej chwili, wezwany, czy nie wezwany, z jej wie-

dzą, czy bez jej wiedzy, bez myśli o jakiejkolwiek nagrodzie, tylko dla swego feteszyzmu, byłby gotów do jej obrony. Żeby jej jednak miał kiedykolwiek bronić przeciw Rdzawiczowi, to mu nigdy przez myśl nie przeszło.

Tymczasem, oto teraz, nadszedł taki ciężki termin.

Był sam w pracowni wobec Anioła śmierci. Patrzał na niego i im więcej patrzał, tem więcej widział potworność i poprostu niemożliwość istnienia tej rzeczy. Zrobić heterę i dać jej głowę Maryi — — nie, to było coś takiego, co przechodziło miarę mózgu ludzkiego, miarę możliwości w ludzkiej myśli. Rdzawicz chyba sam nie czuł, nie pojmował, co robił i nie wie, nie rozumie, co zrobił. Tężlowi zaczęły się włosy prawie piętrzyć na głowie. Przecież wystawienie tego na widok publiczny byłoby czemś tak strasznem, że nawet wyobrazić sobie nie można, co się stać może?! Rdzawicz był opętany, kiedy to komponował. Jakakolwiekby to była żywa kobieta – — ale Marya, ta Marya, ta Marya, którą ten człowiek tak kochał, tak ubóstwiał, dla której nie było dla niego dość słodkiego imienia, dość pięknego słowa, którą się tak cieszył, tak upajał, którą tak żył cały... Ta Marya, ta sama?!...

Rdzawicz jest w jakimś szale; w jakimś obłędzie. Jeżeli, broń Boże, da to ludziom zobaczyć, a ochłonie potem i zrozumie, co zrobił — Chryste Nazareński, co się z nim stanie?! Życie sobie ode-

brać gotów... Bo to jednak jest rzucenie pod nogi ludzkie kobiety, którą się kochało, którą się czciło, dla którejby się ostatnią kroplę krwi oddało było kiedyś z rozkoszą, a takich rzeczy, takich rzeczy mimo stu zerwań się nie zapomina... one wzrastają w serce...

A taka baronowa Heimerth mówi mu, że mu wszystko wolno i że Marya jest niczem wobec tego marmuru... Bodaj z piekła nie wyszła, przemierzłe rude babsko!

Arcydzieło jest, prawda, alež takich arcydzieł Rdzawicz jeszcze może zrobić dziesięć, piętnaście, dwadzieścia. Przy płodności jego imaginacyi, energii w robocie i zupełnie zagadkowej szybkości w wykonywaniu, ileż ma jeszcze czasu, nie mając lat trzydziestu! Byle tylko był zdrów, całą salę arcydzieł może zostawić po sobie. A to... to nie może istnieć...

Sam Rdzawicz tego nie zniszczy, jest nieprzytomny, ale zniszczy to on, Tężel. Uratuje ją i jego. Ona, po wystawieniu tej rzeźby otrułaby się chyba, a Rdzawicz by sobie kulę w serce wpakował. Jeżeli Rdzawicz, zobaczywszy swoje dzieło zniszczone, zechce mu młotem głowę rozbić, nie zasłoni się; ale jeżeli oprzytomnieje, powinien mu się na szyję rzucić z podzięką.

W imię Boże!

Tężel podniósł z ziemi młot ciężki, kamieniarski, którym obtłukał marmur, przeżegnał się i wzniósł go w górę. Wyraz, którego użyła Heimerthowa:

„świętokradztwo“ — przybiegł mu przed oczy czerwony i ciemny. Podobnego uczucia musiał doznawać świeżo ochrzczony Rzymianin, któremu kazano druzgotać cudowne, marmurowe bogi, w które na pół jeszcze wierzył, których czci jeszcze się nie mógł oduczyć i których piękno miłował i wielbił.

A jednak trzeba było zdruzgotać to arcydzieło, ten potworny cud, ten monstrualny pomysł w genialnej plastyce. Istnienie jego mogło spowodować katastrofy, dla których Tężel nie wahałby się był rozbić partenońskiego fryzu, melijskiej Afrodyty i Zeusa z Otrikoli. Niech potem z nim Rdzawicz zrobi co zechce.

— W imię Boże! — powtórzył i zamachnął się.

Ale ręka mu zadrżała, cofnęła się i opadła w dół; podnosząc ją, podniósł głowę — i oczy jego padły na twarz Maryi, na portret jej wiszący po za nią na ścianie, o wielkich, podłużnych, ciemnoszafirowych źrenicach o złocistym blasku, patrzących nań z portretu. Ręka zadrżała mu i opadła w dół.

Wyjął z kieszeni od spodni chustkę w różowe kraty z niebieskim szlakiem, obtarł czoło z potu, postawił młot w kącie, zamknął pracownię, wyszedł na ulicę i w najbliższej restauracyi kazał sobie dać jedną po drugiej trzy flaszki Drozdowskiego piwa, a potem jeszcze jedną Haberbuscha.

Tego wieczoru, Rdzawicz odebrał przez posłańca następującą kartkę od Tężla:

„Chciałem Ci dzisiaj podczas Twojej nieobecności rozbić Anioła śmierci; czy mimo to nie chcesz zerwać ze mną stosunków?

Jędrzej Tężel“.

Przeczytawszy, zmełł w ustach słowo „bydlę!“ i odpisał Tężlowi: „Nie bazgrz głupstw i przychodź zaraz“.

Posłaniec wyszedł, Rdzawicz zaś począł chodzić nerwowo po pracowni. Pierś mu się wzdymała z gniewu za każdym razem, ilekroć pomyślał o tem, co Tężel napisał. Irytowała go jednak nietylko kartka Tężla: jadąc z Heimerthową faetonem przez ulicę Erywańską, spotkał był panią Laurę, która szła z obu pannami Rosieńskiemi. Ela była ciemno ubrana i robiła wrażenie bardzo smutne; pani Laura i Rózia także wydały mu się zasępione. Byłyby go może nie spostrzegły, ale Heimerthowa wychyliła się z faetonu i krzyknęła do pani Laury: „Dzień dobry!“ Wszystkie trzy zwróciły się, a Ela zbladła tak, że twarz jej stała się prawie gipsowej barwy. Pani Laura, oddając im ukłon, spojrzała nań ze zdziwieniem i jak mu się przynajmniej zdawało, z zapytaniem w oczach i jakby wyrzutem; Ela skinęła głową, odwracając szybko oczy, a coś tak bolesnego w niej uczuł, że mu kurcz gardło chwycił na moment.

Rozumiał spojrzenie pani Laury, a zarazem wyobrażał sobie, co muszą obie z Elą myśleć: oto, że wobec tego, jak postąpił z Elą, kochał pannę Ty-

świecką, ale miłość ta nie przeszkadza mu jeździć *tête à tête* z panią Heimerth, której mąż zapewne, jak zawsze, jest tymczasem w Hamburgu lub Berlinie. Jaki jest stosunek między nim a Heimerthową, tego naturalnie wystawić sobie nie mogą tak, jak jest naprawdę, i wystawią go sobie tak, jakby się każdemu musiał najprościej i najzwyklej wydać.

Spojrzenie pani Laury i widok Eli były mu ogromnie przykre, ale przedewszystkiem irytowało go, co one myślą o jego stosunku do Heimerthowej. W pierwszej chwili chciał ją przeprosić, wysiąść, dopędzić Przerwicową i Elę i wytłómaczyć im, że sądzą fałszywie; w każdym razie postanowił iść do Przerwicowej i przynajmniej jej to powiedzieć. Pani Laura miała przymiot, który mają ludzie prawi i czyści: że się mimo wszystko i mimo największego lekceważenia opiii ogólnej, jednak dba o ich opinię. Czasem taki jeden człowiek może zatrzymać nad samą przepaścią tylko tem, że się go zna.

Heimerthowa zauważyła nagłą zmianę w usposobieniu Rdzawicza i zapytała, czy może miał ochotę przywitać się z tamtemi paniami?

Odpowiedział, że nie, ale że ma takie wrażenie, jak żeby był kominiarzem i jak żeby mu kazano wziąść w rękę świeżo uprasowany mankiet.

— Nie rozumiem? — rzekła Heimerthowa. — Dlaczego pan ma być kominiarzem i co ma być tym mankietem?

— Widzi pani — odparł Rdzawicz — zrobiłem coś, przez co w stosunku do Lory Przerwicowej jestem jak kominiarz do świeżo uprasowanego mankietu.

— Do niej? — zdziwiła się Heimerthowa. — Co też pan mógł jej zrobić? Takie dobre stworzenie.

— Właściwie jej osobiście nic, ale blizko niej. Niech pani jednak pozwoli, że tym razem ja będę sfinksem.

— Który gdzieś zapuścił swoje gryfie pazurki. Ale jak pan chce.

W jakie dwadzieścia minut po odejściu posłańca, Tężel, który niedaleko mieszkał, zjawił się w pracowni. Wszedł nieśmiało i niezręcznie i wydał się Rdzawiczowi ordynarny i trochę śmieszny. Popatrzył na niego tak, jakby go pierwszy raz w życiu widział i uraziło go w nim wszystko: jego grubo ciosana głowa o pospolitych, trywialnych rysach na zwalistych, za szerokich ramionach; ciężkość, klocowatość jego całej budowy i wyraz jego twarzy, która mogła być pięć razy prędzej twarzą sadownika, lub rybaka, niż twarzą artysty i jego przyjaciela. Owiało go zimno względem Tężla.

— Jak się masz? — odezwał się mimowoli trochę z góry i protekcyonalnie.

— Dziękuję ci i przepraszam cię — zaczął Tężel, ale przerwał mu:

— Niema za co. Nie rozbiłeś, więc wszystko skończone.

Widząc jednak przed sobą ciągle nieśmiałą i zaambarasowaną figurę Tężla, doznał ochoty dokuczenia mu, która podobną musiała być do tej, jakiej doznają dogi, uganiające się ze złośliwym i lekceważącym wyrazem oczu i zjeżonym lekko grzbietem, za skomlącym ze strachu kundlem wiejskim. Stanął naprzeciw Tężla i spoglądając mu w oczy, spytał:

— Powiedzże mi jednak, dlaczegoś ty chciał rozbić Anioła śmierci? Sameś go przecie obciosywał z Czempińskim i Łanowskim?

— Nie wiedziałem, że dasz tej kobiecie twarz panny Tyżwieckiej — — odparł Tężel.

— O to ci tylko idzie?

— Przecie wiesz, bom ci mówił pierwej.

— A cóż *tobie* to szkodzi?

Rdzawicz sam się cokolwiek zmieszał: pierwszy raz w życiu dał Tężlowi uczuć wszystkie różnice, jakie między nimi były, zamknąwszy ich wyraz w akcencie tego słowa „tobie“. Tężel zrozumiał i spuściwszy oczy, czerwony jak piwonia i zmieszany zupełnie, wybąknął:

— Mnie nic, ale tobie i jej...

Gdyby Tężel był na ubliżający ton odpowiedział tak, jak Rdzawicz czuł, że zasługuje, aby mu odpowiedziano, byłoby się prawdopodobnie na tem skończyło, na czem się często kończy u doga, który

napada kundla, kiedy ten się nagle odwróci i pokaże zęby: to jest, że dog stanie, warknie, zatrzyma się i odejdzie, a w pięć minut później mogą już obaj wyskakiwać wspólnie i ujadać pod drzewem, na którem siedzi kot; ale zmieszanie się Tężla podrażniło go jeszcze i rzekł, niby ukrywając lekką ironię:

— A powiedzże mi, dlaczegóżeś nie rozbił?

Tężel zaczerwienił się jeszcze więcej i milczał.

— No, powiedzże, dlaczegóżeś nie rozbił? — nalegał Rdzawicz.

— Nie wiem — bąknął wreszcie Tężel.

— No, to niewiele, jak na powód od wstrzymania się od takiego herostratyzmu. Zapal sobie papierosa tymczasem. Na przyszłość będę cię mógł zapewne spokojnie zostawiać w atelier?

Tężel wziął machinalnie papierosa z etui, które mu Rdzawicz podawał i rzekł prawie błagalnie:

— Mój drogi, czy ty nie widzisz, nie czujesz tego, że ty pannę Tyżwiecką tą rzeźbą poprostu pod pręgierz stawiasz? Powiedz, masz do tego prawo? Bo jeżeli masz...

Rdzawicz zmarszczył się niecierpliwie. Na spacerze Heimerthowa wiele jeszcze mówiła o swobodzie w wyborze tematu, o wyjątkowem stanowisku artystów, o prawie ich imaginacyi, o pierwszeństwie sztuki u artysty przedewszystkiem. Artysta, który się zastanawia nad tem, co jest moralne, a co nie, co dobre, a co złe, co pożyteczne, a co szko-

dliwe — mówiła — przestaje być artystą. Tu jest różnica między wami a nami, że my musimy być przedewszystkiem ludźmi, a wy przedewszystkiem sobą. W sztuce jedynym sądem jest: podoba się, albo się nie podoba — i dla was jedynem prawem powinno być: podoba się, albo się nie podoba. Róbcie co chcecie, jak chcecie, byle było piękne, byle było wielkie, byle było sztuką, tą wielką, prawdziwą, świętą sztuką, swoją

„Nagością bezczelną.
Niezawstydzoną niczem, nieśmiertelną!“

Rdzawicz słuchał i pozwalał się upajać słowom Heimerthowej. To, co mówiła, było to usprawiedliwianie go przed nim samym, tłomaczenie przed światem, uspokojenie; Tężel rozgniewał go. Spojrzał na niego wyzywająco i odrzekł akcentując dobitnie:

— Ale jeżeli mi się tak podoba?

Tężel osłupiał:

— Jeżeli mi się tak podoba? — powtórzył Rdzawicz.

Tężel stał ciągle osłupiały, jakby nie zrozumiał, lub nie chciał uwierzyć, że słyszy to, co słyszy.

— Coś ty powiedział? — spytał jakby odruchowo.

— Coś słyszał.

Wówczas ciężka, powolna, chłopska krew Tężla wzburzyła się wreszcie; nie mógł wytrzymać i rzekł dosyć dobitnie:

— Tobyś zrobił rzecz, której nazwać nie chcę.

Rdzawicz zaczerwienił się i kąty ust poczęły mu się ściągać na wewnątrz ku dołowi. Tężel zaś mówił:

— Ja znam całą różnicę, jaka jest pomiędzy nami; wiem, coś ty wart, a co ja jestem wart przy tobie. Ja jestem pion i przy tobie nic nie znaczę; ale musiałem ci to powiedzieć, com powiedział właśnie dlatego, że ci jestem przyjacielem i jako przyjaciel mam do tego prawo.

Rdzawicz czuł, że go coś opętywa; zbliżył się ku Tężlowi i spytał go zblizka:

— Dlaczegóżeś nie rozbił? Byłeś sam, mogłeś. Nie potrzebowałeś się mnie bać, cóżbym ja ci zrobił?

— Nie ciebiem się bał, tylko jej, tam na portrecie...

Rdzawicz rozśmiał się:

— Otóż wiesz Tężel, dlaczegoś nie rozbił? Dlatego, że to jest za dobrze na to zrobione. Jest to nowy dowód, że raz przecie w życiu zrobiłem coś, co jest naprawdę coś warte. Z wszystkich moich innych rzeczy razem z dyplomem honorowym może sobie pies kazać buty uszyć. Ale, mój kochany, niedarmo sztuka wymaga swoich ofiar; z wielkiego bólu rodzą się dzieła najlepsze. Winniśmy, czy niewinni, to inna rzecz; ona mnie kopnęła i ja tam leżę, a ona tu stoi taka, jak jest, jak owa Wenus z Arles „w piękności majestacie“. Z mojej śmierci

moralnej, z jej ogromnej przykrości, jak to zobaczy, urodził się ten Anioł śmierci, który, przyznajesz, jest coś wart, kiedyś się na niego porwać nie śmiał.

— Więc wystawisz to?

— Chcesz, ażebym mój najlepszy marmur chował?

— A jeżeli ją tem zabijesz?

— A ona się pytała, czy ja żyć będę?! Odwróciła się, jak od muru — i odeszła.

— Ale jeżeli ją zabijesz?

— Nie bój się — rozśmiał się gorzko Rdzawicz. — Ona od tego nie umrze. Jeszcze będzie kontenta. Nowa reklama.

Tężel ujął go za rękę i począł mówić:

— Romek, słuchaj, ty jesteś nieprzytomny, jesteś chory, nie wiesz, co mówisz. Ja wiem, że ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, co teraz mówisz do mnie — —

Ale Rdzawicz wyrwał mu rękę i odrzekł z irytacyą:

— W dzień ślubu Maryi wystawić to każę, a gdyby mi ze względu na podobieństwo i możliwy skandal, przyjąć na żadnej wystawie nie chcieli, urządzę osobny pawilon w mieście. Wiem, coś pomyślał, kiedyś mi nie chciał powiedzieć, co myślisz: że zemsta jest rzeczą niegodną, lub może gorzej jeszcze; ale to jest silniejsze odemnie. Ja muszę ją jej pokazać taką, jaką jest. Może to jest pierw-

szym krokiem do mego szaleństwa — może już jestem szalony, ale muszę! Ona zobaczy siebie.

— Kochałeś ją kiedyś — rzekł smutno Tężel.

— Gdybym nie kochał, nie zrobiłbym tak, jak zrobiłem. Raz się tylko w życiu tak kuje: patrz. Już teraz mógłbym nic więcej nie kuć. A czy ty nie rozumiesz przytem, że jest pewna satysfakcya w pastwieniu się nad tymi, których się kocha i nie przestając ich kochać? Wiesz przecie, że miłość i mord gdzieś się tam blizko schodzą w mózgu. Czegóż tak na mnie patrzysz?

Rdzawicz zauważył, że Tężel spogląda nań jakby z niepokojem i jakiemś przerażeniem:

— Widzisz we mnie co nadzwyczajnego, czy co? — powtórzył.

Tężel patrzał nań jeszcze chwilę i powiedział:

— Nie, ty jesteś zdenerwowany, rozgorączkowany, ale nie chory. Zastanów się: jakże można chcieć tak postąpić z kobietą, którą się kochało? Sam sobie potem tego nigdy nie będziesz mógł darować. Jedna chwila jakiejś dziwnej, spaczonej satysfakcyi, a całe życie możesz pokutować. Przecie pomyśl: to ona, to panna Marya...

Rdzawiczowi napłynęły nagle łzy do oczu: tak zawsze Maryę nazywał niegdyś Tężel, dawno, kiedy on mówił o niej „Rysia“, albo „moja narzeczona“; ale równocześnie przypomniała mu się na raucie, w otoczeniu Kołolaskiego i Borzewskiego, kokietująca młodego blondyna, a dla niego bez

jednego spojrzenia, już nie współczucia, przyjaźni jakiejś, ale ot wprost bez jednego spojrzenia dla niego, a przecież on ją tak kochał i tyle cierpiał i ona wiedziała o tem... Tak odejść, tak kopnąć, tak nawet nie obejrzeć się i iść dalej! dalej, jak głaz...

— Żebyś przynajmniej podobieństwo zatarł — prosił dalej Tężel. — Możesz jeszcze, sam widzisz, że jeszcze możesz. Zatrzesz?

— Nie — odpowiedział Rdzawicz.

Tężel wstał z krzesła, na którem był usiadł, zbliżył się do Rdzawicza i począł mówić:

— Na twoją dawną miłość do niej, na naszą przyjaźń, na tyle lat doli i niedoli wspólnej, proszę cię, zmień choć podobieństwo, widzisz, że jeszcze można. Nie zepsujesz rzeczy, głowa w typie zostanie ta sama, tylko te cechy charakteryzujące pannę Maryę usuń. A choćbyś nawet trochę zepsuł, cóż to jest wobec tego, co się stać może? Zrobisz to Romku?

Ale Rdzawiczowi ciągle stała przed oczyma Marya kokietująca młodego blondyna, z Kołolaskim i Borzewskim za sobą, dla niego bez jednego spojrzenia, bez jednej sekundy, jednego odruchu współczucia; Marya wychodząca za Kołolaskiego, aby mieć romans z Borzewskim — i poruszył głową przecząco.

Wówczas Tężel wziął kapelusz ze stołu i rzekł cicho, ale wyraźnie:

— Komu innemu powiedziałbym, czego tobie powiedzieć nie chcę. Zastanów się, czy miałbym racyę. Zanadtom się przywiązał do ciebie, abym się mógł i chciał tego przywiązania wyzbyć, ale my dłużej nie możemy być razem ze sobą. Zawszeby pomiędzy nami stał ten Anioł śmierci i twoje — — zapomnienie się.

Z kapeluszem w ręku Tężel stał jeszcze chwilę i patrzał w oczy Rdzawiczowi, widocznie z nadzieją, że się opamięta, a także z wielkim smutkiem i żalem — — ale Rdzawicz miał w oczach Maryę nachyloną ku obcemu, może pierwszy raz w życiu spotkanemu człowiekowi, a dla niego obojętną, jakby nie był nawet cieniem ludzi... Tężel czekał, a potem odwrócił się i zwiesiwszy głowę, postąpił ciężko ku drzwiom. Wziął za klamkę i jeszcze chwilę stał — — było mu widocznie trudno wyjść; wreszcie bąknął:

— Bądź zdrów Romku — i wyszedł.

Po wyjściu Tężla Rdzawiczowi zrobiło się dziwnie: miał uczucie, jakby z Tężlem wyszła z jego pracowni część jego samego. A to wyszła tylko żywa, wcielona pamięć ogromnej części jego życia.

Stał jakby oszołomiony tem, co się stało. Przez jego życie wiło się pasmo ludzi, przychodzili, trwali dłużej lub krócej i szli dalej, spotykani jeszcze czasem, albo też niespotykani już nigdy, on zaś, Tężel, witał ich wszystkich, trwał razem z nimi i przetrwał ich. On ani nie przychodził, ani nie odcho-

dził, był ciągle i na myśl poprostu Rdzawiczowi nie przychodziło, żeby go mogło kiedy nie być. Był tak, jak zegarek, który się ani nie drze, ani nie wyciera, ani nie plami; był rodzajem własności i nieruchomości, o której się nawet nigdy nie myśli, tak jest niezawodna i jednostajnie trwała.

A potem tyle przeżyli z sobą... Blizko dziesięć lat. Jakim on był jeszcze młodym chłopcem, kiedy pierwszy raz spotkał się z Tężlem przed jego kopią Junony... On sam miał dopiero mech na twarzy, Tężlowi zaledwie się puszczały szczeciniaste, płowe wąsy pod nosem. Jaki wtedy świat był jakiś inny, jakby mniej mętny i mglisty... To była pierwsza młodość, która już nie wróci nigdy...

Iluż ludzi przez te dziesięć lat pomarło, krewnych, znajomych... Jak inaczej układa się myśl w miarę ubywania ludzi, z którymi nas życie styka. Każdy wywiera na nas jakiś swój wpływ, wywołuje w nas oddźwięk swojej myśli. Czasem, po długich latach, przypomina się sobie, że jakiejś myśli nie miało się już dawno, że ona przestała żyć w mózgu ze śmiercią tego, który ją nasuwał. Robi się za nią tęskno, bo to przypomnienie budzi cały świat innych pamiątek, a po rzeczach, które przeszły, pozostaje zawsze smutna tęsknota; może dlatego, że wtenczas było się dalszym śmierci.

Tężel wyszedł, nie wyciągając ręki na pożegnanie... Co on myślał i nie chciał powiedzieć, łatwo

zgadnąć: myślał, że wystawienie Anioła śmierci jest rzeczą podłą...

Krew zakipiała w Rdzawiczu: Tężel, Tężel, ta wcielona, gruba, prosta, bezwzględna prawość!...

Rdzawicz niewiele sobie robił z talentu Tężla, ani z jego inteligencyi, ale opinii jego w kwestyach uczciwości tak ufał, jak opinii Laury Przerwicowej: jeżeli Tężel powiedział, że coś jest „świństwo“, to z pewnością ktoś popełnił jakąś nikczemność. I Tężel wyszedł teraz, nie podając mu ręki?!...

Robi więc rzeczywiście rzecz podłą?

Anioł śmierci nie jest-że pręgierzem dla Maryi?

I za co? Za to, że nie kocha, za nic więcej i za nic innego. Jedyną jej krzywdą, jedyną jej zbrodnią względem niego jest tylko i tylko to, że go nie kocha. Cokolwiek innego ona robi, jakakolwiek jest względem ludzi: on niema prawa jej sądzić.

Tak jest: niema prawa!

Z chwilą, kiedy Marya zwróciła mu słowo, wyszła z pod jego praw.

Tak jest: zemścił się. I za co? Za to, że Marya kokietowała na raucie? Za to postawił ją pod pręgierz opinii publicznej?... Nie — tylko za to, że przestała go kochać. A kto się za taką rzecz mści na kobiecie, popełnia podłość. Jeżeli więc Tężel nawet nie ze wzruszenia, nie z pomieszania, nie z zapomnienia wskutek okoliczności, których się nigdy w życiu obaj nie spodziewali, poprostu nie

przypadkiem nie podał mu ręki, ale umyślnie, z wiedzą i rozpoznaniem, co robi, to miał słuszność, miał słuszność!...

Jakże rycerskie instynkta ma w sobie ten grubociosany małego talentu, małej cywilizacyi i małej inteligencyi człowiek!... Jak niema pod tym względem między nimi żadnego porównania!... O ileż więcej wart jest Tężel, tak jak jest, bez dyplomu honorowego, bez ogłoszenia *hors concours* na Niemcy, bez kupy pochwalnych krytyk, roznimfiania się Heimerthowej, adoracyi Łanowskiego... bez aureoli... O ileż więcej jest wart!... I to tylko dlatego, że jest uczciwszy.

Tężel nie nie podał mu ręki dlatego, żeby był tego nie chciał uczynić: nie tak wychodzi człowiek, który gardzi. Obydwaj byli tak zaskoczeni tem, co się stało, że nie zdawali sobie zupełnie sprawy z tego, co robią, ale gdyby był nie chciał mu ręki podać, miał do tego prawo!

A jednak — — czyż on się mści?! „Rozkoszą bogów“ zwią zemstę — — czyż on się mści? Czyż nie cierpi do szaleństwa? Aby się mścić, trzeba nienawidzić — — czyż nienawidzi? Czyż nie padłby Maryi do nóg i ust jej na stopy nie kładł i nie powtarzał jej aż do omdlenia „kocham cię, kocham cię“?... Jestże to zemsta?...

W przeklętej chwili uniesienia, w szaleństwie bólu, kiedy wszystkie potworne pierwiastki natury ludzkiej zagrały w nim: począł tego Anioła śmierci.

Wówczas chciał się mścić, wówczas nienawidził, wówczas opętała go wściekłość deptanego swego „ja“, i chęć oporu, odwetu, dzika, straszna, nieubłagana. Potem?... Tężel tego nie zrozumie, nie pojmie. On nie rozumie tej potęgi nadtwórczej, która pobudzona, powołana do życia złem, czy dobrem, zmusza tworzyć, jak księżyc zmusza morze biec i odbiegać od brzegu.

Jest jednak wola...

Ale na zdruzgotanie Anioła śmierci, na zmienienie choćby jednego rysu, Rdzawicz nie miał siły w sobie; owszem, czuł, że będzie jeszcze cyzelował tę twarz i wydobywał z niej podobieństwo do ostatnich granic. To było silniejsze od niego. Gdyby mu śmierć groziła — i tak rzeźbiłby dalej.

Cokolwiek zaś bądź, Anioł śmierci mieć będzie piętno zemsty... A zdruzgotać go może tylko śmierć... Gdyby umrzeć... Przed śmiercią, w jej chwili, zdruzgotałby ten marmur. Pierwej nie może, nie może! To jest silniejsze od niego. Ten marmur, ten biały kamień wchłonął go w siebie. On musi kuć, musi ciesać, musi odczuwać i rzeźbić, musi stworzyć! To jest silniejsze od niego. Morze biegnie i odbiega od brzegu, bo musi.

Ono niema woli!

Jest morzem...

Są wole wyższe niż ludzka wola...

W wyobraźni egoizmu...

Nie! są wole wyższe!

W wyobraźni egoizmu...

A wokoło są cztery puste, gołe ściany i wysoko, w półcieniu, biały posąg — ogromny, smutny, ah! do śmierci smutny!...

I to jest życie, życie człowieka, o którego matce, gdyby żyła, mówionoby, że powinna być dumną i że się powinna nazywać szczęśliwą matką...

Wybiegł na ulicę.

Smutek jego osobisty rozszerzył się na jakiś ogólny żal nad światem: czując własne nieszczęście silniej niż kiedykolwiek, silniej począł odczuwać cudze. Żal mu było nad wyraz zbiedzonych koni dorożkarskich i chudych psów i litował się nad całą olbrzymią nędzą bytu. W każdym z tych domów mogła być jakaś ciężka choroba, jakieś wielkie zmartwienie, kalectwo, klęska... Nikt nie wie, ile rozdzierających, fizycznych i moralnych tragedyj ma ciągle wkoło siebie, ile cierpień i bólu, ile jęków i łez...

Wśród tej olbrzymiej walki ze złem, wśród tej hecy, gdzie ludzie na złamanie karku uciekają przed nieszczęściem, chyższem, zwinniejszem, niż oni, i niestrudzonem: kupią się oni z sobą, łączą w pary lub gromady, aby przed tem złem łatwiej się bronić, lub śmielej mu w oczy patrzeć, bo niema większego sprzymierzeńca dla lęku nad samotność.

Heca trwa i trwa, nieszczęście uwija się pośród ludzi, jak ćwiczony angielski *fox terrier* między szczurami, chwytający je za kark i ciskający uduszone

na ziemię, podczas kiedy one w szalonym strachu biegają tam i sam wśród desek, wdrapują się na nie i spadają w dół — a ponad tą próżną ucieczką ludzi przed nieszczęściem, unosi się spokojna, ogromna, zimna, niewzruszona Ironia.

Na początku nie było ani Słowo, ani Siła, ani Czyn, ani nic, co chce Faust: była Ironia, Ironia, do której możnaby zastosować słowa Mefistofelesa z tą tylko zmianą:

„Ich bin die Kraft
Die stets das gute will und stets das boese schaft“.

Ironia potężna jak Bóg i smutna jak śmierć.

Wśród tej hecy zaś, w której nieszczęście jest chyższe, zwinniejsze, niż ludzie, i niestrudzone: łączą się oni z sobą, jak wilki, kiedy powódź zalewa las i kłapią zębami — na wodę...

Wśród tej walki życia, gdzie ludzie, jak ranni na pobojowisku, tłoczą się ku sobie, aby sobie nawzajem pomóc: on jest sam, sam jeden, z rozpaczą żołnierza, ranionego na odległym posterunku, na straconej wedecie. Jest sam...

Ha nie! Ha nie! Były przecież ręce, które błądziły mu w ekstazie po włosach, szyi i twarzy, było serce, które cisnęło się ku niemu bijące, były usta, które powiedziały mu, że go kochają „nad życie“, była kobieta, która powiedziała mu, że bez niego „nie chce żyć“...

Nie jest więc sam i nie potrzebuje krzyczeć na-

próżno: „królestwo za ludzkie serce!“ — — on je ma. Ma serce młode, czyste, dobre i piękne — — i tylko jednej tu rzeczy brak — — szczęścia. Ale ta młoda, nieświadoma, niewinna, czysta i święta, a z drzemiącym płomieniem we krwi dziewczyna...

Kiedy nie pozostaje już nic, pozostaje jeszcze satysfakcya zmysłów... Zedrzeć z tego posągu z płonącego srebra biały welon, dziergany z nitek lodowych, porwać ją, jak Demon Lermontowa, i nieść, nieść w otchłań, w ciemną, sianą gwiazdami otchłań rozkoszy. Widzieć w ogniach tę Westalkę o krwi nimf, upajanych słońcem, wonią mirtu i brzękiem strzał Apolla...

Ha! Co za wspaniała gra! Jak w róg niszczącego tryumfu uderzyć Aniołem śmierci, a z harfy duszy Eli Rosieńskiej wyrywać tony, jak płomienie, opleść się jej myślami, jak wstęgami żaru, utworzyć naokoło siebie szalony wir, jakby z błękitnozłotych iskier, z jej miłości, migotliwy, świetny, iskrzący, wir, od którego oczy lśną, zamracza się w głowie, oddech ustaje, zdumienie i lęk ogarnia... I zapomnieć o wszystkiem!

A potem?...

Vogue la galère!...

Po za nim zaś stał biały marmurowy posąg Anioła śmierci, plastyczny wyraz Ironii jego życia, zimny, spokojny, niewzruszony wyraz Ironii, która konsekwentnie wyniszczyła w nim wszystko, co było dobre i kierowała nim tak, aby się stargał

moralnie i fizycznie. To, co miało być początkiem szczęścia jego życia, stało się początkiem jego nieszczęścia: miłość, ta siła, która ma rodzić tylko dobre, dla niego rodziła tylko złe, z całą przewrotną i straszną konsekwencyą złego czynu, który w następstwie zło musi sprowadzać. I ginął, jak ofiara Nerona wśród kwiatów, bo miłość jest kwiatem życia.

ZAKOŃCZENIE.

Zbielała, sztywna twarz Drewskiego poczęła stawać Rdzawiczowi coraz częściej w oczach. Temu człowiekowi było źle i uwolnił się od wszelkiego zła raz na zawsze. Z rękami w kieszeniach, z przewieszoną w tył głową przez krzesło, siedział spokojny, nieruchomy, wyższy nad wszystko, lub wobec wszystkiego nic, ale niczemu niedostępny, niedosięgnięty; na ustach miał trochę piany, na czole skórę zimną i stęgłą, czyniącą wrażenie ślizgiej kości. Odszedł...

Nie poszły za nim ani jego nędza, ani upokorzenia, ani żadne złe przeczucie, ani żaden wewnętrzny wstyd, ani żaden lęk przyszłości. Odszedł, uwolnił się, wydarł się życiu, jak straszliwej ośmiornicy z ramion, któremi chwyta, wiąże, wsysa się, dusi, zabija, nim zada cios ostatni swoim ostrym dzióbem. Uwolnił się...

Ale o Drewskim zrobił trafną uwagę Tężel, że nie jest żadną sztuką zabić się, jeżeli się ktoś nie boi śmierci; Drewski się jej istotnie dziwnie nie

bał. Śmierć, gdy się jej blizko zajrzy w oczy, jest straszna. Potrzeba na to tylko sekundy czasu, aby t a m wejść, ale t a m jest tak coś okropnie obcego...

I dlatego Rdzawicz odkładał rewolwer, a nawet w chwilach wielkiego rozdrażnienia, chował go pod klucz, a ten klucz jeszcze zamykał pod inny. Próbował się oswoić, przykładając co pewien czas i na coraz dłużej lufę do czoła, ale oswajał się tylko z jej zimnem i z jej kanciastym kształtem; z tem, co w niej drzemało, nie. W tym wązkim, czarnym, żłobkowanym otworze drzemała cicha, utajona śmierć, podobna do małej dziewczynki, śpiącej z ręką podłożoną pod głowę, wśród kwiatów i dużych liści. Śmierć w tej stalowej rurce była tak cicha, tak utajona, tak niewinna — — prawie uwierzyć trudno, że tam jest... A jednak potrzeba było tylko jednego pociśnięcia palcem, aby ten wązki, czarny żłobkowaty otwór miał w sobie grozę słowa: dżuma lub wojna — i aby mała dziewczynka, śpiąca wśród kwiatów i liści, zamieniła się w kolosalne widmo, depcące świat od tak dawna, jak trwa, groźne mu do końca i najstraszniejsze.

Żyć zaś było Rdzawiczowi coraz trudniej. Ślub Maryi miał się odbyć za godzinę.

Za godzinę też mieli przyjść tragarze po posąg Anioła śmierci: dokąd go mieli zanieść, niewiedzieli jeszcze. Mieli go zanieść pod bramę domu, w którym mieszkała Porzelska, a do którego Marya miała powrócić z kościoła. Ten posąg, postawiony w bra-

mie, miał ją powitać powracającą od ślubu, miał jej ją pokazać taką, jaką jest... Potem?...

Na to pytanie robiło się Rdzawiczowi czarno w oczach.

Potem albo stanie się coś okropnego, czego sobie wyobrazić plastycznie nie mógł, albo bez względu na nic, ani na jej rodziców, ani na nią samą, ani na panią Laurę, będzie się starał z Eli Rosieńskiej zrobić swoją kochankę. Jej piersiami zasłoni sobie widok życia, w jej miłość pogrąży się jak w sen. Kobieta może być największą ponętą w życiu, ale może być także ostatnią w niem ucieczką. Wtedy, kiedy nie pozostanie już nic, pozostają jeszcze zmysły; wtedy kobieta jest, jak wódka. Nie szuka się jej dla rozkoszy, ale oszałamia się nią świadomość. Dla człowieka znicestwionego wewnętrznie, kobieta nie jest ani szczęściem, ani satysfakcyą: jest narkotykiem. Rolla upija się nią przed samobójstwem; Heliogabal zaś porywał ze świątyń kapłanki, choć były piękniejsze kobiety w Rzymie.

A potem?...

Potem znów albo stanie się jakaś katastrofa, której sobie plastycznie wyobrazić nie mógł, albo — — *vogue la galère!*...

A potem?...

Ale czarny, wązki, żłobkowany otwór lufy rewolweru, miał w sobie zawsze jednakowo straszliwe milczenie. Przeklęte drzemanie śmierci, przeklęty śmierci sen! Gdyby nie była tak cicha, tak

ciemna, tak spokojna i głucha, gdyby szła z wrzaskiem, krzykiem, hałasem, w orgii świateł, ognia, kolorów, z wrzawą i szumem, dzika, okrutna, krwawa, nieubłagana, przemocna i konieczna — — ale nie, drzemała cicho w lufie rewolweru, jak mała dziewczynka z ręką podłożoną pod głowę, wśród kwiatów i dużych liści, i można jej było nie budzić.

Żyć zaś było Rdzawiczowi coraz trudniej...

Gdyby był mógł się otrząść, odepchnąć od siebie to wszystko, uciec precz... Przed paru dniami odebrał list od Stosławskiego, który go prosił, aby przyjechał do niego na wieś do Galicyi, w kaplicy, którą Misia, już teraz jego żona, fundowała, wyrzeźbić Madonnę, a zarazem najserdeczniej zapraszał go na całe lato. Rdzawicz nie wiedział, że stało się to za pośrednictwem Laury Przerwicowej, która napisała wprost do Stosławskiego, że Rdzawicz jest w takim stanie, iż trzeba go koniecznie ratować, i że jedyną drogą, jaką ona widzi ku temu, jest, aby Stosławski pod pretekstem zamówienia ściągnął go do siebie i zatrzymał tak długo, jak się da. Pani Laura powzięła tę myśl zupełnie swobodnie, albowiem Stosławski poślubił był Misię przed paru tygodniami we Lwowie.

Skłonił go do tego wzgląd na chłopów, pomiędzy których się przeniósł, a których jego życie na wiarę byłoby gorszyło, utrudniając mu zarazem to, co zamierzył. Stosławski, po śmierci stryja, stał się dziedzicem jego kolosalnej fortuny i pojechał do

Galicyi, aby ją objąć: w wagonie zdarzył się fakt, który całe życie jego pchnął na zupełnie nowe tory. Oto prócz niego, znajdowało się w przedziale kilku starszych i młodszych galicyjskich właścicieli ziemskich, którzy rozmawiali o kwestyi chłopskiej, godząc się w ostatecznych wynikach na to, iż wobec natury polskiego chłopa wszelki trud, wszelka praca i ofiara dla niego jest to poprostu wyrzucenie czasu, zdrowia i pieniędzy za okno; jest to materyał niewdzięczny, niepodatny, z którego się nic zrobić nie da, o który się wszystkie dobre chęci kruszą i który ostatecznie jednem tylko można utrzymać w ryzach: batem. O tem, żeby stosunek między dworem a chłopem miał się kiedykolwiek poprawić, ci panowie nie mówili nawet. Zła wiara i wola chłopów, brak zaufania do szlachty i nienawiść ku niej, ucho zbyt łatwe na podszepty agitatorów demokratycznych, a nadewszystko do *absurdum* wygórowane pretensye i dążności uniemożliwiają wszelką na tem polu działalność. Chłop nie chce już być chłopem takim, jakim był tyle wieków, jakim go Pan Bóg stworzył i jakim go prawo zwyczajowe i rządowe mieć chce: wyłamuje się z pod reguły, ze *status quo*, chce stworzyć nowy porządek społeczny i naturalnie przewrócić dotychczasowy. Wszelkie zaś dobre usiłowania szlachty rozbijają się o tę niewdzięczność i niepodatność materyału, o to, że chłop polski ma taką naturę, iż się z niego nic zrobić nie da... Jest hycel...

Stosławski w rozmowie tej udziału nie brał, ale wywarła na niego ogromne wrażenie i postanowił sobie przekonać tę szlachtę, z którą sąsiadowały jego odziedziczone po stryju majątki, że chłop polski jest materyałem wdzięcznym i podatnym, tylko trzeba mieć serce w dłoni, która się tego materyału chwyta i że się z niego dużo zrobić da, tylko trzeba się tej roboty jąć przez rozum.

W dwa tygodnie później odbył się ślub Stosławskiego z Misią, a swojemu sześciotygodniowemu synkowi Stosławski powtarzał nad kolebką: Jeżeli ja sobie urobię ręce po łokcie, to ty je sobie urób po ramiona! — na co synek odpowiadał mu niezmiennie „blua“.

Stosławskiemu Rdzawicz na list nie odpisał, prawie nie zrozumiał, co w nim jest; przed oczyma przesuwała mu się z dniem każdym częściej zbielała i sztywna twarz Drewskiego, a w duszy czuł coraz wyraźniej, że jest mu trudno żyć.

Co się stanie, gdy Marya zobaczy Anioła śmierci?!... Co powiedział Tężlowi, że „ona od tego nie umrze, jeszcze będzie kontenta, bo to nowa reklama“, to wiedział, że jest czczem słowem. — Co się stanie?... Im bliższą była chwila, kiedy się te dwie kobiety, jedna marmurowa, pół naga, depcąca z ruchem hetery zakrytego płaszczem człowieka, druga powracająca od ślubu, oparta na ramieniu Kołolaskiego, miały z sobą spotkać oko w oko: tem

większy ogarniał go niepokój. Co się z nią stanie? Co będzie?...

Co się z nim stanie, mniejsza o to. O szeroką publiczność dbał tyle, co o polepę z szarej gliny, z najszczerszem, najgłębszem przekonaniem, że więcej nie jest warta. Opinia jednej pani Laury Przerwicowej przerażała go. Jakże będzie mogła zrozumieć, że to jakaś zła moc wydarła mu z duszy ten marmurowy krzyk? Ale nie, wszak ona zrozumieć to powinna. I ona odepchnęła niegdyś Przerwica, i on tak samo szalał z bólu, a jednak u niego tylko nad grobem Wiary i Nadziei, Miłość stanęła jak słup odrętwiona. Przerwic tak samo runął, jak on, tak samo ze stopą kobiety na piersiach, i tak samo bez żadnej nadziei, że wstanie, tylko panna Laura Arkowska usunęła się potem z widowni światowej z całą swoją młodością i swoją urodą ze zgryzotą w duszy, że złamała czyjeś życie — — a panna Marya Tyżwiecka... Czyż nie jest taką, jak ten Anioł śmierci, czyż to nie ona?! I on musi chcieć, aby ona zobaczyła siebie, musi, musi, musi!

Jest to tak, jakby go parła jakaś niepojęta, straszna żądza do wbicia noża w serce siostrze, lub bratu...

Ludzie staną w obronie Maryi, l u d z i e będą jej bronili przed nim, będą się uczuwali w prawie, w o b o w i ą z k u do tego! L u d z i e! O ironio życia!... Jej wielbiciele, jej lejbgwardya i ci, którzy do niej wzdychali zdaleka na placu wyścigowym,

wyciągną prawdopodobnie nie szpady, bo to bój obosieczny, ale przynajmniej pióra swoje własne, lub swoich przyjaciół, aby „napiętnować przynoszący dyshonor światu artystycznemu czyn!“ Oni, ta rzesza, oni, którzy, wszyscy razem wzięci, nie potrafiliby jej tak kochać, jak on sam ją kochał, i dla których ona zawsze była i będzie przedmiotem westchnień z salonu lub wyścigowego placu! Im Anioł śmierci wyda się przedewszystkiem „skandalem!“ Motłoszek, dla którego Marya była, jest i będzie księżycem na wysokiem niebie.

Bądź co bądź jednak żyć w kraju będzie niepodobieństwem. Cała rodzina Maryi, cała rodzina Kołolaskiego, wszyscy im blizcy i bliżsi oburzą się niesłychanym faktem, a za nimi pójdzie ogół daleki i najdalszy, kobiet dlatego, że tak będzie wypadało, mężczyzn, raz dlatego, aby pójść za kobietami, drugi raz, ponieważ dla każdego człowieka, wybijającego się czemkolwiekbądź ponad nich, żywią stałą i źle ukrywaną niechęć i zawiść, która tylko czeka na sposobność, aby wybuchnąć.

Na znoszenie tego, co mogło za sobą ściągnąć ukazanie publiczne Anioła śmierci, Rdzawicz nie miał poprostu sił: był zbyt chory.

Do czegóż doszedł!...

Wszystka jego wiara, wszystkie jego nadzieje, wszystkie jego miłości runęły w proch. Nic mu już życie dać nie może, nie żąda odeń nic, niczego nie pragnie, nic się nie spodziewa. I nic nie ko-

cha. Nie kocha już i Maryi. Serce jego jest jak step zwęglony, dusza jak strzaskany dom — jest umarłym.

Umarł, odejmując ostatni raz rękę od posągu Anioła śmierci. Dopóki koło niego pracował, żył gorączką. Nie myślał prawie o czem innem, nie zastanawiał się nad niczem, a w miarę im bliższym był końca roboty, tem ciemniej było mu w roz-ognionych oczach. Ale z chwilą, kiedy ostatnia łuszczka marmuru spadła i dzieło było skończone, ręce Rdzawiczowi zwisły i jakby w jakąś głąb się zapadł. Już teraz nie miał co robić sam, mógł się tylko dać nieść dalej fali życia, lub wyrwać się jej, jak Drewski.

Zrozumiał także wtenczas, że są stany duszy, kiedy się człowiek sam lęka w nią spojrzeć. Jednych przerażać mogą zbrodnie, innych klęski, innych przeczucia; jego przerażał widok okropnego zniszczenia, jakiemu dusza jego uległa. W cóż się obróciły jego twórcze porywy, jego chęci i jego władza? Z chwilą, kiedy odłożył ostatni raz dłuto, uczuł zupełne zamarcie swojej mocy twórczej i patrzył na swój marmur, jak człowiek obcy, wiedząc, że to on kuł, ale prawie nie zdając sobie z tego sprawy, w jaki sposób, jakby zapomniał. Zdawaćby się mogło, że cała jego energia twórcza wsiąkła w ten kamień i przepadła w nim. Nie byłby umiał teraz ani jednej płaszczyzny ściosać, ani jednej pla-

my koloru położyć na płótnie. W jednej sekundzie wyjałowiał zupełnie.

Równocześnie zaś z uczuciem zaniku władzy twórczej, uczuł ostateczny upadek sił żywotnych. Teraz, kiedy było mu wprost trudno zejść ze swego mieszkania na ulicę, nie mógł pojąć, jak potrafił trzymać w rękach młotek i dłuto, jak nie mógł, wyczerpany i prawie omdlały, odtworzyć sobie w wyobraźni siebie wówczas, kiedy od jednego zamachu rzucał na karton ogromne kompozycye i z bloków kamiennych wydobywał kształty, władny jak bóstwo.

Jak rumak Atylli, po którego kopytach trawa nie rosła, przez pola — przez życie jego przeszedł Anioł śmierci...

I to o n a, to o n a, Marya. Marya...

Stracił ją, stracił ludzi. stracił siebie, nie pozostało mu nic, nic, tylko ciemna pamięć przeszłości i jutro istotnie czarne, jak grób.

I to wszystko przez nią, przez nią!...

Czy nie powinna teraz przyjść, klęknąć przed nim, spojrzeć mu w oczy z całym żalem, z całą miłością, i szepnąć: „mały!“, jak niegdyś, jak wtenczas, kiedy go chciała przeprosić, przebłagać? Czy nie powinna? Jakżeby się przelękła, gdyby go zobaczyła teraz, ruinę i cień tego, czem był i być miał! Ah, gdyby go takim ujrzała... Wszak to było jej dzieło, winnej czy niewinnej, ale jej... Naprawdę ludzie są jak sprzęty na okręcie rozbijające

się jeden o drugi, kiedy burza szaleje; a ona huczy i kruszy straszna, obojętna, odmienna od wszystkiego, co ogarnia, obcy, bezwzględny element, z niczem niezwiązany i niepokrewny.

Po odejściu Tężla, Rdzawicz nie widywał się z nikim U Heimerthowej przestał bywać; jedynym człowiekiem, z którym się spotykał, był Łanowski. Jego towarzystwo mógł znosić dla ogromnego smutku, jaki był w tym chłopcu. Jednej nocy Łanowski zwierzył mu się z powodu swojej ciągłej melancholii: cierpiał on nieuleczalną chorobę dziąseł, z którą się krył i która go do rozpaczy doprowadzała. Miał wszystko: miał majątek, miał talent, wszelkie warunki szczęścia i razem z tem nieszczęśliwy był do szpiku kości. A kiedy Łanowski mówił, w galeryi ofiar życia Rdzawicz postawił go obok Drewskiego i siebie i od tego czasu poczuł się temu młodzikowi blizkim jakby krwią. Należeli do olbrzymiej wspólnej rodziny nieszczęśliwych, do tych, którzy stanowią ogromnie większą część świata.

Mówili dużo o śmierci: Łanowskiemu było przedewszystkiem żal życia dlatego, że chciał kochać. Tymczasem nic nie było dlań tak nieprzystępnem wobec jego choroby, jak właśnie kobieta. Łanowski nigdy w życiu nie pocałował kobiety. Moru się tak nie lękał, jak uczucia wstrętu i odrazy, jakieby mógł w niej wzbudzić. On wiedział, że nie będzie mógł nigdy położyć ust na kobiece usta — i z tą

tragedyą szedł w życie, rok za rokiem więcej pragnąc pocałunku i więcej cierpiąc, młody, dwudziesto-dwuletni człowiek.

To zaś, co go skazało na chorobę, wyższe ponad wszelką ludzką moc, unosiło się ponad nim, jak nad Rdzawiczem wysoko na swym postumencie Anioł śmierci.

Ślub Maryi miał się odbyć za godzinę. Rdzawicz siedział w swojej pracowni, czując, że ostatnim wysiłkiem energii, na jaki się zdobędzie, będzie rozkaz wyniesienia z pracowni posągu, kiedy ludzie po niego przyjdą. Potem...

Siedział przy stole i obracał rewolwer w ręku, machinalnie, nie myśląc ani o śmierci, ani o Maryi, ani o sobie, zmęczony i bezsilny do bezmyślności; wtem bez pukania, otworzył ktoś drzwi: Rdzawicz podniósł głowę — — we drzwiach stała Ela Rosieńska.

— Pani?! — krzyknął zdumiony, zrywając się z krzesła.

— Tak, ja — odpowiedziała cicho, ale wyraźnie.

Zdumienie odjęło Rdzawiczowi mowę, ona zaś stała przed nim w niezamkniętych drzwiach, blada, jak płótno i jakby znieruchomiona.

— Pani?! — powtórzył po chwili. — Pani?!

— Tak, ja.

Wtenczas Rdzawicz podszedł ku niej, wziął ją

za rękę, przymknął drzwi i wprowadził ją na środek pracowni.

— Panno Elu, czy pani wie, co pani zrobiła? — spytał, ochłaniając ze zdumienia.

— Wiem.

— Po co pani przyszła?

Na bladą, prawie białą twarz Eli Rosieńskiej wystąpił szkarłatny rumieniec. Zachwiała się trochę, wetchnęła silniej powietrze i odpowiedziała:

— Powinnam była przyjść.

Rdzawicz zrozumiał, ścisnęło mu się gardło, zamroczyło w oczach i runął do stóp Eli, opierając usta na jej trzewikach. Była to dalsza fala tej miłości kobiecej, która jest tak ogromna, że przygniata i zgina, ogarnia jak morze, zalewa, pochłania, grunt podmywa z pod nóg, topi i porywa, rozkiełzana, paląca, szalona a święta... I całował małe trzewiki Eli, czując, że się w nim wszystko zamienia w jednę olbrzymią łzę żalu, bólu i wzruszenia. Nagle na ramionach swoich uczuł ręce Eli, które usiłowały go podnieść z ziemi i usłyszał jej cichy, ale wyraźny głos:

— Niech pan wstanie.

I drobne jej ręce dźwignęły go, jakby miały w sobie siłę elementu; Rdzawicz nie czuł, że to nie one go dźwignęły, ale on sam przylgnął do nich ramionami, zamagnetyzowany mocą tej miłości, potężnej jak morze i tak samo żywiołowej jak ono.

— Pani... — szepnął jakby odurzony, podno-

sząc wzrok na Elę — była znów blada, jak pierwej; oczy miała suche i patrzące jasno i pewno.

Zbliżyła się do stołu, wzięła zeń rewolwer, poczem ujęła Rdzawicza za rękę i odezwała się:

— Niech pan wyjdzie ze mną.

— Dokąd?

— Nie wiem, niech pan wyjdzie.

Rdzawicz zawahał się: w cichym, spokojnym i jakby przytłumionym, ale wyraźnym głosie Eli Rosieńskiej, była jakaś moc, która go opanowywała.

— Dokąd? -- powtórzył.

— Nie wiem, tylko stąd. Od tej śmierci i od tej rzeźby.

— Kto pani o mnie powiedział? Kto pani mówił o tej rzeźbie?

— Nikt. Ja nic nie wiem. Niech pan wyjdzie ze mną.

Rdzawicz uczynił krok naprzód. Dziwne jakieś uczucie owładnęło nim: zdawało mu się, że traci przytomność i że jakiś błękit obwiewa mu głowę.

— Elu — szepnął — dokąd idziemy? Czy na nowe życie?

Jej zaś twarz uczyniła się jak cudowny mistyczny kwiat, niczemu ziemskiemu niepodobny i stała przed nim, cicha i biała. Rdzawiczowi przypomniał się sen Maryi; oto sprawdzał się: do umierającego przyszła kobieta i wydziera go śmierci, tylko tą kobietą jest inna, jest nie Marya, nie ów zgubny

swoją pięknością Anioł śmierci, ale ta dziewczyna, cicha i biała.

Spojrzał za siebie: tam stała tamta, naga, tryumfalna, oślepiająca ale walka między temi kobietami była już rozegrana. Rdzawicz pochylił się ku Eli i usta ich złączyły się w pocałunku cichym, długim, bezwiednym, w którym się przez usta serca i dusze całują i łączą. Jakaś jakby wiosenna woń i świeżość wpłynęła w serce i duszę Rdzawicza; spojenie to ust z ustami Eli odrodziło go jakby z martwych podniosło.

— Kocham cię — szepnął.

Ona zaś powiodła go ku drzwiom, mówiąc:

— Pójdź, pójdź...

— Na nowe życie... Daleko stąd...

Wtem na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki i ktoś zapukał do drzwi.

— Co to? — spytała Ela.

Drzwi się uchyliły i ukazało się w nich kilku tragarzy w niebieskich bluzach, wśród nich zaś Tężel z twarzą przerażoną i pełną wielkiego wzruszenia. Rdzawicz zrozumiał twarz Tężla; uśmiechnął się i wyciągnął ku niemu rękę, a potem odwrócił się, ujął z ziemi ciężki młot kamieniarski, którym Tężel obtłukiwał marmur, i z całej siły uderzył w głowę Anioła śmierci: rozprysła się na sztuki. W tej chwili jednak doznał uczucia, jakby mu ktoś przeszył szpadą mózg, a potem jakby weń wpłynął strumień płonącej lawy. Zakręcił się, rozkrzyżowa-

wszy ramiona cofnął i padł w tył na posąg, uderzając z głuchym łoskotem czaszką o marmurowe nogi obnażającej się kobiety.

Nazajutrz całe miasto mówiło o wypadku i skandalu. Utalentowany rzeźbiarz, Roman Rdzawicz, nagrodzony dyplomem honorowym na międzynarodowej wystawie w Monachium i ogłoszony *hors concours* na Niemcy, rozbiwszy młotem głowę swojej ostatniej rzeźby, przedstawiającej podobno jego dawną narzeczoną, pannę Maryę Tyżwiecką, w skandalicznej pozycyi: dostał napadu szaleństwa, tak, iż go tragarze, zamówieni do zaniesienia tej rzeźby w miejsce jeszcze im nie wskazane, musieli skrępować sznurami, poczem przyjaciel nieszczęśliwego, także rzeźbiarz, niejaki Tężel, odwiózł go do zakładu dla obłąkanych, gdzie od wczoraj jest w ciągłej furyi. Równocześnie z pracowni Rdzawicza zaniesiono do domu bezprzytomną pannę Elizę Rosieńską, córkę obywatela z Królestwa. W godzinę zaś później w kościele św. Krzyża, panna Marya Tyżwiecka, znana powszechnie z piękności i wdzięku, wykonała przysięgę małżeńską klęczącemu obok niej narzeczonemu, panu Kołolaskiemu z pod Klecka.

Wracając od ołtarza, młoda oblubienica rozsyłała naokół znajomym i nieznajomym tak czarujące uśmiechy, że kobiety przygryzały wargi, a mężczyźni przestępowali z nogi na nogę. Tańczono do

rana. Marya szalała poprostu: wydzierano ją sobie z rąk do rąk, a ona opierała się tancerzom na piersi swoim klasycznym gorsem i dawała się nieść, omdlewająca.

— Borzewski?! — szepnęła jej raz mijając ją w kontredansie, Jadwiga.

— Niema go tu — odrzuciła jej szybko Marya.

Jadwiga zrobiła wielkie oczy.

Następnego dnia o zmroku, przed wyjazdem na wieś, Marya zmęczona i z uczuciem wielkiego niesmaku leżała na szezlongu z rękoma pod głową, kiedy nagle otwarły się drzwi i wpadła Jadwiga wołając: Wiesz, co się stało?!

— Co? — spytała Marya zaniepokojona, lekko się unosząc.

Strzeliska zaczęła jej czytać „Kuryer“ z opisem tragicznego wypadku Rdzawicza; nie mogła skończyć — rozpłakała się.

Marya milczała chwilę, a potem ozwała się chłodno a chełpliwie: On mnie jednak szalenie kochał...

Potem zaś dodała jakby do siebie: Miał w sobie tłumioną, ale taką dziką namiętność... A mógł być bardzo sławny...

Tymczasem Jadwiga powstrzymała płacz i powtórzyła, co mówią o Aniele śmierci, o czem w piśmie była tylko pobieżna wzmianka. Marya zerwała się z szezlongu i usiadła na nim, krzycząc:

— A łotr! Jak on śmiał! Żeby go już nigdy nie

puścili z zakładu! A tak mnie niby kochał! Dobrze mu tak! Łajdak!

— On cię już nie kochał — przerwała jej Jadwiga zimno. — Zastano u niego pannę Rosieńską, o czem przez dyskrecyę nie piszą, a z którą, jak opowiada ów Tężel, wychodzić miał z miną bardzo szczęśliwą z atelier i gdyby nie to rozbicie —

— A jednak ja byłam na końcu — rzekła Marya już spokojnie i z satysfakcyą, i znowu położyła się na szezlongu, z rękoma pod głową.

Przed bolesnym zaś Chrystusem Guido Reniego, wiszącym nad jej łóżkiem, pani Lora Przerwicowa, klęcząc z podniesionemi ku wizerunkowi oczyma, szeptała: „Chryste! Chryste!“ – albowiem zdawało się, że w Eli Rosieńskiej, która w sąsiednim pokoju siedziała przy stole, z czołem opartem na rękach, dusza umarła.

KONIEC.

